

ENTLICZEK, PENTLICZEK,
GOTOWY JUŻ STRYCZEK.
NA KOGO WYPADNIE,
NA TEGO BĘC!

ŹRÓDLISKO

EWA PRZYDRYGA

ŹRÓDLISKO

EWA PRZYDRYGA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Tomasz Majewski*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska,*
Magdalena Zabrocka (Lingventa)

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© stocker1970/Shutterstock

© by Ewa Przydryga

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2700-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

Dla mojej Przyjaciółki

Asi

*Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie
stał się potworem. Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda
bezdeń także w ciebie.*

FRIEDRICH NIETZSCHE *POZA DOBREM I ZŁEM*

*Teraz jednak coś prostszego zaprzętało jego myśli, coś jasnego,
twardego i nieugiętego: zemsta.*

PHILIP PULLMAN *MROCZNE MATERIE*
BURSZTYNOWA LUNETKA T. 3

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Epilog

Posłowie

Rozdział 1

styczeń 2023

Wełniane rękawiczki ciasno przylegają mi do skóry. Niedbały ścieg i ten ohydny, wściekły róż, którego autentycznie nie znoszę. Pierwsza lepsza para, po którą sięgnęłam, pospiesznie wychodząc z domu. Ale nawet opatulona szalem i ciepłym płaszczem, czuję wdzierający się do wnętrza samochodu przenikliwy ziąb. Zwiastun nadchodzącej zimy. Z naszych ust wydostają się kłęby pary. Osiadają równomiernie na szybie jak malowane naszym oddechem obrazy. Szare obrazy z pary i mgły.

Kiedy przekręcam gałkę radia, głos Beth Gibbons momentalnie się oddala. Lubię Portishead, a najbardziej ten utwór, na wskroś prawdziwy. Wręcz doskonały. *Roads*. Z tą ledwie słyszalną melodią ozywają wspomnienia, zawsze tak samo silne i głównie te dobre, jasne. Ale przebija spośród nich kilka zupełnie innych. Mocno zabarwionych czernią. To one są teraz najbardziej wyraźne. I właśnie z tego powodu Beth Gibbons cichnie coraz bardziej, aż milknie, kiedy pokrętko radia wreszcie stawia opór. Nie chcę, żeby te wspomnienia wracały do mnie, gdy jestem w trasie. Rozpraszają mnie. Staram się je wreszcie wyprzeć.

Czerń tamtych wspomnień rozprasza nagły błysk. Zieleni, błękit, czerwieni i fioleci wybuchają wprost z za przedniej szyby. Pobłyskują na szarzejącym niebie. Lekko falują. Cztery połączone trójkąty w radosnych kolorach tęczy, niesione wiatrem. Tak je zapamiętuję.

Ale następny obraz przychodzi szybko i nie ma w sobie nic z tęczy. Nie ma nic z beztroski. Jest nawet gorszy niż czerń dawnych wspomnień. Jest namacalny. Najbardziej przypomina śmierć. Jej materialną, fizyczną powłokę. W swojej najokrutniejszej postaci.

Ciało małego chłopca.

Kłęczę, a on leży w moich ramionach.

Duże oczy. Martwe. Granatowe. Prawie czarne. Jego oczy. Jego oczy pod zasłoną długich rzęs. Wpatrują się we mnie. Zastygłe i nieruchome. Małe, kształtne usteczka, lekko otwarte. W ich kąciku lśni czerwona kropla, krew. Mlecznobiała skóra, niemalże tak jasna jak płatki śniegu, które zaczęły wirować w powietrzu. Zmienacka. Zupełnie znikąd.

Jego policzki, pewnie pod wpływem lekkiego mrozu, wciąż jeszcze są rumiane. Ostatnie ślady życia, a raczej mojej nadziei, że ono jednak w nim nie zgasło.

Moje dłonie rozpaczliwie gładzą jego głowę, a właściwie wełnianą czapkę z pomponem, spod której wystaje kilka kędzierzawych kosmyków. Zamek błyskawiczny jego kurtki zapięty jest pod samą szyję, owiniętą wełnianym szalikiem, którego zielone frędzelki opadają mi na uda. Z mojego gardła wydobywa się zwierzęcy krzyk, pierwotny, mój własny. I nawet tamten wściekły róż rękawiczek przestaje być różem. Brudzi się. Czerwienieje od jego krwi.

– Ocknij się! Obudź! O Boże, obudź się wreszcie! – zaklinam rzeczywistość, ale mój głos tylko wsiąka w pustkę i ciszę.

Dźwigam się z kolan, unoszę chłopca i przysuwam go bliżej siebie. Przytulam. Ale nic się nie zmienia. Jego ciało jest bezwładne, nienaturalnie ciężkie. Leje mi się przez ręce. Zgięta w pół, nie ustaję w próbach ocucenia go, ale bezskutecznie. Dłonią klepię go po policzku. Robię to coraz bardziej natarczywie, rękawiczką niechlujnie rozmazuję jego krew. Na policzkach, brodzie, a wreszcie na szyi. Mamy ją wszędzie – ja i on. Oblepia nas. A najgorsze jest to, że wciąż jej przybywa. Nie wiem, skąd wypływa, bo z całą pewnością nie tylko z ust. Jest ciepła i gęsta. Kurewsko prawdziwa.

Mam ją na sobie.

Na sobie i w środku.

Klei się do mnie. Klei, a potem wsiąka.

Mam ją na sobie.

Jego śmierć.



– Co robisz? Lubię ten kawałek. – Marta wykrzywiła usta z niezadowoleniem. Obie ręce trzymała na kierownicy, prawą stopą przyciskała hamulec. – Zostaw go. To przecież Portishead. Chcę posłuchać.

Wełniane rękawiczki Lilki ciasno przylegały do jej dłoni. Jej palec wskazujący i kciuk pozostały zaciśnięte na pokrętłe radia. W pewnym momencie głos Beth Gibbons zupełnie zamilkł.

– Znajdźmy coś innego. Nie lubię tego utworu – odpowiedziała Lila pojednawczo, przełknęła ślinę i gorączkowo rozejrzała się w poszukiwaniu czapeczki z pomponem. Najpierw, wciąż jeszcze pozostając wewnątrz obrazu ze swojej głowy, nigdzie jej nie zauważyła. Nie było jej na siedzeniu kierowcy, nie miała jej w ręku ani na kolanach. Ale potem, kiedy wreszcie uspokoiła myśli, znalazła ją na swoim miejscu, na głowie dwuletniego syna, zapiętego w foteliku na tylnym siedzeniu. Dopiero wtedy odetchnęła z ulgą. Czapeczka zawiązana była pod jego brodą, tak jak zawsze. Błyskawiczny zamek kurtki zaciągnięty był do samej góry, a szyja Adasia – owinięta szalikiem.

– Strasznie tu zimno – powiedziała Lilka, ale z jej ust nie wydobyły się obłoczki pary. Nadal nie odrywała wzroku od śpiącego chłopczyka. W sercu poczuła znajome ukłucie. Miłość i strach. Zawsze tam były, jedno obok drugiego. Nierozzerwalne.

Czerwony sedan Marty zatrzymał się tuż przed przejściem dla pieszych. Pomarańczowe światło zmieniło się na czerwone.

– Zimno ci? – zdziwiła się. – Grzanie odpalone jest na full. Dobrze się czujesz? – Rzuciła koleżance czujne spojrzenie.

– Czasami dopadają mnie złe myśli – odpowiedziała Lila z pewnym zażenowaniem. Oblizła spierzchnięte wargi i przeniosła wzrok na Martę. – Widzę je. I wyraźnie czuję. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

– Złe myśli? Czyli jakie?

– Że go tracę. – Lila ponownie spojrzała na synka. Mały spał, oddychał miarowo, jego rysy były spokojne.

Marta wybuchnęła śmiechem.

– Lilka, to tylko żłobek, a nie wieloletni karcer. Poza tym był już tam kilka razy i jest cały. Przywykniesz.

Lilka dobrze o tym wiedziała. W teorii wszystko brzmiało normalnie, względnie bezstresowo. Banalnie wręcz. Ale w jej sercu wciąż gniazdo wił

strach. Wił, bo miał ku temu swoje powody. Głuche, milczące, okrutne. Przejmujące nad nią całkowitą kontrolę.

Czasami, tak jak teraz, był tylko on.

Strach.



Dziesięć minut później czerwony sedan zaparkował tuż przed wejściem do Małego Olimpijczyka. Niewielki, prostokątny budynek żłobka z czarnymi wypustkami sterczącymi z dachu przypominał klocek Lego.

– Dasz sobie z nim radę? – skrzywiła się Marta, spoglądając na dziecko kręcące się w ramionach koleżanki. Wybudzony ze snu chłopczyk zanosił się płaczem. Granatowe oczy, niemal czarne, miał pełne łez. Były miniaturową kopią oczu Lili, głęboko osadzone, o trochę smutnym, zbyt dojrzałym jak na dwulatka wyrazie. Zresztą Adaś cały był kopią swojej matki.

– Wciąż nie wiem, czy powinnam – odpowiedziała Lila.

Posadziła dziecko na biodrze, a kiedy pocałowała je i wcisnęła mu w rączkę ulubioną maskotkę, mały zaczął się uspokajać. Często, tak jak teraz, wciąż jeszcze wystarczał mu zapach matki, jej obecność i ciepło.

– Czy powinnaś, ale co?

– Posyłać go dzisiaj do żłobka. Wczoraj wymiotował.

– Za godzinę masz obronę. – Marta spojrzała na Lilę z ukosa. – Ja też. Pół godziny po tobie. Chcesz go tam ze sobą targać? Na mnie nie licz. Nie będę go niańczyć. Ani przed, ani po – stwierdziła zirytowana.

Lila wiedziała, że nie ma wyboru. Z Martą znały się dość krótko, a ich interakcje poza kampusem były bardzo luźne. W swojej uczelnianej grupie obie były „tymi nowymi” i w zasadzie chyba głównie to je łączyło, tryb przymusowego outsidera w zgranej od kilku lat grupie na najbardziej obleganym w Poznaniu wydziale psychologii. To i wspólne dojazdy na uczelnię. Lilka wróciła na studia po dwuletniej przerwie, a Marta przeniosła się na poznański UAM z oddziału w Koninie. W zasadzie łatwiej byłoby znaleźć dzielące je różnice. Na pewno nie łączył ich instynkt macierzyński, który u Lilki był bardzo rozwinięty, a u Marty w ogóle nie występował. Często zastanawiała się, czy Lila miała go zawsze, czy pojawił się dopiero wraz z urodzeniem Adasia. Zadziwiała ją to, jak bardzo można skoncentrować swoją

uwagę na synku, a także to, jak można godzić posiadanie dziecka z pracą naukową i przodować w uczelnianym rankingu.

– Lepiej zetrzyj to z siebie – powiedziała z obrzydzeniem, kiedy kilka minut później Lilka wróciła do auta. Wskazała na kremową, zaschniętą breję przyklejoną do jej białej koszuli.

– No kurwa! – syknęła Lila. – Tylko nie dzisiaj!

Wyciągnęła z torebki nawilżaną chusteczkę Adasia i starała się zetrzeć zabrudzenie. Wkrótce pozostała po nim tylko mokra plama.

Marta tymczasem starała się znaleźć coś ciekawego w radiu. W pewnej chwili dała się słyszeć przyjemna, chilloutowa muzyka.

– Lubię ich audycje – odezwała się Marta. – Żaden chłam, tylko rozmowy z sensem.

Lila spojrzała na wyświetlacz.

– A co to za radiostacja?

– Nasza lokalna rozgłośnia z Konina. Jakimś cudem to stare radio czasami łapie tutaj zasięg.

Chwilę później z głośników wydobyły się wesołe dźwięki dzingla, zapowiedź prognozy pogody, a po niej niski, charyzmatyczny męski głos.

A teraz obiecana gratka dla miłośników przyrody i technologii. Zadanie jest nieskomplikowane, wręcz banalnie proste, a nagroda więcej niż zacna. Jest nią weekendowy rodzinny wyjazd do niezwykłego domu z kamienia, szkła, drewna i betonu, zaprojektowanego przez architekta, który jest zarazem ekspertem w dziedzinie bioniki.

Na krótką chwilę głos radiowca stłumiły trzaski. Ale kilka sekund później zabrzmiał znowu, tym razem głośniejszy i wyraźniejszy.

Dom położony jest nad gorącym źródłiskiem. Kluczem do wygranej jest rodzina, cztero- lub pięcioosobowa, która będzie mogła w pełni skorzystać z tej nagrody. A pytanie konkursowe dotyczy rodziny właśnie. W ciągu najbliższego kwadransu pod numer siedemset siedemdziesiąt siedem trzysta dwadzieścia osiem trzysta dwadzieścia osiem należy wysłać trzy słowa,

rzeczowniki bądź przymiotniki, które, waszym zdaniem, są esencją rodziny. Jej trzonem. Jej sednem.

Radiowiec powtórzył numer telefonu jeszcze dwukrotnie, entuzjastycznie zachęcił do wzięcia udziału w konkursie, a potem nagle umilkł, jakby onieśmielony pierwszymi taktami kultowego hitu The Cranberries.

– Napisz – zachęciła Marta Lilkę. – Takie weekendowe wypadki ożywiają nawet prawie martwy związek.

Uniosła brew, a w jej oczach pojawił się nieprzyjemny błysk. Sięgnęła do skrytki i wepchnęła do ust wydobyty z opakowania pasek gumy do żucia.

– Skąd wiesz, że to nas dotyczy? – zapytała skonsternowana Lilka.

Była pewna, że nie mówiła koleżance o kryzysie w swoim małżeństwie. Nigdy nie doszła do etapu takiej zażyłości. Nigdy nie zamierzała zresztą zbudować bliskości. Na pewno nie z nią.

Czy całkiem straciliśmy czujność? Tak łatwo obnażyliśmy się przed obcymi? Nie panujemy nad językiem ciała, nad słowami, nad swoimi emocjami? Naprawdę tak widać, jak bardzo oddaliliśmy się z Piotrem od siebie? – myślała Lila.

Marta przewróciła oczami.

– Proszę cię, kilka razy widziałam, jak jest między wami – odpowiedziała, jakby czytała koleżance w myślach. – Kąsacie się wzajemnie. Napisz do radia.

Wrzuciła kierunkowskaz i włączyła się do ruchu.

Lila odblokowała telefon, na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie ich synka zrobione kilka miesięcy temu. Ona i Piotr. Już wtedy coraz bardziej się między nimi psuło. Tamtego popołudnia pokłócili się o czapeczkę, której Lila nie założyła małemu. Wystarczał byle powód.

Lila słyszała kiedyś o tym domu nad gorącym źródłiskiem. Był udostępniany gościom z zewnątrz tylko sporadycznie, intrygujący, owiany tajemnicą.

Ale nie lubiła, kiedy ktoś dyktował jej, co ma robić. Nie lubiła, kiedy ktoś wpływał na jej działania. A zresztą bardziej niż o dobraniu trzech przymiotników myślała o swoim dziecku i o egzaminie, który ją czekał. Zablokowała telefon i w milczeniu obserwowała zmieniający się za oknem zimowy krajobraz. Ale kilka minut później trzy słowa przysły do niej same. Tak po prostu, zupełnie nieproszone. I naprawdę nie wiedziała dlaczego.

Wstukala je w okienko wiadomości wraz z zapamiętanym wcześniej numerem telefonu. Nacisnęła „wyslij”.



Półtorej godziny później opuściła budynek wydziału z uczuciem obezwładniającej ją ulgi i tytułem magistra psychologii. Ale adrenalina nie chciała jeszcze ustąpić. Krew wciąż krążyła szybciej, a dłonie i nogi drżały tak samo jak przed wejściem na salę egzaminacyjną.

Akademicka droga Lili była dość wyboista i okupiona licznymi wyrzeczeniami. Trudna ciąża i pierwsze miesiące po narodzinach Adasia wymusiły dwuletnią przerwę, która wytrąciła ją z rytmu. Jednak swoje obawy Lila dość szybko przekuła w jeszcze większą determinację. Zawsze taka była – ambitna i sumienna, często niepokorna, nie zadowalała jej przeciętność. Dążyła do tego, żeby torować drogę sobie i innym, dążyła do tego, by odkrywać, by przewodzić. Chciała zadzwonić do Piotra, aby podzielić się z nim dobrą nowiną, więc wyciągnęła z torebki telefon i odblokowała ekran. Okienko wiadomości nadal pozostawało otwarte.

Szacunek. Wsparcie. Miłość.

Pod słowami, które uznała za banalne, ale jednak, trochę bezwiednie, a trochę w wyniku jakiejś tęsknoty, je wtedy wybrała, widniała nowa wiadomość. Została przesłana z tego samego numeru, który podyktował prezenter radiowy. Kilka zdań, których zupełnie się nie spodziewała.

Gratulujemy wygranej! W ciągu dwóch najbliższych dni skontaktujemy się telefonicznie i podamy wszystkie szczegóły. Dom nad gorącym źródłiskiem już na Was czeka! Wasze Radio RDS.

Lila, wciąż nie dowierzając, przeczytała wiadomość dwukrotnie, a następnie wybrała numer swojego męża, a potem siostry i ojca. Wtedy nie myślała jeszcze, żeby skorzystać z wygranej. Chciała się tylko podzielić z najbliższymi przebiegiem egzaminu i, co najważniejsze, jego wynikami. Po kolei.

Rodzina. Piotr. Aleks – jej młodsza o kilka lat siostra. I ojciec. Oczywiście także Adaś. Tylko taką rodzinę miała. Poranioną, wystawioną w ostatnich latach na wiele prób.

Szacunek. Wsparcie. Miłość. Lila powtórzyła te słowa w myślach. Tak bardzo chciała móc odnieść je do swojej rodziny. Ale czy naprawdę mogła?

Czy po tym, co się stało, jeszcze mogła?

Rozdział 2

Koła SUV-a podskakiwały na wybojach szutrowej drogi, którą jechali już kilka kilometrów. Trasa z Poznania na Dolny Śląsk nie była specjalnie męcząca, ale odkąd zwolnili na skraju lasu, mały od czasu do czasu grymasił. Lila знаła swoje dziecko, więc dobrze wiedziała, że tylko minuty dzielą Adasia od niekontrolowanego wybuchu płaczu. Z torebki wypełnionej zabawkami wyciągnęła kolorowe autko i kilka plastikowych zwierzątek i podała je synkowi. Zachęcony przez nią, nazwał kolejno każde z nich.

– Ile nam jeszcze zostało? – Kątem oka spojrzała na wyświetlacz telefonu zamocowanego w uchwycie. Ale wyznaczona kilka godzin temu trasa nie była teraz widoczna. GPS raz po raz gubił zasięg.

Siedząca obok niej siostra milczała. Milczała zresztą prawie całą drogę, zabunkrowana w swoim własnym świecie. Aleks pochłonięta była muzyką, która sączyła się ze słuchawek. Musiała być ustawiona na maksymalną głośność, bo Lila była w stanie rozpoznać odtwarzany utwór. *Teardrop*. Od niemalże pół godziny Aleks słuchała go w zapętleniu. Lila zawiesiła wzrok na prowadzącym samochód mężu i swoim siedzącym obok niego ojcu. Milczącym, takim samym jak zawsze. Antoni Pohl z reguły niewiele mówił, a z czasem okazało się, że mówi jeszcze mniej niż zwykle.

– Wygląda na to, że za kilkanaście minut będziemy. Mamy jeszcze z dziesięć, może piętnaście kilometrów. Sam nie wiem. Z tego, co pamiętam, to jedyna droga i ma nas zaprowadzić prosto na teren posesji. Nie powinniśmy się zgubić – odezwał się Piotr, ewidentnie zdezorientowany.

Muzyka w słuchawkach Aleks nagle ucichła. Tylko z głośników SUV-a słychać było jakiś bezosobowy szlagier.

– Nie wiem, zasięg wariuje. To pewnie przez ten las – dodał Piotr.

Spojrzał przez okno na rozciągający się wokół drogi, gęsto zalesiony teren. Korony drzew nie wpuszczały do środka żadnego promienia słońca. Nie było widać nawet jednego prześwitu. Czubki strzelistych sosen zdawały się sięgać nieba, a zapach żywicy był dosłownie wszędzie. Od kilkunastu minut wpadał do wnętrza samochodu.

– To nie tylko dlatego – odpowiedziała Aleks, zsuwając słuchawki. Spojrzała na Lilę swoimi brązowymi oczami. Takie same miała jej siostra. Ona i Lila były do siebie bardzo podobne. W zasadzie różniło je tylko jedno: miały zupełnie inny kolor włosów. Włosy Aleks były jasne i jedwabiste gładkie, sięgające pasa, a jej cera zdrowa, rumiana. Kędzierzawe włosy Lili były gęste, sięgające ramion, ale od lat niepokorne. Kontrastowały z jej jasną, porcelanową cerą. –

Ten odcinek lasu nazwano polskim lasem samobójców. Słyszeliście o Aokigaharze? – spytała Aleks.

– To chyba gdzieś w Japonii – podchwycił Piotr, w ostatniej chwili wymijając leżący na drodze konar.

– Tamten las jest jeszcze gęstszy niż ten. I jeszcze rozleglejszy – podjęła Aleks przerwany wątek. – Do jego wnętrza nie dociera wiatr – dodała. –

A przez wulkaniczne podłoże, na którym ten las rośnie, GPS-y szaleją, i kompasy też.

– Z tym że ten tutaj nie rośnie na podłożu wulkanicznym – odezwał się Antoni z rezerwą, spoglądając na mijane drzewa. Potem odwrócił się i popatrzył na swoje córki. Jego spojrzenie było nieprzeniknione, jak zawsze zresztą.

– W Aokigaharze zaburzenia w funkcjonowaniu sieci pojawiają się tylko w niektórych miejscach, i to ze względu na dużą ilość żelaza, jaka jest w podłożu. Tutaj żelazo też jest. To wina kombinatu w Przełęczowie, który ma tu składowisko. Stężenia niektórych metali przewyższają wszelkie normy. Do tego stopnia, że zmieniło się nawet pH gleby – wyrecytowała Aleks. – Czytałam o tym kiedyś.

– W takim razie dlaczego ktoś, kto jest ekspertem bioniki, wybrał takie miejsce? Czy tej idei nie przyświecają założenia proekologiczne? – zapytał Antoni.

– Podobno tam, dokąd jedziemy, zanieczyszczenie nie dotarło – oznajmiła Aleks ponuro. – Podobno – powtórzyła głośniejszym, pełnym wątpliwości głosem. –

Zastanawia mnie jeszcze jedno – szepnęła Lili do ucha, nieco się

rozchmurzając. – Jak nasz ojczulek wytrzyma bez czułych rozmów ze swoją dziewczyną vel Heleną „kij w tyłku”. – Aleks zachichotała.

– Przymknij się już – uciszyła ją Lila, jednak w jej głosie nie było złości, ale raczej cicha aprobata. Obie nie darzyły szczególną sympatią kobiety, z którą ich ojciec spotykał się od paru miesięcy.

Kilka minut później i parę zakrętów dalej nawet lokalne radio straciło zasięg. Przy każdej kolejnej próbie złapania czegokolwiek z głośników dobiegał jedynie drażniący uszy szum. Towarzyszył im przez kilka kolejnych kilometrów.

Wreszcie zza drzew wyłoniła się podłużna, wysoka brama i kamienny płot wyrastające z ziemi na wysokość co najmniej dwóch pięter. Zabarwione szarością kamienie wyglądały, jakby pozbawione były spoin, a pałkowate, przylegające do siebie żebra bramy zakończono ostrymi grotami. Wydawały się nie do sforsowania.

– No, no, milusio – skomentowała Aleks. – Facet chyba nieczęsto miewa tutaj nieproszonych gości.

Piotr spojrział na telefon. Na wyświetlaczu nie było ani jednej kreski.

– Jak się dostaniemy do środka? – spytał.

Lila wysunęła z torebki telefon. Miała numer kontaktowy do osoby mającej udostępnić im dom, ale jej telefon też był poza zasięgiem sieci. Nie minęło jednak więcej niż kilkanaście sekund, kiedy skrzydła bramy zaczęły się rozsuwać. Po chwili, kiedy już otworzyły się na oścież, SUV ruszył, a jego koła zaskrzypiały na żwirowej ścieżce prowadzącej na kamienny podjazd.

Wyłaniająca się zza drzew bryła domu wznosiła się na planie prostokąta. Kamienie z łamanego dolomitu, minerału, z którego zbudowany był dom, zmieniały w słońcu kolor, skrzyły się odcieniami srebra i szarości. Trzon modernistycznego budynku stanowiła wieża wyrastająca z opadającego gwałtownie wzgórza. Odchodziła od niej rozciągnięta na boki parterowa kondygnacja.

– Też macie takie dziwne wrażenie? – odezwała się Aleks, wysiadając z samochodu. Zmarszczyła brwi w oślepiającym słońcu. Przyłożyła dłoń do czoła, by osłonić oczy.

– Że jest tu równie pięknie, co strasznie? – zapytała jej siostra, wyciągając Adasia z fotelika. Od kilkunastu minut chłopczyk spał. Tym razem nie rozbudził

się na tyle, by się rozpłakać. Potarł tylko piąstką oczy i przyłgął do matki, która opatulila go kocykiem.

Za jednym z okien, sięgających od ściany do sufitu, mignęła ludzka sylwetka. Chwilę później przeszklone drzwi domu otworzyły się bezszelestnie. Pojawił się w nich szczupły mężczyzna koło trzydziestki. Niespecjalnie pasował do tego miejsca, do jego chropowatości, do wszechobecnej przyrody. Bardziej niż człowieka przypominał wyjątkowo realistycznego manekina. Krótkie blond włosy miał starannie wymodelowane. Nosił białą, perfekcyjnie uprasowaną koszulę ze sztywnymi mankietami. On też był sztywny. Poruszał się jak robot.

Wyszedł naprzeciw wypakowującej walizki rodzinie, trzymając w dłoniach niewielkie granatowe pudełko. Podszedł do Lili. Po chwili dołączyli do nich Antoni i jego młodsza córka.

– Jak minęła podróż? – spytał mężczyzna, pomijając wszelkie powitalne formułki. Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. – Jestem Maciej Mrowiński, asystent właściciela.

– Liliana Szafrńska, a to moja rodzina – przedstawiła się Lila. Wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń Mrowińskiego. Jego skóra była szorstka, nieprzyjemna w swojej fakturze. Zimna. – Podróż w porządku, choć jesteśmy trochę zmęczeni – dodała.

Lila rozejrzała się wokół. Dostrzegła należące do domu dwa tarasy. Stanowiły chyba zadaszenie dla wody szumiącej u stóp wzgórza.

– Więc przejdźmy do rzeczy. Oprowadzę państwa, zanim zapadnie zmierzch. Zresztą mam tylko pół godziny – dodał mężczyzna przepraszająco. Wyswobodził dłoń z uścisku Lilki i spojrział na zegarek. – A tutaj jest to, co najważniejsze. – Otworzył pudełko. W środku były cztery smartwatche. – Rekomenduję, aby się państwo z nimi nie rozstawali. To centrum sterowania domem i bramą, a także lokalizator. I, uprzedzam, smartwatch działa tylko wtedy, gdy przylega ciasno do skóry. A bez niego brama się nie otworzy. Oczywiście na maila otrzymali już państwo aplikację pozwalającą zapoznać się z obsługą domu? – Bardziej stwierdził, niż spytał. – Aplikacja zainstalowana na smartwatchu posiada takie same funkcje.

Lila kiwnęła głową i podciągnęła zsuwającego jej się z ramion synka.

– Owszem, ale niestety nie miałam czasu się z nią zapoznać.

– Szkoda. To by wiele ułatwiło. Ale teraz to już nie ma większego znaczenia. – Mężczyzna wzruszył obojętnie ramionami. – I tak nie będą z niej

mogli państwo tutaj skorzystać.

– Z czego nie będziemy mogli skorzystać? – zaciekała się Aleks.

– Z aplikacji przesłanej uprzednio na skrzynkę mailową, a w skrócie, także i z internetu – odpowiedział z ledwie wyczuwalnym zniecierpliwieniem.

– Dlaczego? – Dziewczyna zmarszczyła brwi. – Jak w takim razie mamy się posługiwać smartwatchami, skoro nie są połączone z siecią?

– Nie powiedziałem, że nie łączą się z siecią – odparł.

– Nie rozumiem – wtrącił się do rozmowy Piotr. – Może pan jaśniej?

– Jak pewnie państwo zdążyli zauważyć, ochrona prywatności jest tutaj traktowana priorytetowo.

– No rejczel – wtrąciła Aleks, przewracając oczami.

– Odpowiadając dalej na pańskie pytanie – zwrócił się do Piotra. – Jest tutaj wewnętrzna sieć, specjalnie zaszyfrowana. Z kolei pomieszczenia domu tworzą swoistą klatkę Faradaya. – Mrowiński przebiegł wzrokiem po trzech zdziwionych twarzach. Tylko Aleks patrzyła na niego inaczej, wyzywająco i gniewnie. – I warto wiedzieć, że wszystkie pomieszczenia w domu są ekranowane, czyli zabezpieczone przed podsłuchem – dodał, mierząc się z nią wzrokiem. – Nie przepuszczają fal ani do wewnątrz, ani na zewnątrz. Dlatego internet jest wyłączony z użycia. Wyjątkiem jest sieć wewnętrzna, o której już wspominałem. Tego typu innowacyjnych rozwiązań, których wdrożenia dopilnował sam właściciel, jest znacznie więcej. Proszę na przykład spojrzeć tam... – Mrowiński wskazał płaski dach domu. – Nie zobaczymy ich z zewnątrz, ale muszą mi państwo uwierzyć na słowo, że tam są. Mówię o panelach. Są zasilane biomasą, która odpowiada za zarządzanie energią całego budynku. Proszę za mną, naprawdę czas ucieka. – Mrowiński kolejny raz spojrzął nerwowo na zegarek, a potem wskazał na rdzewiejącą, masywną bramę ze stali, która majaczyła u stóp wzgórza.

– Brama swój kolor zawdzięcza procesowi rdzewienia żelaza – wyjaśnił, kiedy wszyscy zeszli na dół. Przekręcił w zamku niewielki klucz i popchnął bramę, która otworzyła się z trudem. Kiedy nowi goście znaleźli się po jej drugiej stronie, uderzył ich zapach wilgoci i gnijących liści. – Nazywam je najzimniejszym przedsionkiem piekła. Źródliśko. – Mrowiński wzdrygnął się i wskazał na nieruchome, parujące lustro wody. Było idealnie owalne, z najwęższym miejscem znajdującym się pod drewnianym mostem linowym, pod którym przepływała woda.

W źródłisku odbijały się rosące wokół traworośla, paprocie, drzewa i krzewy. Część drzew wyglądała na stare i martwe, od lat pozbawione liści, wyschnięte od środka. I w obliczu tego postępującego rozkładu trudno było zrozumieć, jaka siła właściwie zachowywała je jeszcze w pionie, bo wciąż były stabilne i trzymały się podłoża. Poza tamtą pierwszą falą nieprzyjemnego, organicznego zapachu w powietrzu unosiły się inne oznaki rozkładu – fetor butwiejącego drewna i moczarów. Z każdym kolejnym wdechem w płuca Lili coraz bardziej wdzierała się wilgoć. Na języku i w gardle pozostawiała dziwny, metaliczny posmak.

– Co tam jest, po drugiej stronie? – spytała Lila, podchodząc z synkiem do metalowej bramy blokującej wejście na mostek i połączonej z nim metalowym przesłaniem. Wejścia broniły dwie solidne kłódki.

– To niewielka wysepka, którą źródłisko okrąża. Przynależy do działki, ale to teren prywatny. Tam wejścia nie ma. – Mrowiński rozłożył bezradnie ręce.

– A co jest tam, w tamtym miejscu? – zainteresowała się Aleks, wskazując na przeciwległą stronę posesji, na błyszczące, metalowe druty jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

– To płot. Oddziela teren posesji od lasu – odparł Mrowiński, ale nie powiódł wzrokiem za dłoń dziewczyny.

– Wygląda bardziej jak zasieki. – Antoni się skrzywił.

– Bo to w istocie są zasieki – przytaknął Mrowiński. – Zdarzały się przypadki, że zwierzyna wdzierała się na teren posesji, żeby pić ze źródłiska. Zasieki skutecznie ją odstrasza.

– Odstrasza? Jeśli zwierzęta spróbują się tamtędy przedrzeć, są skazane na śmierć w męczarniach.

– Widzą państwo te białe, pulsujące na dnie źródłiska rozwarstwiają się okręgi? – zmienił temat Mrowiński. W jego głosie kryła się łatwo wyczuwalna obojętność. – To stamtąd woda wypływa na powierzchnię z głębokości trzystu metrów. W kuchni zostawiłem państwu dwa dzbanki z wodą właśnie stamtąd – oznajmił.

– Czy tu jest bezpiecznie? – spytał Piotr. – Mam na myśli skażenie terenu metalami ciężkimi...

– Skażenie terenu? – prychnął Mrowiński. – To od zawsze była prowokacja. Prowokacja i lokalne układy. A raczej zimna kalkulacja, by obniżyć ceny okolicznych gruntów. Ta woda jest czysta. Przebadana. Po tysiącokroć

smaczniejsza i zdrowsza niż tutejsza kranówka. Grunty też są czyste. – Mrowiński spojrzał na zegarek. – Naprawdę muszę zdążyć na umówioną godzinę – dodał przepaszając i ruszył w górę, nie oglądając się za siebie.

W drodze powrotnej Piotr odebrał synka od żony. Delikatnie ułożył go w ramionach. Mały nieprzerwanie drzemał, niczego nieświadom.

Dopiero kiedy wszyscy wspięli się na szczyt wzgórza, zdali sobie sprawę z rozmiarów działki. Graniczący z nią mur z tej perspektywy wydawał im się niewielki, odległy, był niemalże niewidoczny. Dom definiowany był przez otaczającą go przyrodę, mimo pory roku wciąż bujną, odcinającą się od jednowymiarowości lasu. Sosny dzieliły teren z kosodrzewiną, czarnym bzem i wiązami. W oddali, w jednym z narożników parceli, majaczył niewielki drewniany domek otoczony klonami. Nikt nie spytał Mrowińskiego o przeznaczenie chatki. Nie było na to czasu, bo przekroczenie progu domu wywołało u wszystkich spore poruszenie.

Sufit przedsionka, do którego weszli, podążając za Mrowińskim, był tak nisko, że przywodził na myśl jaskinię. Ciemne i wąskie przejście kontrastowało z obszernym salonem. Duże, panoramiczne okna sięgające od ściany do ściany wpuszczały do środka kaskadę promieni. Stwarzały obramowanie dla pejzażu, który wielkimi obrazami wnikał do wnętrza domu. Okna nie miały ram – szkło osadzono w kamieniu. Ze szkła był wykonany także blat stołu i świetliki w atrium, które zajmowało centralne miejsce w salonie.

– Coś nie tak? – spytał Mrowiński, widząc niepokój na twarzy Lilki. Przyglądała się tej sięgającej dachu szklarni, pośrodku której w olbrzymiej donicy rosło masywne drzewko oliwne. – To zielone płuca tego domu – wyjaśnił. – Stwarzają idealne warunki mikroklimatyczne, zresztą w myśl japońskiej sztuki organicznej. Jej założeniem jest harmonia człowieka z naturą. A nawiązań do architektury japońskiej jest tu znacznie więcej – dodał.

– Nie chodzi o to drzewo – przerwała mu Lilka. – Mamy małe dziecko. Obawiam się o jego bezpieczeństwo. – Spojrzała na drewniane schody oddzielone podestem. Były pozbawione poręczy i zabezpieczeń. Przylegały do kamiennej ściany.

– Jeśli o szkło chodzi, to nie ma powodów do obaw – odparł Mrowiński i szeroko się uśmiechnął. – Jest nietłukące. Jego struktura korzysta z imitacji tej, którą można znaleźć we wnętrzu muszli. Siatka z takich nacięć zwiększa wytrzymałość szkła dwieście razy – powiedział, podchodząc do zamocowanego na ścianie panelu. Był łudząco podobny do ścianki kostki

Rubika. Ale zamiast dziewięciu, mieścił zaledwie cztery kwadraty. Kiedy Mrowiński ścisnął równocześnie palcami każdy z boków przełącznika, widoczne na nim kafelki się podświetliły, zmieniając kolor z każdym kolejnym przyciśnięciem. – Alternatywnie możecie państwo używać tego panelu do sterowania domem.

– Domem, czyli konkretnie czym? – spytał Antoni.

– Wszystkim. Za pomocą panelu można sterować oświetleniem, temperaturą, roletami, muzyką albo dopływem gazu bądź wody. Każdy kolor oznacza daną funkcję, a przyciski służą do zwiększania bądź zmniejszania jej wartości. Muszą się państwo trochę tym pobawić, bo na mnie już czas. I tak jestem spóźniony – powiedział, wręczając Piotrowi klucz. – To w razie czego. Klucz do drzwi frontowych. Będę w niedzielę o piętnastej, jak ustaliliśmy – powiedział Mrowiński, pożegnał się i wyszedł.

Lila rozejrzała się po salonie. Kiedy stanęła pod oknem, odniosła wrażenie, że woda ze źródlika przepływa pod całym budynkiem, tworząc jego ruchomą podstawę. Zamiast odprężenia poczuła niepokój. Drażący, okrutny. Znajomy.

Obróciła się wokół własnej osi. Wszędzie widziała tylko szlifowany granit, szkło, kamienne ściany, płótno i stal. Na jednej ze ścian zawieszonych było kilka ledwie wykształconych poroży.

– To akurat jest odstręczające – powiedział Antoni cierpko. Powiódł za córką wzrokiem. – Mam na myśli to poroże – uściślił. – Na moje oko to były jakieś małe byki jelenia, dwu- i trzylatki. U pierwszego poroże nakładane jest przeważnie w formie szpiców z niewykształconymi różami, tak jak tutaj. A u nieco starszych byków w formie szóstaka, czasem ósmaka. Na górnych tarczach widzę podobne.

– A co to znaczy?

– Tylko to, a raczej aż to, że odstrzał byków w drugim roku ich życia jest moralnie bardzo dyskusyjny. – Antoni odchrząknął.

– I po co ktoś, komu przyświeca idea szacunku dla przyrody, zabija i jeszcze się tym chwali. – Lila wygięła usta z niesmakiem.

Po tych nakładających się na siebie obrazach poroża i surowych ścian do Lili dotarły dźwięki. Właściwie jeden, najbardziej znajomy – odgłos tupotu nówek jej syna. Wydawało jej się, że przegapiła kilka minut, a przynajmniej moment, w którym się obudził. Mały zwykle wtedy grymasił, a tym razem był

odprężony. Zadowolony. Spojrzała na wyciągnięte w jej stronę rączki. W jednej z nich zaciskał plastikowego lwa.

– Mamusiu, bawimy?

Lila delikatnie wyciągnęła dziecku zabawkę z dłoni i pocałowała je w czubek głowy. Chwyciła Adasia za rączkę i wydobyla z torebki termos. Przeleła jego zawartość do butelki, sprawdziła na swojej skórze temperaturę mleka i podała butelkę dziecku. Chłopczyk zaczął pić.

Kamień, szkło, woda.

Woda, kamień, szkło, beton, stal.

Natrętne myśli nie chciały odejść. Wciąż tam były. Wciąż ją prześladowały, tak samo jak zawsze.

Rozdział 3

wieczór

– Dlaczego to robisz? – Oniemiały Piotr spoglądał na żonę. Stała przy zlewie. W rękach trzymała dwa szklane dzbanki. Wodę chlusnęła do zlewu.

– Nie będziemy tego pić – odparła. – Tej wody ze źródła.

– Wyluzuj. – Piotr zaszedł Lilkę od tyłu i objął ją w pasie. Obie jego dłonie wsunęły się pod jej koszulkę, skąd przemieściły się w dół. Skóra Lilki była miękka i ciepła. W przeciwieństwie do betonowego blatu, o który się opierała. Piotr zacisnął palce na jej skórze, Lilka poczuła wbijające się w nią paznokcie. Kiedyś to lubiła. Lubiła, gdy ją drażniły. Kiedyś. – Za bardzo wierzysz w teorie spiskowe swojej siostry. Za bardzo się nakręcasz. Nie po to tu przyjechaliśmy – szepnął Lilce do ucha. Ustami musnął jej policzek. Zarostem podrażnił skórę. To też kiedyś lubiła.

Kiedyś.

– Muszę wykąpać małego – powiedziała, odsuwając od niego twarz. Ale nawet wtedy zapach jego skóry był tak samo silny. Zapach ziemi, soli, wiatru i morza. Z tym zawsze się jej kojarzył. Do teraz go lubiła. Przynajmniej on nie niósł tamtych strasznych wspomnień.

– Mały ma się świetnie. Bawi się z dziadkiem – odpowiedział Piotr. Lilka wiedziała, do czego to wszystko prowadzi. Czowała na sobie jego ciało. Wiedziała, jak bardzo był spragniony jej fizyczności. Od dawna się nie kochali. Całe miesiące. Straciła już rachubę.

– Nie teraz.

– Nie teraz? – spytał Piotr zdezorientowany. – To kiedy? Ile będziemy się jeszcze katować tamtym?! – warknął. – Kolejny miesiąc, dwa, a może jeszcze rok? – Gwałtownie odsunął od niej rękę.

Dopiero wtedy Lilka się odwróciła. Spojrzała mu w oczy. Sypały się z nich iskry.

– Tylko o to ci chodzi? O seks?

– O seks?! – zapytał drwiąco. – Nie ma cię, kurwa. Nie ma cię w żadnym wymiarze. Nawet w najmniejszym stopniu. Ciebie nie ma w ogóle – wyrzucił Piotr z siebie jednym tchem. – Nie tylko o ciało chodzi. Nie tylko o ten jebany...

Jego słowa zawisły w próżni, wściekłe i niedokończone, bo do kuchni wparowała gotowa do wyjścia Aleks. Piotr wykorzystał ten moment, by odsunąć się od żony. Stał przy oknie, ale widać było już tylko ciemność.

– A co tu taka skisła atmosfera? – spytała Aleks. – Korzystajcie lepiej z wolnej chaty. – Powiodła wzrokiem po twarzach siostry i szwagra. – Ja się ulatniam.

Na twarzy Lilki pojawiło się zdziwienie.

– A ty niby dokąd się teraz wybierasz?

– Mówiłam ci przecież. Mała impreza u Kamila. Tego Kamila – podkreśliła Aleks. – Czasem wspólnie bierzemy udział w zawodach. Wiesz przecież. Nie widzieliśmy się parę miesięcy, a Kamil mieszka kilkanaście kilometrów stąd. Zgadaliśmy się, że będę w okolicy i voilà, on jakimś cudem tu jednak trafił – powiedziała, wyglądając przez okno.

Zupełną ciemność przecinały słabe światła reflektorów zaparkowanego pod bramą samochodu.

– Nie mówiłaś mi o tym – stwierdziła Lilka. Chciała, by jej słowa zabrzmiały jak wyrzut, ale czał się w nich tylko smutek.

– Mówiłam. Tylko mnie nie słuchasz. I nie pytam cię o zgodę – oznajmiła Aleks, biorąc w rękę ostatnią kanapkę, która została na talerzu po kolacji. – Będę przed północą. Kamil mnie odwiezie, a my spędzimy jeszcze czas razem, jak prawdziwa, kochająca się rodzina. Ale to już jutro – dodała z ironią. – No i zobaczymy, czy to rzeczywiście działa.

Spojrzała na zapiętego na nadgarstku smartwatcha, a potem wyszła.

Lila i Piotr zostali sami, otoczeni ciszą. Była pełna niewypowiedzianych słów i wzajemnych oskarżeń. Tak od jakiegoś czasu wyglądał ich dialog. Kilka chwil później przerwał ją głośny płacz ich synka. W przejściu pojawił się ojciec Lili z wnukiem na rękach.

– Co się stało? – krzyknęła Lila, widząc spory czerwony ślad na czole synka.

– Uderzył się o kant sofy. Bawiliśmy się klockami i nie wiem, chyba jej nie zauważył – tłumaczył gorączkowo ojciec.

– Już dobrze, Adasiu. Już dobrze. – Lila odebrała dziecko od ojca. – Wyciągnij lód z zamrażarki i owiń go w ręcznik – poleciła mężowi.

Chciała, żeby ten dzień już się skończył.



Tak naprawdę wcale nie musiała go kąpać, ale mały uwielbiał wodę. Uwielbiał bawić się gumowymi kaczkami i statkiem. Zawsze potem spokojnie zasypiał. To jedno z upodobań, jakie łączyło synka Lili z jej młodszą siostrą, mistrzynią Polski w pływaniu synchronicznym. Aleks od dziecka uwielbiała wodę. Adaś od pierwszych tygodni życia reagował na nią tak samo entuzjastycznie.

Designerska wanna okazała się cholernie nieporęczna dla kogoś, komu, tak jak teraz Lili, zależało na szybkim wykąpaniu dziecka. Była owalna i głęboka, więc nie można było nawet na sekundę wypuścić dziecka z rąk. Lilka jedną ręką trzymała więc kurczowo Adasia, a drugą go myła. W powietrze raz po raz wzbijały się kłęby piany pachnącej gumą balonową. Im więcej jej było, tym bardziej chłopczyk zanosił się śmiechem.

– Mamusiu, statek – zawołał mały. Lila przemyła mu buzię. Zauważyła, że guz na czole zdążył już nieco zmienić kolor, ale wydawało się, że miejsce uderzenia już go nie boli. – Bajeczkę! – zarządził, robiąc paluszkami kręgi na wodzie.

Lila wiedziała, że Adaś ma na myśli wierszyk, który powtarzała mu podczas prawie każdej kąpieli. Wyrecytowała go tak samo jak zawsze, ze zmienianą w każdej linijce intonacją.

*Gdzie horyzont w oddali,
Tańczą statki na fali.
Tańczą z wichrem w ulewie,
Złuszcząc chmury na niebie.*

Kolejne obłoczki piany wzbily się w powietrze. Jeszcze przez chwilę wzbijały się i opadały na złociste włosy chłopczyka, tworząc koronę na czubku jego głowy. A im więcej ich było, tym bardziej Adaś chichotał.

*Chmury też by tańczyły,
Ale suknie zmoczyły.
Więc ze złości grzmią wkoło,
Marszcząc wodne swe czoło.*

Gdy tylko Lila skończyła recytować wierszyk, dopadło ją zmęczenie. Było tak potworne, że dosłownie ścięło ją z nóg. Wydobyła więc korek z wanny, a potem czym prędzej wyciągnęła z niej dziecko i owinęła je ręcznikiem. Słyszała, jak woda uciekała z wanny z głośnym świstem. Kiedy gasiła światło w łazience, trzy kacuszki i statek leżały na dnie wanny w białych kłębach piany.

Chwilę później Lila była już na górze, w tej sypialni, którą dzieliła z mężem. Włożyła Adasia do turystycznego łóżeczka i patrzyła, jak mały zasypia, podczas gdy ona na poczekaniu wymyślała historię o trzech misiach i samotnym wędrowcu. Zawsze była dobra w wymyślaniu historii, nawet jeśli robiła to bez żadnego planu na dalszy bieg zdarzeń. Kiedy oczka dziecka się zamknęły, a oddech stał się miarowy, Lila wślizgnęła się po cichu do łóżka, w którym Piotr zasnął już wcześniej z książką w ręce. Najwyraźniej był równie zmęczony jak ona.

Kątem oka spojrzała na ustawiony na stoliku nocnym zegar. Dochodziła dopiero dziesiąta, ale potrzeba snu i potworne zmęczenie coraz bardziej tłumiły jej świadomość. Lila postanowiła, że tylko się położy. Położy się i będzie czuwać, aż jej siostra wróci bezpiecznie do domu. Ale plan się nie powiódł, bo zasnęła twardo i obudziła się dopiero, kiedy zegar wskazywał siódmą trzydzieści.



Uderzyło ją to, że Adaś przespał całą noc. Zwykle budził się między czwartą a piątą, a Lila podawała mu wtedy mleko. Jej początkowe zdziwienie nie było jednak podszyte lękiem.

Ot, zmiana klimatu i sporo wrażeń, dlatego mały pospał dłużej, pomyślała.

Tylko tyle. Zaniepokoiło ją dopiero to, że przez siatkę łóżeczka nie dostrzegła swojego dziecka. Ale i to mogło przecież nic nie znaczyć. Może jej ojciec albo siostra, mimo tak wczesnej pory, zabrali małego na dół i właśnie go karmili. Jednego była pewna. Nie mógł to być Piotr, który nadal spał tuż obok.

Lila poderwała się z łóżka. Łóżeczko faktycznie było puste. Ale nie to było najgorsze. Pościel w łóżeczku była uprasowana i starannie złożona, jakby nietknięta. Właśnie taką wyciągnęła z torby, zanim rozłożyła ją w łóżeczku i okryła nią synka. Na poduszce nie było śladów jego główki. W sypialni w ogóle nie było żadnych śladów niedawnej obecności dziecka. Żadnych śladów Adasia.

Chłopczyk zniknął.

I wszystko wskazywało na to, że nigdy go tu nie było.

Rozdział 4

Kilka chwil później drzwi otworzyły się na oścież, a do sypialni wparowała Aleks, zaalarmowana krzykiem siostry. Miała na sobie tylko bokserki i tę samą koszulkę Iron Maiden, w której przyjechała wczoraj. Dziś T-shirt wyglądał na jeszcze bardziej wymięty i był jeszcze bardziej przesiąknięty papierosowym dymem. Aleks miała podkrążone i przekrwione oczy. Była blada.

– Co się dzieje? – spytała. Z jej ust wydobyła się ledwie wyczuwalna woń alkoholu.

– Adaś zniknął. – Lila gorączkowo przeglądała ubrania synka. Niczego nie brakowało. Niczego poza dwuczęściową seledynową piżamką w błękitne stegozaury. – Nie było go z tobą? – zapytała z nadzieją.

– Jezu, i dlatego postawiłaś na nogi cały dom? – Aleks ziewnęła, spoglądając na wyrwanego ze snu Piotra, który wciąż leżał pod kołdrą. Wyglądał na zdezorientowanego. – Pewnie jest z tatą, przecież nie mógł sam wyjść z łóżeczka. Jest zbyt wysokie – dodała ze stoickim spokojem.

Spokój Aleks wynikał z tego, że była przyzwyczajona do lękowych napadów siostry. Zdarzały się średnio raz na dwa miesiące. Zawsze chodziło o to samo – o bezpieczeństwo Adasia. Aleks uważała je za nieuzasadnione, irracjonalne wręcz, podobnie jak wizje, które jej siostra wtedy miewała. Kończyły się zawsze tym samym – Adaś umierał, obficie krwawiąc.

– Wszystko w porządku? – Zza pleców dziewczyny wyłonił się jej ojciec.

Jego gęste włosy, poprzetykane nitkami siwizny, były rozczochrane. Miał na sobie granatowo-białą prążkowaną piżamę. I on wyglądał na gwałtownie wybudzonego ze snu.

– Jest z tobą Adaś? – zawołała Lila histerycznie.

– Nie. – Ojciec pokręcił głową. Wierzchem dłoni potarł zaspane oczy. – Spałem cały czas. Chyba.

– Chyba? Co to znaczy?

– Raz byłem w toalecie. Wracałem po omacku zaspany – wyjaśnił.

– Nikogo wtedy nie widziałeś?

– Byłem prawie nieprzytomny, dziecko. Boże, Lila, co jest grane? I gdzie jest mały?

– Ktoś go zabrał... On go zabrał... – powtarzała Lila, przekopując się przez stertę ubranek, jakby to tam, pośród kolorowych koszulek i spodni, spodziewała się znaleźć swoje dziecko.

– Uspokój się. Jaki on? – spytał Piotr. Gwałtownie podniósł się z łóżka. Wzrok miał przytomny, a spojrzenie czujne, wyraźnie zaniepokojone.

– Wpuszczałaś go potem tutaj, kiedy wróciliście? – Lila zignorowała pytanie męża i zwróciła się do siostry.

– Kogo?

– Tego typu, z którym pojechałaś. I o której wróciłaś?

– No co ty! – Aleks się wzdrygnęła. – Wracałam uberem, bo Kamil nieźle się napruł. W sumie oboje nieźle się napruliśmy. Kierowca wyrzucił mnie pod bramą i to wszystko. – Zrobiła krok do tyłu, by przytrzymać się framugi drzwi. Wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie. – Byłam tu o drugiej, może trzeciej. Zasiedzieliśmy się. – Po raz pierwszy w jej głosie dało się wyczuć niepokój. Niepokój i coś, co można by uznać za poczucie winy.

– Wchodziłaś potem do naszej sypialni?

– Nie, ledwie zawlekłam się do wyra. Mówiłam już, trochę przesadziłam z alko. Łeb mi pękał. Poza tym spaliście. Wszędzie było ciemno i głucho.

– A gdzie ty byłeś całą noc? – Lila zawiesiła udęczone spojrzenie na swoim mężu.

Piotr się zawahał. Trwało to o kilka sekund za długo.

– Opanuj się, znajdziemy go – odezwał się wreszcie. Głos mu drżał.

Kilka chwil później, kiedy na kolejne pytania nie było odpowiedzi, a skrajny niepokój udzielił się wszystkim, Szafraniec, Antoni i Aleks rozpierzchli się po domu. Przeczესali każde pomieszczenie – na parterze, piętrze i w przyziemiu, na którego poziomie mieściła się sala gier. Chłopca nie było za przesuwymi lustrzanymi ścianami ani w schowku. Nie było go nigdzie. Największa łazienka zlokalizowana na parterze była ostatnim miejscem, które należało sprawdzić.

Lila pchnęła prowadzące do niej drewniane drzwi i weszła do środka. Przez panoramiczne okno do łazienki wpadało jasne światło. Było czyste i kojące, tak niepasujące do tego, co Lila teraz czuła. Jedwabisty blask światła osiadał na drewnianych szafkach i owalnej designerskiej wannie. Tej samej, którą napełniła poprzedniego wieczoru, żeby wykąpać w niej synka.

Ale dziś wanna nie wyglądała tak jak wczoraj. Nie była pusta. Na nieruchomej tafli wody wypełniającej prawie całą wannę unosiły się trzy gumowe kaczuszki i statek. Białe obłoczki piany zamieniły się w mizerne kłębuszki. Lila podeszła bliżej. Niemal nie oddychała. Nie czuła nic poza uporczywym łupaniem w skroniach. Jej puls szalał. Włożyła dłonie do wody, która okazała się lodowata. Kilkoma gwałtownymi ruchami rozsunęła pianę na boki, rozchlapując przy tym wodę na kamienną posadzkę. Kaczuszki i statek też tam wylądowały. Żołądek podszedł jej do gardła, wypełniała go gęsta, kleista masa. I ta wstrętna gorycz.

Czy na dnie leżał jej syn?

– Zostawiłaś je otwarte? – usłyszała głos swojego męża. Dobiegał gdzieś z oddali, jakby z innego świata albo wymiaru. Wszystko wydawało jej się teraz odległe i obce, nawet ta wanna, której krawędzi kurczowo się trzymała. – Aleks, pytałem, czy drzwi wejściowe zostawiłaś otwarte? Gdzie jesteś, do cholery?! Aleks!

Lila przejrzała się w tafli wody, jak w lustrze. Jej twarz wykrzywiała się i rozciągała w tym fałszywym zwierciadle. Ale kiedy woda się uspokoiła, okazało się, że na dnie wanny nie ma nic. Nic poza kilkoma czarnymi rysami.

Już tam wcześniej były? Czy jednak nie? Lila nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Ale jedno wiedziała na pewno.

Nie było tam Adasia. Jej dziecko nie leżało na dnie.

Łupanie w skroniach Lili nie ustało, choć minimalnie zwolniło. Ale w ciągu tych kilku chwil gula w jej gardle zrobiła się jeszcze większa. Tak zawsze materializował się w niej narastający strach. Klęknęła przy muszli klozetowej i zwróciła całą gorycz, która w niej zalegała.

– Byłam na dole. Tam też nic. Jakie drzwi?

W przerwie między kolejną falą torsji Lila usłyszała głos siostry. Był dokładnie taki sam jak głos jej męża – odległy i obcy.

Lila podniosła się, wierzchem dłoni otarła usta i wyszła z łazienki. Kiedy do nich dołączyła, Piotr i Aleks stali w przedsionku, przy drzwiach wyjściowych.

Ojciec również się pojawił. Tuż obok niego na kamiennej posadzce rysowała się cienka smużka światła wpuszczona przez uchylone drzwi. Dopiero teraz Lila zauważyła, że były niedomknięte.

– Otworzyliście je teraz? – zwróciła się do męża i siostry.

– Nie. Były uchylone, kiedy tu przyszedłem – odpowiedział Piotr. Powieka nerwowo mu drgała.

– Zamknęłam je, kiedy wróciłam. Jestem absolutnie pewna – zarzekła się Aleks.

– Byłaś pijana. – Lila rzuciła siostrze oskarżycielskie spojrzenie. – Skąd możesz to wiedzieć?

– Pamiętam. Pamiętam, bo ten pieprzony dźwięk, który wydają drzwi, słyszałam aż trzy razy. Głowa rozboleła mnie wtedy jeszcze bardziej.

Stojący z boku Antoni pochylił się nad smugą światła, a potem nad nią przyklęknął. Zamrugał kilkakrotnie. Robił to zawsze, kiedy w skupieniu dochodził do jakiegoś wniosku. Przetarł palcami chropowatą powierzchnię. Przyłgnęło mu do nich całe mnóstwo czarnych drobinek.

– Zaschnięte błoto – ocenił, pocierając kciuk o palec wskazujący.

Wyjrzał przez okno. Zatrzymał wzrok na trzech sporych kałużach, które pojawiły się tuż przy kamiennej alejce. Wczoraj ich tam nie było.

– W nocy padało.

Mężczyzna przeniósł wzrok na młodszą córkę, domagając się jej reakcji. Aleks stanowczo potrząsnęła głową.

– Nie wtedy, kiedy wracałam.

– Ale ktoś to błoto tutaj wniósł. Najpewniej w ciągu ostatnich kilku godzin. Może wychodziłaś na papierosa? Zawsze to robisz. Wstajesz i jarasz na balkonie.

– Mówiłam już, że nie – odparła zniecierpliwiona Aleks. – Byłam skonana. Zasnęłam w ciuchach, prawie na siedząco.

Antoni raz jeszcze przyjrzał się śladowi. Nie ufał słowom córki. Na pierwszy rzut oka ślad był ledwie widoczny na tej szarej, kamiennej posadzce i dopiero pod odpowiednim kątem ułożył się w kształt niedużej ludzkiej stopy.

– Tych śladów jest więcej – oznajmiła Aleks, kucając przy ojcu. – I chyba prowadzą na schody.

Pochylona nad podłogą, podążyła w milczeniu za rysującymi się przed nią odciskami stóp. Im więcej schodów pokonała, tym ślady były mniej wyraźne. W pewnym momencie już na samej górze prawie zupełnie zanikały, ale jednak wyraźnie prowadziły do sypialni Lili i Piotra. Aleks popchnęła przymknięte drzwi i przekroczyła próg pokoju. Obeszła stojące pod oknem łóżeczko Adasia, a potem skierowała się w stronę łóżka jego rodziców. Tam gwałtownie się zatrzymała i przykucnęła. Podniosła z dywanu niewielki przedmiot i obróciła go w palcach.

Chwilę później do sypialni wpadli pozostali. Ich oczy zwrócone były na Aleks i na odprysk w jej dłoni. Z odległości nie mogli stwierdzić, czym ów przedmiot jest. Ale Aleks już wiedziała. Na razie tylko ona.

Z bliska rdzawy kolor odprysku jeszcze wyraźniej kontrastował z kremowym dywanem, na którym wcześniej leżał. Aleks obawiała się tych pojawiających się w głowie myśli.

Okrutnych myśli.

Podejrzeń.

Podejrzeń wobec własnej siostry.

Odprysk leżał tuż przy łóżku, po stronie, którą zajmowała Lila. Na wystającym spod kołdry prześcieradle znajdowało się coś jeszcze, co przykuło uwagę Aleks i co sprawiło, że przeszył ją dreszcz niepokoju. Jednym ruchem odkryła kołdrę. Na prześcieradle widniały czarno-szare ślady zaschniętej ziemi. Sypialnię wypełniła złowieszcza cisza, ciężka od niewypowiedzianych oskarżeń i domysłów. Nie tylko jej własnych. Po chwili przerwał ją Piotr.

– Co to ma znaczyć? – Powoli przeniósł wzrok z zabrudzonego ziemią prześcieradła na stopy swojej żony. Między palcami Lili widać było zaschnięte błoto. – Co to, kurwa, jest? – wysyczał.

Oniemiała Lila uniosła nogę. Nie zauważyła wcześniej, jak bardzo jej stopy są brudne. Musiała chyba przejść boso przez kałużę albo błoto. Nie czuła też przyklejonych do skóry sosnowych igieł. Ani niewielkiego odprysku. Taki sam Aleks właśnie znalazła na dywanie i trzymała w otwartej dłoni, stojąc teraz obok niej. To była farba, która łuszczyła się z bramy prowadzącej nad źródłisko.

– Dziecko, przypomnij sobie... – Znajomy głos, głos ojca, był tak samo odległy i nierzeczywisty, jak poprzednio w łazience. – Wstawiałś w nocy – mówił Antoni. O nic nie pytał. Po prostu stwierdzał fakt.

– Nigdzie się stąd nie ruszałam. Nigdzie – odpowiedziała mu Lila. Ale słyszała nutę fałszu w swoim głosie.

– Położyłaś Adasia do łóżeczka i co wtedy? Co było wtedy, dziecko? – To znów był głos ojca. Rzeczowy i spokojny. Tylko jego dłoń zaciśnięta na nadgarstku Lili świadczyła o czymś zupełnie innym.

Antoni powoli tracił nad sobą kontrolę. Ojciec sprawiał Lili coraz większy ból.

Lila zrobiła krok do tyłu i wyszarpnęła się. Rozmasowała bolące miejsce, na którym zdążyła już się pojawić czerwona pręga. Kiedy podniosła wzrok, poczuła na sobie spojrzenia, wszystkie trzy jednakowo ją osaczające. A najgorsze było to, jak bardzo wydawały jej się teraz obce.

– Nie patrzcie tak na mnie, do cholery! – Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu i uderzyła plecami o ścianę.

– To wygląda jak farba z tej bramy przy źródliisku – odezwała się Aleks. Nadal obracała odprysk w dłoni. – Byłaś tam? Poszłaś tam z Adasiem? – mówiła z trudem, bo słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Usta miała jakby zdrętwiałe.

– Co chcecie przez to powiedzieć? – Lila spojrzała najpierw na twarz siostry, a potem na męża i ojca. – Że skrzywdziłam swoje dziecko?

Nie czekając na reakcję swojej rodziny, wypadła na korytarz, zbiegła po schodach, a stamtąd przeszła na ganek. Bose nogi niosły ją same, nie tylko przez kałuże i mokrą trawę. Na drodze prowadzącej w dół zбочa Lila natrafiła jeszcze na szyszki, kamienie i patyki. Nawet jeśli kaleczyły jej stopy, niczego nie czuła. Niczego poza chłodem zimowego poranka, który wślizgiwał się pod jej koszulę nocną. Było coś, co miało teraz nad nią całkowitą kontrolę – paraliżujący strach przed tym, co mogła zastać po drugiej stronie bramy.

W głowie Lili błyskała tylko jedna myśl – dziecko.

Jej dziecko może gdzieś tu być.

Kiedy dotarła do stalowej bramy, kluczyk nadal pozostawał w zamku, ale Lila nie musiała go przekręcać. Brama puściła pod naporem jej ciała.



Tak wczesnym rankiem do źródliiska nie docierały promienie słoneczne, więc wyglądało ono inaczej niż poprzednio, znacznie straszniej. O wiele

bardziej złowieszczo. Gałęzie pochylającej się nad nim wierzby wydawały się dłuższe, bardziej splątane i koślawe. Mimo to jeszcze śmielej wyciągały ramiona w stronę lustra wody. Niektóre z nich, te najmocniej targane przez wiatr, wyłaniały się raz po raz ze źródliska, przywodząc Lili na myśl ramiona tonącego, który resztką sił walczył o życie. Strach kolejny raz mącił jej w głowie, w ten sposób Lila próbowała sobie racjonalizować te podszepty własnej wyobraźni.

I z tego stanu wyrwał ją plusk wody. Na jej spokojnym, czarnym lustrze rysowały się teraz powiększające się okręgi. Jeden, drugi, trzeci. Było ich coraz więcej i przemieszczały się coraz szybciej wyznaczane trasą pokonywaną przez jej męża. Piotr brnął naprzód, ubrany w samą tylko piżamę, coraz bliższy środka.

I dokładnie wtedy Lila ją zauważyła. Zauważyła, dokąd zmierza jej mąż.

Seledynowa koszulka z błękitnym wzorem.

Było już widno, ale nie na tyle, by Lila mogła od razu rozpoznać szczegóły.

Teraz i ona brodziła w wodzie, była coraz bliżej.

Stegozaury. To naprawdę był ten sam wzór.

Na tafli wody unosiła się seledynowa koszulka w stegozaury. Rozpostarte rękawki ze znajomym wzorem na przemian unosiły się i opadały.

Adaś.

W głowie Lili wciąż pozostawała tylko ta jedna myśl.

Lila zamknęła oczy i kiedy na powrót je otworzyła, Piotr już sięgał po koszulkę. Ulubioną koszulkę Adasia, którą jej synek miał na sobie wczorajszego wieczoru.

Rozdział 5

wtedy / luty 2019

Piątkowy wieczór w Neonie zawsze wyglądał podobnie. W niewielkim lokalu skąpanym w ciepłym świetle lamp było gwarно, tłoczno i kolorowo. Nad prostymi metalowymi stolikami udekorowanymi kwiatami i figurkami Buddy unosiły się charakterystyczne zapachy. Dziś dominował aromat przyrządzanych na oczach gości bułeczek bao i rozmaitych dań z woka – pikantnych, słodkich, słonych.

Największy stół, przy którym siedziało kilkanaście osób, był wciśnięty w narożnik sali. Znad parujących miseczek unosił się apetyczny zapach, a kieliszki po brzegi wypełniało wino. Na twarzach gości pojawiały się i znikwały czerwono-zielone rozbłyski światła.

Jeden z siedzących przy stole uniósł kieliszek. Chłopak miał dwudniowy zarost, a na sobie białą koszulę. Była rozpięta do połowy, niedbale wciśnięta w dżinsowe spodnie. Jego śmiejące się błękitne oczy w świetle neonowych lamp sprawiały wrażenie fosforyzujących. Był atrakcyjny w jakiś niewymuszony sposób.

– To co, stówka! – Spojrzał na siedzącą w centralnym miejscu brunetkę ubraną w wydekoltowaną sukienkę mini na całej długości ozdobioną cekinami.

Chwilę później przez salę przetoczyły się słowa chóralnie odśpiewanego „Sto lat”. Kiedy umilkły, wokół solenizantki natychmiast zebrał się wianuszek gości.

Chłopak o fosforyzujących oczach pierwszy złożył dziewczynie życzenia, a potem stanął z boku. Wkrótce pojawiła się przy nim dziewczyna o długich blond włosach. Lila jej nie rozpoznała. Ale język ciała tamtej zdradzał jej chęć flirtu. Lila dobrze знаła te wabiące ruchy i kusicielskie spojrzenia innych

kobiet. Potrafiła je błyskawicznie rozszyfrowywać, zważywszy na to, że kobiety często kręciły się wokół jej narzeczonego.

– To jak robimy? – Lila podeszła do Piotra i pocałowała go w usta. Pachniał jak zawsze solą, ziemią i drzewem sandałowym. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Z czym? – Spojrzał jej w oczy.

– Może ja w czymś pomogę? Mój narzeczony jest teraz zajęty – zwróciła się do blondynki. – Bardzo zajęty. – Lila wplotła mu dłoń we włosy.

Speszona dziewczyna spuściła głowę i szybko się oddaliła.

– Zostaw to. – Lila odebrała Piotrowi kieliszek. Drugą dłoń wsunęła w jego rękę. Lubiła jej strukturę, szorstką skórę i wyczuwalną pod nią siateczkę żył. Lubiła ten stan ich niewymuszonej symbiozy. – Żadnego alko – powiedziała, ale w jej głosie nie było nagany.

– Przecież nie pojedę po kielichu. Weźmiemy ubera. Odbiorę auto jutro. – Piotr skinął głową na zaparkowane pod barem ubłocone audi. Samochód stał między latarnią a stojakiem na rowery, z którym ktoś właśnie się mocował. Lila od razu rozpoznała dziewczynę przypinającą rower, choć nie miała pojęcia, co, do cholery, ona tutaj teraz robi. Wysunęła swoją dłoń z uścisku Piotra i natychmiast wyszła na zewnątrz, rzucając Piotrowi tylko naprędce „zaraz wracam”.

– Co ty tutaj robisz? – zwróciła się do siostry, nadal mocującej się z rowerem.

– Zostałam zaproszona – oznajmiła Aleks, wzruszając ramionami. – Tak samo jak ty.

– To wiem. Ale za trzy miesiące matura, a ty masz pałę z matmy na pierwszy semestr, a ode mnie szlaban – powiedziała zirytowana Lila. – Pytam więc jeszcze raz: co tutaj robisz?

– Szlaban? – parsknęła siostra. – Serio? Znów za bardzo wczuwasz się w jej rolę. Nie jesteś naszą matką – oznajmiła i wyszczerzyła zęby.

– O to ci chodzi? – Lila zagroziła jej drogę. – Znów to robisz, naprawdę znów chcesz wszystko spieprzyć?

– Aaaa, rozumiem. To tak cię boli? Ta matka, co? – Aleks przewróciła oczami. – Matka, mamusia!

Dziewczyna zawsze używała tego słowa, kiedy chciała wyprowadzić siostrę z równowagi. „Matka” była w ich rodzinie wyjątkowo drażliwym tematem. Lila nigdy nie chciała grać tej roli, ale wymusiły to okoliczności i brak alternatywy.

Ich matka wyjechała do Włoch pod pretekstem zarobienia pieniędzy na spłatę kredytu, kiedy dziewczynki były jeszcze małe. Lila miała wtedy dziesięć, a Aleks pięć lat. Kolejne miesiące jej nieobecności zmieniły się w długie lata. Dopiero jakiś czas temu okazało się, że Edyta Pohl od dawna prowadziła we Włoszech drugie życie, w którym nie było dla nich miejsca. Ojciec dziewczynek latami uciekał od odpowiedzialności za nie. Uciekał od nieobecności żony, uciekał od własnych córek, wybierając towarzystwo zwierząt, które leczył. Odkąd Lila ukończyła dziesięć lat, słowo „dzieciństwo” w jej świadomości zupełnie straciło swój czar. Nauczyła się za to odpowiedzialności, szorstkiej i dyscyplinującej. Nauczyła się być steraną życiem dorosłą osobą, jeszcze zanim weszła w okres dojrzewania. Tak naprawdę z biegiem lat stała się tym, kogo nienawidziła. Była matką, przymusowo wcieloną w tę obcą sobie rolę.

A i tak nawaliła. Czowała, że w kwestii opieki nad własną siostrą poniosła sromotną porażkę. Czowała się odpowiedzialna za to, że nie dostrzegła w porę tego, że Aleks jest uzależniona od narkotyków: ecstasy, koki i innego kurewstwa. Pierwszym znakiem, który ją zaalarmował, było to, że jej siostra, dotychczas niepotrafiąca żyć bez regularnych treningów, zupełnie z nich zrezygnowała. Nie podeszła też do kolejnych mistrzostw w pływaniu synchronicznym, a zbyła to gadką o tym, że się wypaliła. Lila początkowo, zbyt pobłażliwa i ufna wobec siostry, naiwnie jej wierzyła. Tym bardziej że nie zauważyła w siostrze znaczącej fizycznej ani emocjonalnej zmiany. Już wcześniej Aleks bywała wiecznie nadąsana, rozdrażniona i nieobecna. A jeśli w tamtym czasie w ogóle pojawiała się naćpana w domu, to doskonale potrafiła to ukrywać.

Ale w końcu przestała się maskować. Którejś nocy wróciła do domu ledwie przytomna. Następnego dnia Lila, po karczemnej awanturze, którą jej urządziła, przeszukała wszystkie znane jej skrytki siostry. W tej ukrytej za tapetą, gdzie Aleks dotychczas trzymała jedynie swój pamiętnik, Lila znalazła dwa niewielkie woreczki strunowe. Jeden z nich do połowy wypełniony był kolorowymi piksami, a w drugim Lila znalazła śladowe ilości białego proszku. Od razu zorientowała się, jaka jest zawartość obu woreczków.

Na szczęście w walce o Aleks ojciec wspierał Lilę. Oboje wysłali Aleks na półroczną terapię odwykową, gdzie przyznała się do tego, że za pieniądze przeznaczone na korepetycje regularnie ćpała. Robiła to, odkąd zrezygnowała z treningów, czyli przynajmniej od czterech miesięcy. Aleks wróciła z detoksu odmieniona, nadal chwilami krnąbrna i szorstka, ale już czysta, autentycznie spragniona powrotu do dawnego życia. Do teraz Lila zmuszała ją do robienia narkotestów, choć coraz rzadziej. Lila wiedziała, że branie narkotyków groziłoby Aleks dyskwalifikacją, a od kilku miesięcy dziewczyna wróciła do sumiennych treningów ze zdwojonym zapałem i z determinacją. Ale obrazy z tych ostatnich trudnych lat i miesięcy wciąż przesuwwały się teraz Lilce przed oczami. Miała dosyć problemów, które wiecznie ciągnęły się za jej siostrą.

– Znów mi to robisz? – warknęła.

Aleks rzuciła siostrze konfrontacyjne spojrzenie.

– To?

– Szukasz kolejnego guza.

Pretensja, którą Aleks wyczuła w głosie siostry, podziałała na nią jak płachta na byka. Często tak było. Impulsywność Aleks w sytuacjach, które brała za atak, nie pozwalała jej myśleć rozsądnie.

– To moje życie. Moje jebane życie! I nie, nie ćpam. Bo idę o zakład, że znowu będziesz mnie o to maglować. Wyrwałam się na parę godzin, żeby świętować. Tylko tyle.

Nieprzespane noce. Pobłażliwość. Potrzeby siostry, które od lat przeważały nad jej własnymi. Tym razem Lila nie zamierzała jej ustępować. Potrząsnęła więc stanowczo głową.

– Naprawdę mam cię teraz eskortować do domu?

– Eskortować? – Aleks parsknęła lekceważącym śmiechem. – I może jeszcze po tym? – Wskazała na kieliszek, który Lila nadal trzymała w dłoni. – Pani Poprawna, ty tak na serio?

– Nie prowadzę – odparła Lila. – Poza tym nawet nie tknęłam alkoholu.

– No i raczej nie powinnaś. Może, dla odmiany, to choć raz ja cię umoralnię... – Nie dokończyła Aleks. Nie chciała użyć tej karty przetargowej. Nie chciała sięgać do sekretu siostry, który sama niedawno wygrzebała z jej kosza na śmieci. Ale teraz gniew przeważał nad rozsądkiem.

– O co ci chodzi? – zapytała Lila z niepokojem. Miała przed siostrą jeden sekret. Jeden jedyny. Jeden jedyny taki.

– Serio myślałaś, że się nie zorientuję? – spytała Aleks zuchwale. – Mogłaś się bardziej postarać i chociaż lepiej go ukryć. – Stała na palcach i wyszeptała coś do ucha Lilki.

Z kieszonki bomberki Aleks wyciągnęła wymiętego, ukruszonego papierosa i z satysfakcją podpaliła jego końcówkę. Wiedziała, że tym razem siostra jej nie powstrzyma. I faktycznie, w normalnych okolicznościach Lila wytrąciłaby jej papierosa z ręki, ale teraz fajka Aleks nie miała dla niej żadnego znaczenia.

– Test ciężowy, który znalazłam kilka tygodni temu w koszu na śmieci. Był cholernie niedbale owinięty w papier toaletowy. – Aleks wykrzywiła z niesmakiem usta. – Piotr wie?

– W czymś jeszcze grzebiesz? W czymś jeszcze poza naszymi śmieciami? – odwarknęła Lila po chwili, nie patrząc siostrze w oczy.

To dało Aleks przewagę.

– Grzebię tylko tam. W naszych brudach. Sporo ich mamy. – Aleks zadarła głowę i spojrzała zuchwale na siostrę. – To co, zgaduję, że Piotr nie ma o niczym pojęcia. Kiedy zamierzasz mu powiedzieć, siostrzyczko? Niedługo pewnie będzie widać, co? – Wlepiła wzrok w atłasową sukienkę na ramiączkach, nadal ciasno przylegającą do ciała jej siostry. Zatrzymała się na wysokości jej brzucha.

Przed wybuchem Lilę uchroniła jakaś scysja, która miała miejsce po drugiej stronie ulicy. A potem z nieba nagle spadły pierwsze w tym roku płatki śniegu, chłodne i trzeźwiące. Przybywało ich z każdą chwilą, a pojawiały się z taką intensywnością, że kłócący się po drugiej stronie ulicy mężczyźni powoli zaczęli znikać za tą białą kurtyną.

– Może nigdy – odpowiedziała Lila i głośno przełknęła ślinę. – Może nie zamierzam mu o niczym mówić.

– Czyli jednak chcesz to zrobić?

Między siostrami nastała chwila niewygodnej ciszy. W końcu przerwała ją Aleks.

– Nie zaprzeczysz? – Spojrzała na siostrę wyczekująco.

– O niczym mu nie mów. Słyszysz? – Lila potarła swoje gołe ramiona. Zrobiła to nie dlatego, że było jej przeraźliwie zimno. Musiała jakoś

zamaskować swój wstyd. Wstyd i brud, który wciąż czuła pod skórą. – Słyszysz?! – powtórzyła nieco głośniejszym głosem. Wyczekująco.

– Okej, w porządku. – Aleks zrobiła krok do tyłu. W jej głosie nie było niedawnej brawury ani buntu. Lila usłyszała w nim coś znacznie gorszego. Rozgoryczenie.

Dziewczyna wzięła macha i wypuściła z ust kłęb dymu. Wyminęła siostrę w milczeniu. Zgasiła peta o metalowy daszek kosza na śmieci i weszła do baru.



Mdłości wciąż jeszcze nachodziły Lilkę falami, podobnie jak obezwładniające zmęczenie. W drodze do barowej toalety myślała o tym, jak wiele mogło zostać zniweczone przez to rosnące w niej życie. Była na przedostatnim roku studiów. Ten ostatni, dzięki Erasmusowi, do którego się zakwalifikowała, miała spędzić w Paryżu, ucząc się na Sorbonie. Szansa jedna na milion. Wzięła ją za dar od losu, pewien rodzaj rekompensaty po latach wyrzeczeń dla rodziny. Liczyła, że zostanie potem w Paryżu, że uda jej się tam znaleźć pracę jako terapeutka, w prywatnym gabinecie albo szpitalu. Snuła plany na przyszłość. Po raz pierwszy od dawna. Plany, które miała szansę wreszcie zrealizować dzięki swojej niezależności.

Niezależność. To nowe słowo, z którym dopiero teraz powoli się oswajała. Z pomocą miał przyjść też wuj Piotra, który i jemu obiecał pomóc w znalezieniu pracy. Bo w planach Lilki byli oboje – ona i Piotr.

Tylko we dwoje.

Drzwi toalety otworzyły się z hukiem. Zaciśnięta w pięść dłoń Lilki spoczywała na brzuchu. Przy umywalce stały dwie dziewczyny, miały mocny, przesadnie konturowany makijaż, podobny do tego, który noszą drag queens. Wszystkiego było za dużo – za dużo szminki, za dużo tuszu do rzęs, za dużo różu, za dużo wścibskich spojrzeń. Lilka je wyminęła i wbiegła do wolnej kabiny. Przesunęła zasuwkę i uklękła nad toaletą. Zaciśniętą dłoń wciąż trzymała na brzuchu. Była zwinięta w pięść.

Nieustępliwa.

Rozdział 6

Jej dłoń była w tym samym miejscu. Na jej brzuchu, na długiej, poziomej bliźnie, którą zostawiło po sobie cesarskie cięcie.

Nieustępliwa.

Lila zanurzona po uda w wodzie dojrzała do miejsca, w którym stał jej mąż – na sam środek źródła. Zwrócony do niej plecami Piotr trzymał w rękach seledynową koszulkę w stegozaury. Lila zacisnęła powieki i dopiero po chwili zdobyła się na to, żeby raz jeszcze spojrzeć na koszulkę. Wyglądała tak samo, jak chwilę wcześniej – ociekała wodą. Nie było w niej dziecka. Nie było tam niczego poza zaplątanym w rękawie patykiem i dwoma szerniałymi liśćmi.

Idealna przejrzystość wody pozwalała Lili i Piotrowi zobaczyć dno. Pulsujące pod ich stopami białe okręgi wyrzucały strumienie ciepłej wody. I tam nie było Adasia. Nie było go w źródle ani na jego brzegu między drzewami i krzewami. Nie było go za żadnym z pobliskich kamieni tworzących wodną kaskadę. Wszystkie te miejsca Aleks i Antoni skrupulatnie przeszukali.

– Tam jest dalszy odcinek – przypomniała Aleks, wychodząc z wody. Wskazała na mostek. Usta miała sine, cała dygotała z zimna. Wciąż miała na sobie tylko przemoknięte bokserki i T-shirt. – Przy mostku źródło się zwęża, ale w tamtym miejscu jest znacznie głębsze. Byłam tu jeszcze wczoraj parę razy. Na fajce – dodała wyjaśniająco. – Widziałam, że zalegają tam jakieś liście i kamienie. Sprawdź to – powiedziała i nie czekając na reakcję pozostałych, ruszyła w stronę mostka.

Odkąd kilka minut temu Aleks i Antoni pojawili się nad źródłem, niewypowiedziane pytanie – gdzie Lila wychodziła tej nocy i czy w ogóle gdzieś wychodziła – wciąż wisiało w powietrzu. I nadal pozostawało bez odpowiedzi. Ale ten instynktowny tryb poszukiwań wymusił na nich teraz współpracę.

Przeszukali główny akwen i ruszyli w wyznaczonym przez Aleks kierunku. Przytrzymując się powalonego na brzegu drzewa, dziewczyna zwinnie zsunęła się z niewielkiej skarpy i zaczęła brodzić w źródłisku. A potem w mgnieniu oka zniknęła pod taflą wody, która zamknęła się nad nią jak czarny całun. Kiedy kilka chwil później Aleks wypłynęła na powierzchnię, pokręciła przecząco głową. Ale wyraz jej twarzy wzbudził nowy niepokój. Malowała się na niej ulga przesłonięta zupełnie innym odcieniem strachu.

– Niczego tu nie ma. Na dnie są tylko jakieś liny – powiedziała Aleks, wyrównując oddech. – Liny i liście.

– Liny? – podchwyciła Lila. – Jak wyglądają?

Aleks skinęła głową.

– Nie wiem, to takie zwykłe liny. Tylko cholernie długie. Chyba po prostu zaplątały się na dnie. Wyglądają, jakby zalegały tam od dawna.

Lila chciała wiedzieć o nich coś więcej, ale słowa zastygły jej na ustach, kiedy poczuła na ramieniu znajomy dotyk ojca. Nie było w tym geście cienia czułości, jedynie natarczywość. W ten sposób Antoni komunikował córce, że domaga się wyjaśnień.

– Nie odpowiedziałś, dziecko – powiedział zgodnie z jej przypuszczeniem. – Gdzie wychodziłaś tej nocy?

– Nigdzie – odpowiedziała mu twardo. – Położyłam Adasia i poszłam do łóżka.

– Nie twierdzę, że celowo przed nami to ukrywasz – dodał Antoni łagodniej. – Wiesz, o czym mówię...

W jego głosie Lila wyczuła teraz coś śliskiego. Obrzydliwego. Jej ojciec używał tego tonu, kiedy chciał ją podejść. Lila nauczyła się go rozpoznawać, bo Antoni używał go już parokrotnie, kiedy za wszelką cenę chciał od niej wyciągnąć jakąś informację.

– Może coś pamiętasz? Cokolwiek? – zawtórowała ojcu Aleks.

– Od dziesiątego roku życia nie miałam więcej tamtych epizodów. I nawet wtedy to było tylko trzy razy, tuż po wyjeździe matki. Nigdy nie było ich więcej – podkreśliła Lila, przenosząc wzrok z ojca na siostrę.

– O czym wy mówicie? – wtrącił zdezorientowany Piotr. – O jakich epizodach?

– O somnambulizmie – odpowiedział mu Antoni. – Po wyjeździe matki Lila nabawiła się zaburzeń wybudzania.

– Zaburzeń? Czyli czego dokładnie? – dociekał Piotr.

– Niczego, co ma jakiegokolwiek znaczenie w tej sytuacji – syknęła zniecierpliwiona Lila. – Tracimy czas na bzdury.

– Chcę wiedzieć – nie ustępował Piotr.

Lila głośno westchnęła.

– Siadałam w nocy na łóżku i zdarzało mi się przez sen wypowiadać słowa, które nie miały sensu.

– Raz chodziłaś po mieszkaniu, a potem tego nie pamiętałaś – dodał Antoni.

– Raz. I tylko tyle. Możemy wreszcie coś zrobić? Na przykład zadzwonić na policję zamiast stawiać mnie w tym krzyżowym ogniu pytań! – wykrzyknęła. – Ktoś zabrał stąd Adasia!

Lila poczuła obezwładniającą słabość. Lustro wody szerniało jeszcze bardziej. Falowało jej przed oczami, podwajając swoją objętość, wznosząc się i opadając. Tylko jego kontur po chwili zaczął blaknąć.

– Przeszukajmy najpierw pozostałe miejsca – zarządził Antoni. – Tamtą drewnianą chatkę i pas lasu przy zasiekach. Mały mógł wyjść sam.

– Nie zrobiłby tego – stwierdziła stanowczo Lila. – Adaś nie wyszedłby z łóżeczka. A nawet jeśli mu się to udało, nie złożyłby kołderki. Nie w ten sposób.

– Rozdzielmy się. – Antoni zignorował słowa córki. – Ja i Aleks pójdziemy razem. – Rzucił zięciowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Dobrze, rozdzielmy się – zgodził się Piotr niechętnie. To on zwykle inicjował działania i przydzielał innym określone zadania. Jednak tym razem podzielał zdanie teścia. – My spróbujemy złapać zasięg tutaj albo za bramą. – Spojrzał na Lilę, która tym razem nie protestowała.

Chwilę później ruszyli we czwórkę w stronę wyłaniającego się zza wzgórza domu. Jego kamienna konstrukcja, która w promieniach wczorajszego słońca sprawiała wrażenie przejrzystej i klarownej, dziś wydawała się opierać na łamanych rytmach i dysharmonii.

Kiedy weszli do domu, zrzucili z siebie mokre ubrania i szybko ubrali się w suche. Tylko Lila została w nocnej koszuli. Włożyła na nią rozpinany sweter

i poszła prosto do kuchni, zostawiając na posadzce ślady mokrych stóp. Ze zlewu wyciągnęła brudne naczynia po wczorajszej kolacji.

– Co robisz? – usłyszała za plecami czujny głos męża, który właśnie wkładał bluzę. Lila czuła, że Piotr wciąż jej nie wierzy. Wyczuwała to w jego zachowaniu, w dystansie, który nie wynikał tylko z jego niepokoju. Zresztą odkąd weszli do domu, nie odstępował jej na krok. Zajęta wydobywaniem jednego z brudnych kubków, Lila nie odpowiedziała mu przez dłuższą chwilę. Przesunęła po dnie kubka palec. Został na nim ledwie zauważalny biały ślad. Wzięła głęboki oddech.

– Udowadniam, że jednak nie postradałam zmysłów. – Podsunęła mężowi palec pod nos.

– Wygląda jak osad z czajnika – skrzywił się Piotr. – Zwykły kamień.

– Czyżby? – zapytała Lila i przyłożyła palec do ust. Dotknęła go czubkiem języka. Biały proszek szybko się rozpuścił. Miał gorzkawy posmak. Potem Lila podsunęła kubek mężowi. – Sam spróbuj.



Antoni ruszył w stronę oddalonego o sto metrów drewnianego domku. Dzięki starym klonom porastającym zbocze, na którym stała chatka, mężczyzna szybko poznał jej przeznaczenie. Na wszystkich drzewach wywiercono otwory i zamocowano metalowe rynienki do odprowadzania soku. Brudne i trawione korozją, wyglądały na nieużywane od lat. Antoni przetarł palcem wnętrze jednej z nich. Zasnity sok miał brunatną barwę i wciąż jeszcze tę charakterystyczną lepłą konsystencję.

Antoni, choć zawsze opierał się na logice i miał racjonalne podejście do życia, wbrew swojej naturze wszędzie teraz widział krew. Krew swojego wnuczka. Nieważne, jak bardzo wypierał tę myśl, i tak widział tę okropną możliwość.

Na co dzień nie zwykł panikować. I wcale nie dlatego, że w jego zawód wpisane było stałe obcowanie ze śmiercią, chorobami i stratą. To nie rutyna go znieczulała. Po prostu taki był – opanowany i racjonalny. A teraz po raz pierwszy czuł obezwładniający go strach. Bał się, bo każde działanie niesie za sobą określone konsekwencje. Zawsze to powtarzał.

Odpędził jednak od siebie czarne myśli i ruszył naprzód. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do domku porozstawiane były puste metalowe wiadra. Na dnie

każdego z nich zauważył taki sam brązowy osad jak we wnętrzu rynienki. To tylko syrop – gorączkowo starał się zrationalizować ten obraz.

Chatka, do której po chwili wszedł, była prostą, drewnianą konstrukcją osadzoną na betonowej płycie. Miała dwuspadowy dach zakończony wieżyczką z otworami wentylacyjnymi. Na środku stał opalany drewnem masywny piec, nad którym zawieszony był ogromny rondel. Zapewne hektolitry klonowego soku były w nim niegdyś podgrzewane i odparowywane. Najwyraźniej takie było przeznaczenie chatki. Produkcja syropu klonowego. Poza piecem i rondlem było tam niewiele innych przedmiotów – metalowy taboret, drewniana półka o ostrej krawędzi i ustawione pod sam sufit szczapy drewna. One też wyglądały na nieruszane od dawna.

Antoni nie zdążył jednak uważnie przyjrzeć się chacie, a szczególnie mieszczącemu się za uchylonymi drzwiami składzikowi, bo jego uwagę zwrócił znajomy głos. Należał do jego młodszej córki i dobiegał z oddali. Wyjrzał więc przez wyszczerbioną szybkę. Miał stamtąd widok na oddaloną o pięćdziesiąt metrów bramę wjazdową. Przed nią stała Aleks, obejmując dłońmi stalowe sztachety. Kurczowo się ich trzymała, desperacko kogoś nawołując. Nie wiedział, do kogo zwracała się jego córka, ani nie słyszał, co mówiła, ale wyraźnie była czymś poruszona. Przez okno nie mógł jednak zobaczyć, co działo się za płotem.



Tak naprawdę w Aleks niewiele zostało z tamtej dziewczyny sprzed trzech lat. Gniewna i rozkapryszona osiemnastolatka po detoksie, która o brak matki i wiele swoich niepowodzeń obwiniała starszą siostrę, gdzie nagle zniknęła. Umarła. Jej szybka i intensywna lekcja dorastania trwała tylko krótką chwilę. Wrzucony na głęboką wodę człowiek albo tonie, albo instynktownie uczy się utrzymania na powierzchni. Topielec albo ocalały. A Aleks udało się wtedy dopłynąć do brzegu. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Tamta lekcja nauczyła ją na pewno jednego – jak wyostrzać zmysły. Od tamtej pory zawsze były w stanie ciągłej gotowości. Dzięki temu umiała wyłapywać każdą, nawet najbardziej nieuchwytną subtelność, poczynając od zmiany natężenia dźwięku po pojawiające się znikąd detale. Tym razem zaalarmowało ją to pierwsze. Trzask łamanej gałązki. Usłyszała go, kiedy przeczesywała zarośla rosnące wzdłuż bramy i kamiennego muru. Potem trzask

łamanej gałązki powtórzył się jeszcze dwukrotnie. Dobiegał gdzieś z lasu, z jakiegoś miejsca po drugiej stronie płotu.

Przedarła się przez kłujące zarośla i podbiegła do bramy. Las po drugiej stronie wydawał się nie mieć końca. I choć korony sosen przepuszczały niewiele światła, wydawał się jej mniej posępny niż ta sztucznie stworzona zieleń na terenie należącym do źródlika.

W pierwszej chwili Aleks jej nie zauważyła, bo postać zniknęła za zniszczoną żelbetonową konstrukcją przypominającą bunkier. Niewiele z niego zresztą zostało, tylko sterta betonu i pordzewiałych prętów. Aleks wzięła tę postać za dziewczynkę, bo była niewysoka i miała na sobie długą różową pelerynę aż do kostek. Kaptur miała naciągnięty na sam czubek nosa. Pojawiała się i zniknęła za zburzonym budynkiem. Aleks najchętniej wyszłaby do niej, ale zostawiła w domu swojego smartwatcha, a bez niego nie mogła otworzyć bramy. Musiała więc w inny sposób zwrócić uwagę małej.

– Hej, widziałaś tutaj kogoś? Jakiś przejeżdżający tą drogą samochód albo kogoś, kto szedł z małym chłopczykiem? Dwulatkiem o kręconych blond włosach? Hej, słyszysz? Podejź tu! – krzyknęła, kiedy dziewczynka nie zareagowała. Głos Aleks był ostry jak wbijający się w lód szpikulec. – Podejź tu, proszę! – zawołała łagodniej, bardziej zachęcająco.

I wtedy, kiedy na plecach tego kogoś, kogo brała za dziewczynkę, zauważyła kilka przewiązanych sznurem wiązek chrustu, Aleks zorientowała się, że ma do czynienia nie z dzieckiem, ale ze starą kobietą. Staruszka ściągnęła kaptur i spojrzała na nią, a Aleks nie miała pojęcia, co z tego spojrzenia można odczytać. Wrogość, niechęć, obojętność? Staruszka ewidentnie nie miała zamiaru podejść. Była bardzo niska, a plecy ugiwały się jej pod ciężarem chrustu. Zresztą wydawały się permanentnie zgarbione. W oczach starowinki było coś, co wywołało w Aleks niepokój. Wyglądały tak, jakby ktoś z tęczywek wypłukał kolor. Kiedyś były pewnie niebieskie, teraz została z nich tylko zamglona szarość. Nieprzyjemne odczucie potęgowały opadające powieki kobiety, które zakrywały górną część jej gałek ocznych. Skóra też była zwiotczała, pokryta siecią głębokich bruzd. Miała niezdrowy, żółtawy kolor. Kiedy Aleks zawołała ją po raz trzeci, kobieta odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku. Na głowę z powrotem naciągnęła kaptur.



W szklanych dzbankach, które wczoraj wypełniała woda ze źródłiska, nie było żadnego osadu. Lila wzięła oba naczynia w dłonie i spojrzała pod światło.

– Równie dobrze mogłam go przypadkowo usunąć, wylewając wczoraj wodę – powiedziała do męża.

– Chodźmy. Potem pokażemy to policji. – Piotr wskazał na drzwi wyjściowe. Wydawało się, że nareszcie jej uwierzył. A przynajmniej Lila nie wyczuła w nim niedawnej wrogości. W ręku Piotr trzymał telefon i spoglądał na wyświetlacz. – Ani jednej kreski. – Zmarszczył brwi.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, uniósł aparat nieco wyżej. Próbował w kilku różnych miejscach, ale bez skutku.

Lila odstawiła dzbanki na betonowy blat, podniosła czajnik i zajrzała do środka. Na samym dnie także była cienka warstewka białego osadu. Lila wstrząsnęła czajnikiem i wylała do szklanki resztki wody. Następnie włożyła do naczynia palec i upewniła się, że drobinki osadu przyłgnęły do jej opuszki. Zrobiła to samo, co wcześniej – spróbowała go czubkiem języka. Smakował identycznie jak ten w kubku. Miał ledwie wyczuwalny posmak goryczy, której wcześniej nie wyczuli, bo pili słodzoną herbatę. Ale ten osad na pewno nie smakował jak zwykły kamień z czajnika. Lila była tego pewna.

Kiedy weszła do przedpokoju, by dołączyć do swojego męża, niemal zderzyła się z siostrą, która wbiegła do środka. Gwałtowność, z jaką Aleks to zrobiła, i jej wyraz twarzy wywołały w Lilce dreszcze.

– Co jest? – zapytała, przytrzymując się framugi drzwi.

– Muszę zabrać smartwatcha, żeby otworzyć bramę – odpowiedziała Aleks i wbiegła po schodach na górę.

– Po co? – zawołała za nią siostra.

– Potem ci powiem. Nie chcę stracić jej z oczu.

– Kogo?

– Tam jest jakaś kobieta. Może coś wie – odkrzyknęła Aleks, mijając w drodze powrotnej siostrę. W ręku trzymała smartwatcha i już zapinała go sobie na nadgarstku.

Lila pobiegła za nią. Pobiegła, chociaż była wolniejsza, a jej nogi stale gubiły rytm. Wszystko, co mijała po drodze, zdawało się poruszać razem z nią.

Góra – dół. Dół – góra.

– Kurwa, co jest grane? – usłyszała Lila, kiedy kilka chwil później dobiegła do siostry. Brama pozostawała wciąż zamknięta, chociaż Aleks uparcie wciskała guzik na smartwatchu.

– Jesteś pewna, że to ten? – zapytała ją.

– Jak cholera. Wczoraj używałam go, żeby wyjść, a potem żeby wrócić.

– Spróbuj mojego – odezwał się jej ojciec, który nagle wyłonił się zza drzew.

– Ja pierdolę, wygląda na to, że jesteśmy tutaj uwięzieni – stwierdziła Aleks, kiedy smartwatch ojca również nie zadziałał.

W lesie za płotem w zasięgu wzroku nie było już nikogo. Staruszka z zarzuconym na plecach pakunkiem chrustu zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu.

Rozdział 7

Adaś w naciągniętej na głowę czapeczce leżał w jej objęciach. Jego rany wciąż się mnożyły i otwierały na jej oczach. Pod jego rozpiętą kurtką, na szyi, klatce piersiowej. Krew, dużo krwi. Przepływała jej przez palce w ilości, która nie mogła pomieścić się w ciele tak małego dziecka. Lila zacisnęła powieki, by strząsnąć z siebie ten obraz. Znała go na pamięć.

– Ściągnij to. W takim stanie mu nie pomożesz. – Poczwała na sobie trzeźwiący dotyk męża. Podniosła na niego wzrok. Piotr trzymał w dłoniach szarą kangurkę i spodnie dresowe. Podał je żonie. Jej spojrzenie było teraz przytomne, ale pełne awersji i żalu.

– Jeszcze przed chwilą byłeś skłonny uwierzyć, że utopiłam nasze dziecko w źródliku.

Piotr zsunął rękę z ramienia żony i podał jej suche ubranie.

– Odpuść, okej? – warknął. – Przebierz się – dodał łagodniej. – Musimy się stąd wydostać.

Nim Lila zdążyła zareagować, w otwartych na oścież drzwiach stanęła zziębnięta Aleks.

– Przejście przez płot odpada. – Wierzchem dłoni otarła czoło. – Obeszłam cały teren. Sztachety płotu są równoległe na całej długości. Nie ma mowy, żeby o cokolwiek zaczepić stopy albo ręce. Mur jest nie do sforsowania. Skurwiel wybudował tu jakąś fortecę – wyrzuciła z siebie jednym tchem, przebiegając wzrokiem po kamiennych ścianach.

– A zasieki? – spytała Lila. Wciągnęła spodnie, a następnie, odwracając się plecami do siostry, włożyła też bluzę.

– Nie ma mowy. – Aleks potrząsnęła głową. – To nie są byle jakie zasieki, tylko pieprzone zwoje drutu kolczastego, splecione ze sobą tak, żeby nikt nie odważył się z nimi zmierzyć.

– Więc musimy sforsować bramę – odezwał się stojący obok zięcia Antoni.
– Spróbujmy wykorzystać do tego rozpędzony samochód.

– Myślisz, że gość, który zadbał o każdy detal zabezpieczenia swojego domu, nie pomyślał o odpowiednim wzmocnieniu bramy? – rzucił Piotr sceptycznie.

– A masz lepszy pomysł?

Chwilę ciszy, która nagle zaległa w domu, przerwały delikatne dźwięki muzyki instrumentalnej, z wyraźnie wybijającą się na pierwszy plan solówką na pianinie. Zdawały się wydobywać znikąd, a jednak były obecne, otaczały ich. I choć muzyka miała swoje źródło gdzie indziej, słyszane w kuchni nuty były czyste i wyraźne.

– Skąd to się wydobywa?

Piotr podszedł do ściany i przyłożył do niej dłoń. Kamienna bryła była chłodna i chropowata. Nie przepływał przez nią żaden dźwięk.

– To nie żadna magia – odpowiedziała Aleks. – Niewidzialne głośniki są często instalowane w smart house'ach, podwieszane w suficie albo wmontowane w ścianach. Tutaj też tak pewnie jest.

Lila ruszyła za dźwiękiem i za wybijającym się teraz głosem. Należał do mężczyzny. Na razie tylko tyle udało jej się rozpoznać.

Po drodze minęła kolejne pomieszczenia. Przejście między kuchnią a salonem przypominało jej wąską gardziel, do której nie docierało światło, nawet najlichszy promień. Po jego lewej stronie, w drewnianej zabudowie, były lodówka, barek i kuchenka indukcyjna. Przejście ciągnęło się kilka kolejnych metrów. Tyle wystarczyło, żeby oczy Lilki przyzwyczyły się do ciemności i do panującej tutaj ponurej, klaustrofobicznej atmosfery. Ten dom składał się z nagłych przeskoków światła i cienia.

Kiedy Lila wyszła z ciemności, światło wpadało do salonu przez wysokie okna, dając złudny efekt łagodności. Czekąco tam na nią to, co poprzednio – surowa stal, polerowany mahoń, krystaliczne szkło i beton ogrzany słońcem. A wraz z nimi te zawieszane na ścianach upiorne trofea z martwych zwierząt. Światło wpadało też przez świetlik znajdujący się powyżej atrium i drzewa oliwnego. Ale poza tym stałym wystrojem w salonie pojawiło się coś jeszcze, czego wcześniej nie było. Z sufitu zwisał teraz projektor, a pod ścianą rozwinięty był ekran zamocowany na bardzo szerokim metalowym uchwycie.

Projektor rzucał na niego obraz, który pojawiał się i znikał, podobnie jak towarzyszący mu głos.

Wyświetlany materiał był częściowo nieostry, co uniemożliwiało rozpoznanie twarzy szpakowatego mężczyzny ubranego w rozpiętą do połowy zieloną koszulę w kratę i wytarte džinsy. Lila nie mogła odczytać z jego twarzy żadnych emocji, ale czuła, że bije od niego jakaś dobra aura. Może chodziło o język jego ciała, a może o przyjemny aksamitny głos. Trudno było jej to ocenić, zwłaszcza że koncentrowała się na czymś zupełnie innym. Próbowwała zapamiętać każde jego słowo i ruch. W którymś momencie do Lili dołączyła reszta rodziny. Mężczyzna cały czas mówił.

W swoich esejach Zumptor opowiadał o ukrytych strukturach i konstrukcjach domu i o tym, że należy je organizować tak, aby wprawiały ukończony budynek w stan wewnętrznego napięcia i wibracji. W podobny sposób zbudowane są skrzypce. Przypominają żywe organizmy w przyrodzie. To jego słowa.

To powiedziawszy, mężczyzna przytrzymał się powalonego drzewa. Sceneria wyglądała jak ta, którą rodzina widziała na chwilę przed wejściem do domu. Drzewo, o które chwilę wcześniej oparła się Aleks, schodząc do źródlika, było to samo. Nagranie odtwarzało się nieprzerwanie, ale mężczyzna umilkł.

– Kto to jest? – zapytała Aleks ściszym głosem. – Ten architekt od bioniki?

– Niewiele o nim wiem. Człowiek widmo – odpowiedziała Lila. – Zawsze pilnował swojej prywatności. Zamiast o nim, swego czasu głośno było tylko o tym domu.

Wtedy obraz zupełnie zastygł, na tym samym kadrze uchwyconym nad źródliskiem, a głos mężczyzny odpłynął wyparty przez zupełnie inny dźwięk – głośny i zgrzytliwy. Po tej zmianie błyskawicznie nastąpiła kolejna i salon nagle stał się klaustrofobiczną próżnią. Pomieszczenie spowiła pełna ciemność, kiedy kolejno zasunęły się zamontowane w oknach rolety. Najpierw roleta zewnętrzna, a potem moskitiera i płachta zaciemniająca. Piotr usiłował zatrzymać jej mechanizm, ale impet, z jakim zasuwawała się moskitiera, nie pozwolił mu jej powstrzymać. Ani w pierwszym, ani w żadnym z kolejnych trzech okien.

Aleks, stojąca najbliżej drzwi wejściowych, zareagowała instynktownie. Ruszyła po omacku w stronę wyjścia. Ale kiedy dotarła do celu, zamiast drzwi pod palcami poczuła tylko jakąś twardą porowatą strukturę. Zabezpieczenie oświetlone uruchomioną w jej telefonie latarką okazało się roletą. Rolety zostały spuszczone także w kuchni i łazience, a najprawdopodobniej również w każdym z pozostałych pomieszczeń domu. Dźwięk wprawionego w ruch mechanizmu dobiegał również z piętra i przyziemia. Wszystko wskazywało więc na to, że w jednej chwili dom stał się twierdzą, w której wnętrzu zostali uwięzieni.

Kiedy po sprawdzeniu przyziemia Aleks zrezygnowana wróciła do salonu, projektor wznowił pracę, ale rzucał na ekran tylko urywany biało-czarny obraz. W tym czasie Lila manipulowała przy zamontowanym na ścianie kwadratowym panelu, o którym wcześniej wspominał Mrowiński. W założeniu panel pozwalał na sterowanie wszystkimi funkcjami domu, w tym roletami.

– Jak to uruchomić? – Lila gorączkowo mocowała się z urządzeniem. Przyciskane klawisze zmieniały kolory, ale żaden z nich nie reagował na wprowadzane komendy.

Aleks podeszła do siostry.

– Daj, ja spróbuję – zaproponowała. – Co za krewstwo! – syknęła, kiedy nie zadziałały wprowadzane przez nią kolejne komendy.

– To się nie włączy – oznajmił Antoni rzeczowo, przesuwając palcem po zapiętym na nadgarstku smartwatchu. On też niewiele widział w tej niemal zupełnej ciemności. – Nasze smartwatche nie tylko już nie sterują bramą – dodał. – Nie reagują na żadną z komend. Sprawdziłem to parokrotnie. To nie jest żadne zwarcie ani usterka, zwłaszcza w kontekście zniknięcia Adasia. Ktoś celowo chce nas tutaj uwięzić – zawyrokował.

Po słowach ojca córki zrezygnowały z dalszych prób uruchomienia urządzenia. Lila zadarła głowę i spojrzała na świetlik, na odgradzający ją od niego przezroczysty nietłukący materiał. Nad zapewniającym pełną widoczność sklepieniem świetlika majaczył fragment błękitnego nieba. W tym jedynym miejscu widziała szansę na ucieczkę.

– Tędy się nie przedostaniemy. – Piotr odczytał zamiary żony, przebiegając wzrokiem po całej długości szklanego atrium. – Proponuję raczej poszukać jakichś narzędzi, którymi sforsujemy te rolety.

– Myślę, że nie o to chodzi – odezwała się Aleks. – Nie chodzi o forsowanie wyjścia.

– Masz lepszy pomysł?

– Nie, ale rozpoznałam miejsce z nagrania. Drzewo za mostkiem zanurzone w źródliisku ma tak samo rozłożyste korzenie i splekany w kilku miejscach pień, jak drzewo, przy którym stał tamten facet.

– Biorąc pod uwagę to, że jesteśmy uwięzieni w środku, nic nam to nie daje.
– W głosie Piotra brak było jakiegokolwiek entuzjazmu.

Sukcesywnie obalali kolejne pomysły, jak wydostać się na zewnątrz. Następną propozycję, tym razem wysuniętą przez Aleks, przerwało pojawiające się na ekranie zdjęcie. W górnym prawym narożniku, otoczony czerwonym pulsującym okręgiem, wyświetlał się równocześnie zegar, który odmierzał czas. Kiedy się pojawił, wskazywał dwadzieścia cztery godziny.

Na zdjęciu widoczny był fragment pomieszczenia, na tyle bezosobowego, by nie można było go połączyć z jakimkolwiek miejscem ani tym bardziej z tym domem. Na łóżku, przykryty kocym w biało-czarną kratkę, leżał mały chłopczyk. Miał zamknięte oczy, a jego twarz była spokojna, choć nienaturalnie blada, wręcz kredowobiała. Spod grubego, polarowego materiału wystawały małe, białe stopy. Lila rozpoznała charakterystyczne spodnie ze ściągaczami aż po kostki. Seledynowe spodnie od piżamki w niebieskie stegozaury.

W jej oczach zalśniły łzy, a ciało przeszył dreszcz rozdzierających ją emocji – doprowadzająca ją do szału bezradność, nadzieja i strach, a także ulga. Lila poczuła, że przyciska dłoń do tego miejsca, do podłużnej blizny na swoim brzuchu.

– Wiemy, że mały żyje. To dobrze. Przynajmniej tyle – powiedział Antoni ochrypłym głosem. Próbował nieskutecznie zachować typowy dla siebie spokój.

– To tylko zdjęcie... W dodatku nieostre... Może nawet fejk – powiedziała Aleks, stojąca najbliżej wyświetlacza. Chciała się pozbyć wątpliwości, ale siedziały w niej zbyt głęboko. – I na pewno nie zostało zrobione nigdzie tutaj – dodała, przyglądając się detalom.

– Tego nie wiemy – stwierdził Piotr.

– Na zdjęciu nie ma kamiennych ścian ani podłogi. – Aleks nie ustępowała.

Poza łóżkiem i stolikiem z prostym metalowym blatem w mikroskopijnym pomieszczeniu o białych ścianach faktycznie nie było niczego więcej.

– Ani okna. Równie dobrze pomieszczenie może znajdować się gdzieś pod ziemią. Spójrzcie na tę lampę. – Piotr wskazał na prostokątną, rzucającą ostre światło jarzeniówkę. – Wygląda na jedyne źródło światła.

– Tego tak naprawdę nie wiemy. Nie wiemy, co porywacz chciał zataić. Widzimy tylko to, co chciał nam pokazać.



Dalsze dywagacje przerwała im druga plansza, która pojawiła się kilkanaście sekund później i wyświetlała się mniej więcej tak długo jak pierwsza, nim została zmieniona na kolejną. Ten stały schemat powtarzał się aż do momentu wyświetlenia ostatniej, szóstej planszy. Na planszy drugiej i wszystkich po niej następujących nie pojawiło się zdjęcie ani nie został wyświetlony film. Był tylko komunikat. Czarne litery na białym tle. Szafraniec, Aleks i Antoni stali przed wyświetlaczem i czytali w milczeniu.

Plansza druga

Jesteście tu, bo na sumieniu macie grzech.

Ciężki grzech.

Jest też i wina.

Wina za grzech, której nigdy nie odpokutowaliście.

Teraz wam to umożliwiam.

Możecie ją wyznać, jeśli chcecie odzyskać coś, w czego posiadaniu jestem.

Coś dla was najcenniejszego.

A na razie pozostanie wam to, co mnie pozostało – strach i niepewność.

Te słowa smakują okrucieństwem, wiem.

Karmiłem się nimi przez długie miesiące.

Plansza trzecia

Czas.

To słowo klucz. Dobrze o tym wiecie.

Wtedy go nie było. Wtedy źle go wykorzystaliście i podjęliście błędne decyzje. Wtedy czas upływał i z kolei odbierał coś mnie.

Jak czas ma się do tego, co tu i teraz?

Na wykonanie każdego z zadań albo, jak wolicie, na każdą z prób przeznaczonych jest piętnaście minut.

Dokładnie tyle. Tylko tyle.

Zadania będą się pojawiać zawsze tutaj, na tym ekranie, w ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin, jednak bez stałego rytmu, który dałby się przewidzieć.

Jeśli poprawnie je rozwiążecie, każdorazowo uzyskacie kod – dwu- lub trzycyfrowy. Pozwoli wam otworzyć kłódki. A te z kolei przeprowadzą was przez most, do miejsca, w którym wyznacie winę.

Przed okiem kamery, każde z was pojedynczo.

Wraz z wyznaniem nie przyjdzie do was odkupienie, ale na tym etapie mnie to wystarczy.

Reszta nie leży już w mojej gestii.

Wtedy dokonamy wymiany.

Plansza czwarta

Zasady. Każda gra je ma.

Te są proste, takie same dla każdego z zadań.

Kod należy zdobyć w nieprzekraczalnym czasie piętnastu minut od rozpoczęcia zadania.

Każdy kod ma tylko jedną próbę.

Obejście jakiegokolwiek zabezpieczenia bądź zaniechanie wpisania kodu jest równoznaczne z przerwaniem gry i oznacza fiasko.

Równoznaczne ze straconą szansą, z uniemożliwieniem wymiany.

Kiedy zegar skończy odmierzać czas kolejnych zadań, macie stanąć tutaj, w tym salonie, ze smartwatchami zapiętymi na nadgarstkach.

Każdego wyzwania może się podjąć tylko jedna osoba, od początku do końca ta sama. Pozostali mogą się jedynie przyglądać, ewentualnie ustnie przekazywać jej wskazówki.

Dewastacja karana będzie najsurowiej. Przyniesie to, co nieodwracalne. Zabrania się forsowania drzwi, wybijania okien, przecinania kłódek i innych aktów wandalizmu.

Zabrania się jakiegokolwiek podążania na skróty.

Plansza piąta

Szansa.

Czym byłaby próba nieadekwatna do sił i możliwości bez faktycznej szansy na rehabilitację.

Czystym aktem zemsty i niesprawiedliwym wykorzystaniem przewagi.

W toku gry pojawią się więc trzy szanse i jedno udogodnienie.

W każdej z trzech sytuacji, która okaże się patowa, można wykorzystać jedną podpowiedź.

Zostanie ona aktywowana przez podświetloną na żółto funkcję widoczną na smartwatchach, począwszy od teraz.

Ale czym byłaby próba podająca rozwiązanie i niezmuszająca do współpracy oraz wiążącego się z tym zwielokrotnionego wysiłku?

By odzegnać chęć marnotrawienia szans, każde jej wykorzystanie wywoła reperkusję.

Jaką?

To ujawnione będzie po wykorzystaniu szansy.

Była też mowa o udogodnieniu.

Jest jedno, ale daje wam przewagę.

Zadania dostosowane są do umiejętności albo obszarów waszych zainteresowań.

Plansza szósta

Ostatnie dwie wskazówki dotyczą zadania pierwszego i każdego po nim następującego. Macie pięć minut, by zapoznać się z salonem i by się mu przyjrzeć. Są w nim wszystkie podpowiedzi, które mogą okazać się pomocne.

Ale to nie tu rozpoczniecie. Miejsce startu zostało już odtajnione.

Znajduje się tam, gdzie rozpoczęliście poszukiwania.

W wodzie.

Dokładnie za pięć minut pojawi się kolejny zegar odmierzający czas przeznaczony na wykonanie zadania.

Pierwszego zadania.

Gdy ostatni komunikat zniknął, a wyświetlacz zgasł, wszystkie rolety momentalnie się rozsunęły. Lila i jej mąż, siostra i ojciec dziewczyn jeszcze przez chwilę stali w jasnym świetle zupełnie nieruchomi.

– Zawsze wiedziałam, że to kiedyś do nas wróci – odezwała się Lila, zawieszając wzrok w przestrzeni. – Że tamten koszmar nigdy się nie skończy.

– Nie teraz – wyszeptał ojciec. – Nie teraz, dziecko. Nie traćmy czasu. Skoncentrujmy się. Nie wiemy, do czego ten obłąkany człowiek jest zdolny.

– Obłąkany człowiek? – Aleks zaśmiała się gorzko, sięgając do półki wiszącej nad sofą. – W takim razie kim my jesteśmy, tato? Kim my się staliśmy? – Spojrzała na ojca z pogardą. Czowała pogardę również do siebie. A także głęboko ukryty wstyd i wyrzuty sumienia.

Aleks czuła teraz winę jeszcze wyraźniej. Z całej ich czwórki to w niej nastąpiły największe zewnętrzne zmiany. Wina wrzała nie tylko pod jej skórą.

Była na niej wytatuowana słowami i florystycznymi motywami, które dziewczyna miała na rękach i nogach. Nie liczyła na to, że tusz zmaże jej winę. Miała jednak nadzieję, że gwałtowne fizyczne zmiany pomogą jej przeobrazić się w kogoś innego. Że choć trochę pomogą tej nowej Aleks pogrzebać stare grzechy. Ale to zawsze była nieprawda.

– Wiecie, co o nim myślę? O tym człowieku. – Przeczesała kolejną półkę w poszukiwaniu czegokolwiek, co przykułoby jej uwagę albo co uznałaby za znajome. – O tym, kim jest. – Zagryzła dolną wargę. – Że to nie jest nikt obcy, tylko ktoś, kto nas zna albo przynajmniej przez jakiś czas był blisko naszej rodziny. Albo że jest obserwatorem, który śledził nasze życie.

– A to przeczy temu, za co nas obwinia – dokończyła za nią Lila. Mimo różnic w charakterze siostry łączyło podobne intuicyjne myślenie i wnioskowanie.

Aleks przytaknęła Lili i przebiegła wzrokiem po grzbiecie każdej książki, którą miała teraz na wyciągnięcie ręki. Nadal szukała jakiejś wspomnianej przed chwilą wskazówki. Wszystkie książki, poza jedną, były związane z architekturą. Okazały się kompendium wiedzy o brutalizmie i na temat dzieł wybitnych architektów wpisujących się w nurt modernistyczny i architekturę organiczną – Kengo Kuma, Waltera Gropiusa, Petera Zumthora i Davida Chipperfielda, wszystkie w błyszczących, twardych oprawach. Nie sięgnęła jednak po żadną z nich.

Jeśli wierzyć w sens tej jednej z podanych wskazówek, a Aleks na razie w to wierzyła, te książki były zbyteczne, bo nie wiązały się w żaden sposób z jej rodziną i jej zainteresowaniami. Dziewczyna wyciągnęła z półki książkę zupełnie inną, w wielu krajach zakazaną, o której kiedyś było głośno. Tę jedną kojarzyła. Od kilku lat Aleks, zafascynowana kulturą Japonii, uczyła się języka japońskiego.

W *The Complete Manual of Suicide* Wataru Tsurumi instruował potencjalnych samobójców, jak odebrać sobie życie. Aleks czytała o tej książce przy okazji Aokigahary, lasu samobójców, o którym wspominała nie dalej jak wczoraj. Zresztą sam Wataru Tsurumi przyznał, że ów las jest idealnym miejscem na odebranie sobie życia. Kiedy Aleks kartkowała książkę, między stronami pojawił się wycinek prasowy. Przebiegła po nim wzrokiem.

– On nie żyje... – Raz jeszcze przeczytała tekst. – Nie, nie Adaś – wyjaśniła przeprasząc, czując na sobie wyczekujące spojrzenia. – Wiem, dziwnie to

zabrzmiało. Cezary Ciosański, czy nie tak nazywał się projektant tego domu? I jego właściciel?

– Chyba tak – odpowiedziała Lila i ciężko westchnęła.

– No to nie żyje. I to od ponad roku – oznajmiła Aleks.

Podeszła do siostry i podała jej nekrolog, do którego dołączona była notka wspomnieniowa z datą 13 stycznia 2022. Wpis ukazał się w lokalnej prasie.

– Tylko co nam daje ta informacja? – zapytała Lila. Miała w głowie zupełny chaos.

– Teraz może nic. Ale trzymajmy się wytycznych. Przyjrzyjmy się dokładnie.

– Aleks przebiegła wzrokiem po salonie.

– Na razie musimy wiedzieć, gdzie zacząć – wtrącił Antoni.

– To chyba jasne. – W głosie Aleks brzmiała niezachwiana pewność. – W wodzie.

– Zgoda. Ale to, że przeszukaliśmy źródłisko, teraz niewiele może nam pomóc. To nadal spory obszar jak na tę ograniczoną ilość czasu.

– Miejsce zostało odtajnione – upierała się Aleks. – O tym była mowa. A jedyne odtajnione miejsce na tamtym nagraniu związane z wodą, to ten odcinek źródłiska, przy którym leżało powalone drzewo.



Pozostały czas, a było go już niewiele, najwyżej minuta, Szafrkańscy spędzili na lustrowaniu salonu. I choć zdążyli go między sobą podzielić, oględziny były dość powierzchowne. Antoni przyglądał się obrazom i plakatom, ale nie był w stanie wychwycić wszystkich widocznych na nich detali. Obrazów było tylko kilka, a łączący je motyw przewodni stanowiły geometryczne kształty i wzory. To sprawiło, że przykuły jego uwagę. Lata temu, po pierwszym roku, rzucił studia na wydziale ekonomicznym. Ale miał ścisły umysł i wyraźną smykałkę do matematyki. Jeden z plakatów przedstawiał wnętrze idealnie symetrycznej spiralnej muszli łodzika.

Lila podeszła do różniącej się od pozostałych ściany z onyksu, która oddzielała niewielką przestrzeń biblioteczną od strefy wypoczynkowej. Przenikające przez kamień promienie słońca nadawały mu wrażenie głębi i ruchu, toczącego się w jego wnętrzu życia.

Aleks przyjrzała się ustawionym nad kominkiem drewnianym laleczkom o nieproporcjonalnie dużych głowach. Miały skośne oczy, ubrane były w kimona. I one nawiązywały do kultury japońskiej. Półka, na której stały, wisiała bardzo wysoko, więc laleczki pozostawały poza zasięgiem Aleks. Ruszyła do kuchni w poszukiwaniu drabinki, by móc je ściągnąć. Wtedy ekran w salonie uruchomił się ponownie.

Pod zegarem znajdującym się w tym samym miejscu pojawił się drugi, mniejszy. Cyfry zmieniały się w otoczce niebieskiego tła. Czasu wciąż ubywało, sekunda po sekundzie. Do wykonania pierwszego zadania pozostało czternaście minut i pięćdziesiąt cztery sekundy.

– Czy to już? – spytała rozgorączkowana Lila, spoglądając na ekran. – Nie ustaliliśmy, kogo typujemy.

– To chyba oczywiste. – Piotr spojrział na Aleks, która odpowiedziała mu kiwnięciem głowy. Potem ruszyła w stronę wyjścia.

Drzwi frontowe okazały się zamknięte, ale zniknęły blokujące je rolety. Klamka puściła pod naporem jej dłoni. Pokonanie odcinka między domem a mostkiem przebiegającym nad źródłiskiem zajęło Aleks mniej niż minutę. Niewiele więcej czasu zabrało też pozostałym. Lila, Piotr i Antoni otoczyli brzeg źródlika w jego najwęższym, ale i zarazem najgłębszym miejscu, w chwili, kiedy Aleks zanurzała się w wodzie. Nie traciła cennych sekund, by ściągnąć z siebie ubranie. Wciąż kontrolowała czas. Kiedy zniknęła pod taflą wody, pracując intensywnie ramionami z głową zwróconą w kierunku mętnego dna, poczuła każdą zmianę na swojej skórze. Każdy tatuaż. Każdą użytą igłę. Każdą próbę przykrycia kłamstwa i zmazania swojej winy.

W tym miejscu woda była chłodna i przyjemnie kojąca, ale gdy zanurkowała na głębokość dwóch, trzech metrów, widoczność spadła niemal do zera. Początkowo nie mogła zlokalizować liny, a to właśnie jej przeznaczenie chciała poznać.

Liści jest jakby więcej, choć to przecież niemożliwe, pomyślała Aleks.

Przez chwilę była wręcz przekonana, że pomyliła miejsce. I kiedy już miała się wynurzyć, by się upewnić, że jest tam, gdzie powinna, jej dłoń natrafiła na znajomą, szorstką strukturę. Lina była skręcona i długa, wiła się w jej dłoniach jak wąż. Była też bardzo śliska, co wskazywałoby, że leżała na dnie od dłuższego czasu.

A to może jednak wykluczać jej związek z zadaniem, wywnioskowała Aleks, licząc na to, że jednak się myli.

Mimo wszystko nadal przesuwała się do przodu wraz z liną, prawdopodobnie w stronę powalonego drzewa. Ale nie była tego pewna, po prostu podążała za liną. Nie musiała wypływać na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Jeszcze nie teraz.

Kilkanaście sekund później lina po raz pierwszy stawiała jej opór. W palcach Aleks poczuła ostry, metalowy przedmiot. Kształtem przypominał hak, do którego coś zostało przyczepione. Dość łatwo udało jej się to usunąć. Nadal nic nie widziała, ale zdobyty przedmiot przypominał w dotyku plastikowy kwadrat. Miał wytłoczony jakiś numer albo słowo. Wgłębienia były wyraźnie wyczuwalne, ale nie mogła rozpoznać wyrytego tam znaku.

Po pierwszym haku pojawił się kolejny i jeszcze jeden. A potem następny. Wszystkie znajdowały się w niewielkiej odległości od siebie. Każdy z nich wraz z przyczepionym kwadratem Aleks mocno zaciskała w lewej dłoni. W prawej nadal trzymała linę. Nie widząc, czy udało jej się odnaleźć wszystkie kwadraty, nadal posuwała się naprzód, ale przez dłuższy czas znajomy opór już się nie pojawił.

Nie przestawała, ponieważ nie dotarła do drugiego końca liny, a taki cel sobie wyznaczyła. W pewnym momencie coś ją unieruchomiło, czuła opór na wysokości biodra. Po chwili poczuła ból. Stawał się coraz ostrzejszy, coraz bardziej palący. To mógł być kolejny metalowy hak, który w pośpiechu pominęła. Aleks uniosła głowę. Woda zamykała się nad nią jak czarny całun. Na powierzchni nie było widać żadnego ruchu. Żadnego znaku życia. Zupełnie nic.

Miała może dwie sekundy na podjęcie decyzji. Wyswobodzenie się przy użyciu obu dłoni oznaczałoby wypuszczenie z rąk zdobyczy, które dawały szansę na odbicie Adasia. A czas ciągle się kurczył. Byłoby go jeszcze mniej, gdyby musiała wszystko upuścić, a potem wypłynąć na powierzchnię, by nabrać powietrza. Upływały kolejne sekundy. Pulsujący w biodrze ból tłumił jej myśli. A w dodatku zaczynało jej brakować powietrza.

Szarpnęła jeszcze raz i drugi, z większą niż poprzednio siłą, ale hak wciąż tam był, zaczepiony o materiał jej bluzy, którą najprawdopodobniej przebił. Dlatego jeszcze bardziej ranił jej skórę.

Aleks wiedziała, że jeśli zaraz się nie wyswobodzi, za chwilę nie będzie miała czym oddychać. Podjęła więc decyzję. W lewej dłoni kurczowo trzymała

wszystkie plastikowe kwadraty, ale puściła prawą, tę zaciśniętą na linie. Przesunęła ją wzdłuż ciała, w miejsce, w którym wyczuła zaczepiony w bluzie hak. Szarpnęła za niego mocno. Ale jedna dłoń to wciąż było za mało, by się uwolnić, zwłaszcza że w zastraszającym tempie opadała z sił. Myśli nieskładnie zaczęły plątać się w jej głowie.

Adaś.

Ponownie uniosła głowę do góry.

Adaś.

Zamiast czarnego lustra wody był teraz tylko on.

Jego buzia.

Rozdział 8

wtedy / luty 2019

Kieliszek Aleks znów był pełny. Zapach serwowanych właśnie do ich stolika dań – ramenu i krabowych chipsów z ziołowym dipem – tylko pobudził jej apetyt. Poza dwoma waflami ryżowymi i trzema lampkami czerwonego wina nie miała dziś nic w ustach, więc bardzo szybko poczuła się zbyt swobodnie.

– A co powiecie na grę w prawdę albo wyzwanie?

Obserwowała z uwagą twarze gości, którzy od jakiegoś czasu unikali jej spojrzenia. Pociągnęła z kieliszka kolejny łyk wina. Nie zwracała uwagi, że Lila któryś raz gromiła ją wzrokiem. Strofujące spojrzenia siostry bardziej ją bawiły, niż frustrowały i nie wywoływały takiej reakcji, na jaką liczyła Lila.

Aleks odczytała z ruchu warg siedzącej naprzeciwko jej siostry, że Lila mówi bezgłośnie.

– Przystopuj do cholery!

– To jak będzie? – spytała, owijając swoje nudle wokół drewnianej pałeczki. Lekceważąco patrzyła Lili w oczy.

Milczenie zajętych jedzeniem gości wzięła za odpowiedź twierdzącą.

– Ja zaczynam, a potem pójdziemy zgodnie z ruchem wskazówek zegara. – Przesunęła palcem po brzegu kieliszka. – Piotr, padło na ciebie. Ty pierwszy. –

Wyszczrzyła zęby w demonicznym uśmiechu zarezerwowanym na jeden z takich stanów upojenia. – Wyzwanie czy prawda?

– Aleks, odwal się, okej? – zareagował Piotr. – Nie wszystko kręci się wokół ciebie.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Tchórzysz.

Piotr przewrócił oczami. Kilka osób patrzyło teraz na niego. Pozostali zajęci byli swoim jedzeniem albo rozmową.

– Wybierz za mnie i daj mi wreszcie spokój. A potem to odstawisz. – Wskazał na opróżniony do połowy kieliszek. – *Deal?*

– Założmy, że dostajesz opcję zainkasowania dwudziestu albo nawet trzydziestu patoli za wypożyczenie swojego brzucha na dziewięć miesięcy. Czyli zostajesz surogatką i rodzisz dziecko obcej parze. Dziecko nie ma śladu twojego DNA, więc teoretycznie nie jest twoje, ale nosisz je pod swoim sercem. Łasisz się na to? – Uniosła czujnie brew.

– To akurat odpada, wszelkie takie hipotetyczne rozkminy. – Piotr zaśmiał się i pociągnął łyk czerwonego wina. – Odpada, bo nie jestem kobietą.

Aleks poczuła kolejną falę przyjemnego rozluźnienia. Wszystko wydawało jej się wtedy mniej stabilne, tak jak ta drewniana pałeczka, która wyslizgnęła się jej z ręki. Kiedy podnosiła ją z podłogi, zobaczyła pod stołem, że dłoń Piotra spoczywa na udzie jej siostry. Najpierw tylko tam leżała, a potem przesunęła się wyżej. Widziała, jak jego palce wsuwają się pod jej sukienkę, a materiał w końcu pęka. Mocniej zacisnęła w dłoni pałeczkę.

– Ale chodzi mi o to, jakie jest twoje stanowisko. O to, jak ty to widzisz. – Odchrząknęła, prostując się na krześle. A kiedy nie otrzymała odpowiedzi, dodała: – To może inaczej, co pomyślałbyś o kimś, kto w darknecie ogłasza, że urodzi obcej parze dziecko, że będzie żywym inkubatorem i zgarnie za to okrągłą sumkę?

Przeniosła wzrok na siostrę i nie spuszczała jej z oka przez kilka kolejnych sekund.

– Nie mnie takie rzeczy oceniać. – Piotr zmarszczył brwi. – Nie da się udzielić czarno-białych odpowiedzi, a już na pewno nie jest to temat do dyskusowania podczas imprezy takiej jak ta. Koniec, Aleks! – uciął stanowczo. – To urodziny Magdy, a nie przyjęcie ku czci twojego ego.

– Aleks, ochłoń, co? – zawtórował mu rudowłosy chłopak. Nazywał się Maks i był partnerem Magdy, dzisiejszej solenizantki. – No i stygnie ci. – Wskazał na niemal nietkniętą miskę ramenu.

– Spauzuj, dziewczyno. To całkiem dobry pomysł – odezwał się ktoś jeszcze. W tym obcym głosie, dobiegającym zza innego stołu, Aleks wyczuła naganę.

Ktoś inny zachichotał.

A potem Aleks poczuła, jak wszystko jeszcze bardziej traci ostrość. Wszystko było coraz mniej realne poza zaciskającą się na jej nadgarstku dłonią jej siostry.

– Chodź na moment. – Lila zmusiła Aleks, żeby wstała.

O dziwo, Aleks dała się jej prowadzić. Lila odciągnęła siostrę na bok, z dala od wścibskich spojrzeń, i posadziła ją na welurowej sofie. Nie poluzowała uścisku.

– Co ty wyprawiasz?

Aleks podniosła zamglony wzrok i spojrzała na swoją unieruchomioną rękę.

– Nie pozwolę ci robić z siebie idiotki – wycedziła Lila.

– Ze mnie? – Aleks wyszarpnęła się i rozmasowała obolałe miejsce.

– Nie wypijesz ani kropli więcej. Mam w dupie to, co zaraz powiesz albo zrobisz. Nie pozwolę ci pogrążyć się jeszcze bardziej, więc albo wrócisz do stołu, zjesz coś, żeby zneutralizować to, co w siebie wlałaś, oprzytomniejesz i będziesz się zachowywać jak człowiek, albo cię stąd wyprowadzę i odwiozę do domu, do cholery!

Aleks nadal widziała wszystko mniej wyraźnie, ale jedno rozpoznałaby nawet wtedy, gdyby była jeszcze bardziej pijana. Rozpoznawanie emocji siostry nie stwarzało dla niej żadnych problemów. Aleks na twarzy Lili zobaczyła nie złość, ale autentyczną troskę.

Chwilową ciszę, która między nimi zapadła, przerwał dzwonek telefonu Aleks. Chciała go zignorować, ale melodia przypisana była do osoby, której Aleks unikała od dwóch miesięcy, czyli od dnia swojego powrotu z odwyku. Telefon przestał dzwonić, kiedy wyciągnęła go z kieszeni, ale na wyświetlaczu pojawiła się nowa wiadomość. Aleks odblokowała ekran i przebiegła po niej wzrokiem. A potem zeszywniała. Po pierwszej wiadomości szybko, jedna po drugiej, nadeszły trzy kolejne.

– Daj mi chwilę, okej? Zaraz do was dołączę – powiedziała Aleks do Lili, szybko przytomniejąc. Poczowała, że oblewa ją fala gorąca.

Odkąd wydało się, że Aleks ćpa, Lila stała się jeszcze bardziej wyczulona na zmiany w zachowaniu siostry, czasami aż do przesady. Ale tym razem wiedziała, że się nie myli. Aleks wyraźnie czegoś się przestraszyła.

– Coś się stało? – spytała.

– Po prostu chcę ochłonać, okej... Sama... – odpowiedziała i spojrzała na siostrę błagalnie.

– Posiedzę tu chwilę z tobą. – Lila nie ustępowała.

– Nie! Proszę. – Aleks gwałtownie potrząsnęła głową. – Dołączę do was za pięć minut, obiecuję. Zaufaj mi. To dotyczy zmian w terminach i miejscach treningów. – Wskazała na telefon, wiedząc, że Lila na pewno połączyła jej reakcję z wiadomościami, które właśnie przychodziły. Stwierdziła, że tak będzie bezpieczniej. – Muszę odpowiedzieć.

Lila się zawahała. Dotarcie do siostry bywało cholernie trudne i nie miała na to żadnej sprawdzonej metody. Tym razem postanowiła dać jej szansę, o którą prosiła, by faktycznie mogła ochłonać. Zamierzała jednak obserwować ją z bezpiecznej odległości, by móc w razie czego zareagować.

Kiwnęła więc tylko głową i odeszła. Kiedy wróciła na swoje miejsce przy stole, widziała, jak Aleks wlepia wzrok w ekran telefonu, a potem gorączkowo rozgląda się po sali.

Aleks kolejny raz przeczytała wszystkie cztery wiadomości.

Podobno chwilowo nie masz hajsu, ty mała cholerna kłamczucho.

Przewinęła wiadomość w dół.

To za czyje chlejesz? Zdaje się, że za moje.

A pod nią jeszcze kolejną.

Chcesz, żebym dołączył do tej twojej świty i ponawijał trochę o tobie?

Nie?

To zapierdalaj do męskiego kibla.

I to już!

Musimy sobie parę rzeczy wyjaśnić.

Aleks, żeby nie ryzykować, że Lila pójdzie za nią, wstała z sofy, podeszła do stołu i szepnęła siostrze do ucha, że idzie do toalety. Starła się przy tym brzmieć jak najbardziej przekonująco, co w jej stanie upojenia wcale nie było łatwe. Kiedy upewniła się jednak, że siostra faktycznie za nią nie idzie, szybko

pchnęła drzwi męskiej toalety. Wszystkie trzy kabiny były puste. Widząc swoje odbicie w jednym ze stłuczonych luster, poczuła, że kręci się jej w głowie. Weszła więc do kabiny, spuściła klapę i na niej usiadła. Wtedy drzwi toalety się otworzyły.

Zdradził go chód, szybki i zdecydowany, a także metalowe fleki butów. Szurały po posadzce z głośnym zgrzytem. Aleks wstała. W tej samej chwili do kabiny wparował Wiktor Oliński. Wyglądał niezmiennie tak samo, czyli odstręczająco. Między fałdami skóry na jego szyi perliły się krople potu. Oczy przypominały cienkie szparki, a usta wykrzywiał grymas permanentnego niezadowolenia. Aleks nie widziała na jego twarzy innego wyrazu. Trudno było ocenić, ile Oliński miał lat. Antypatia, którą wzbudzał, i maska bad boya, która do niego przylgnęła, od dłuższego czasu niczego w nim nie zmieniły. Jediną oznaką starzenia były nitki siwizny, które pojawiły się całkiem niedawno w jego włosach. Wyciągnął dłoń w jej stronę, nadal blokując drzwi swoim cielskiem.

– Odrobinę za długo lecisz ze mną w chuja, mała – rzucił, mierząc ją na wpół wściekłym, na wpół pożądliwym wzrokiem. Zatrzymał się na jej piersiach. Obcisła mini miała głęboki dekolt i ledwie zasłaniała jej majtki, co jeszcze bardziej go podnieciło. Aleks wyobraziła sobie możliwy rozwój wydarzeń, więc wzdrygnęła się i starała się jak najbardziej obciągnąć sukienkę.

– Mam trzy stówy. – Wyciągnęła z torebki dwa zmięte banknoty i mu je podała.

Oliński cmoknął, a jego zęby błysnęły w cwaniackim uśmiechu. Potem odepchnął od siebie dłoń dziewczyny.

– A co to za drobne, dzieciaku? To na jakiś fatałaszek sobie zostaw, a mnie nadal wisisz prawie pięć patoli. I albo to ogarniesz jeszcze dzisiaj, albo to się skończy źle. Fatalnie, kurwa – warknął.

Przysuwał się do niej coraz bliżej. Okropnie śmierdział potem. Aleks poczuła nieprzyjemne mrowienie we wszystkich kończynach. Tym razem jednak nie miało to nic wspólnego z wypitym winem. Była zadziwiająco trzeźwa. I przerażona jak nigdy dotąd.

– Nie mam tej forsy – wydukała. Usilnie starała się nie okazywać słabości, ale głos się jej załamał, a ciało skurczyło. Wiedziała, że to nie zwiastuje niczego dobrego. A świadomość przewagi, jaką nad nią miał, jeszcze bardziej go nakręci. – Nie pisnęłam ani słowa. Nikomu.

Oliński parsknął lekceważącym śmiechem.

– I myślisz, kurwa, że trzymanie gęby na kłódkę tak po prostu wystarczy? Że spłaci twój dług?

Przyparł ją do ścianki kabiny. Włożył w to tyle siły, że w zderzeniu z cienką laminowaną płytą ciało Aleks pozostawiło po sobie wyraźne wgłębienie. Potem Oliński pchnął dziewczynę na muszlę klozetową. Aleks uderzyła prawą ręką o metalowy wspornik. Jęknęła z bólu.

– Ale, dobra, niech stracę – dodał niby wspaniałomyślnie, rozchyłając swoją stopą nogi dziewczyny, a następnie przysunął kolano do jej krocza i mocno docisnął. Aleks zagryzła dolną wargę z bólu. Jednocześnie jedną ręką Oliński zablokował obie jej dłonie, uniemożliwiając dziewczynie jakąkolwiek obronę. Aleks zaskoczyła zwinność, z jaką to zrobił. – Tylko żadnych głupstw. –

Przyłożył palec do ust i wolną ręką odsłonił wsunięty za pasek spodni nóż myśliwski. – Możemy to rozegrać inaczej, rzekłbym, z bonifikatą. I tak jestem wyjątkowo, kurwa, miły, bo procent od tych kilku miechów byłby naprawdę spory. – Ale... – Wypuścił powietrze z ust, a następnie zatrzaskał drzwi lewą nogą. – Jak mówiłem, jestem ugodowy. – Pochylił się nad dziewczyną i przesunął palcem najpierw po jej policzku, a potem po klatce piersiowej. Zatrzymał się w rowku między jej piersiami. Najpierw tylko zadrzał, a potem nakreślił na jej ciele okrąg. Usta Olińskiego były teraz przy jej skórze, niemal muskały szyję. Poza smrodem jego potu Aleks czuła także odór moczu i chemiczną woń wybielacza. Wydawało jej się, że to on tak cuchnie. – I to nawet teraz... – wyszeptał jej do ucha. – Rozłożymy to na raty. Pierwsza rata tutaj. Rozchylisz nogi, a potem wylizesz gałkę i będzie po sprawie. Cztery kolejne w tym i następnym tygodniu. I, jak widzisz, faktycznie jestem kurewsko miły, bo wysoko wyceniam twoje kompetencje, mała. – Wolną ręką podciągnął jej sukienkę, ale zanim zdołał położyć dłoń na jej kroczu, Aleks udało się zacisnąć nogi.

W tej samej chwili splunęła mu prosto w twarz. Oczy Olińskiego zwęziły się i pociemniały jeszcze bardziej. W głowie Aleks błysnęła wtedy myśl, że za chwilę ją uderzy. Jego reakcja była jednak zgoła inna.

– *Zero waste.* – Mlasnął głośno i otarł twarz. W tej chwili wydał się jej jeszcze bardziej podniecony. – A może inaczej. Zamiast twojej cipki wyrucham inną, twojej przydupaski siostrzyczki. Zrobię to wtedy, kiedy nie będzie się tego spodziewać. To ta, co się tak nad tobą trzęsie, co nie? Samarytanka. – Przesunął językiem po zębach. – Lubię takie. Lubię aktywistki.

W tej samej chwili uchyliły się drzwi łazienki. Oliński zasłonił Aleks usta. Do łazienki wpadły głośne dźwięki muzyki. Otworzyły się drzwi kabiny obok. Dziewczyna usłyszała odgłos lejącego się do muszli strumienia moczu.

Jeśli miała coś zrobić, to tylko teraz.

Krzyknęła, ale z jej ust wydobył się zaledwie jęk. Nie miała gwarancji, że to wystarczy, żeby zwrócić uwagę tego człowieka obok. Z mozołem przesunęła ciało bliżej ścianki, a następnie uderzyła w nią łokciem. Po chwili z sąsiadującej kabiny dał się słyszeć głos. Należał do młodego chłopaka.

– Wszystko w porządku?

Reakcja Olińskiego przysła o chwilę za późno, co dało Aleks minimalną przewagę. Udało się jej raz jeszcze mocno trącić ściankę łokciem.

– Halo? – Tym razem pytaniu towarzyszyło stukanie.

– W najlepszym – odpowiedział Oliński schrypniętym głosem. – Mamy tu małe szybkie spotkanie we dwoje. Pan rozumie. – Udał zakłopotanie. – Prawda, kochanie? – zwrócił się do Aleks, a jego uścisk nieco zelżał. – Uważaj, co mówisz – zagroził, szepcząc jej do ucha, i powoli odsunął rękę z jej ust.

Zamiast się odezwać, Aleks natarła ciałem na Olińskiego.

– Pamiętaj, że mnie się nie chuja! Za to zawsze drogo się płaci – wycodził jej do ucha i powoli się odsunął. – Jeśli ktoś kogoś rucha, to tylko ja, a nie na odwrót. Zapamiętaj to sobie. I puść parę z ust tam na sali albo daj znać, że coś jest nie halo, to do domu nie wrócić w komplecie. Ty i ta twoja pierdolona radosna rodzinka – powiedział i odsunął się na bok.

Aleks pchnęła drzwi i uciekła. Poza kabiną wszystko wyglądało inaczej, nawet powietrze było inne, lżejsze. Dziewczyna wypadła do holu, nie oglądając się za siebie, żołądek wciąż miała zaciśnięty w ciasny supeł. Wszystko migąło w szaleńczym pędzie – girlanda kolorowych lampek, zapchany ubraniami wieszak i tabliczka powitalna dla gości baru. Na ciele Aleks nadal czuła ten obmierzły, lepki dotyk. W jej głowie wciąż dudniło pytanie, jak powinna postąpić.

Co należy w tej sytuacji zrobić?

W drzwiach znajdującej się po drugiej stronie korytarza damskiej toalety pojawiła się Lila, bledsza niż zwykle. Ocierała dłonią usta, z których zupełnie zniknęła czerwona pomadka. Aleks wydawało się, że z toalety dochodzi mdły zapach wymiocin.

– Gdzie byłaś? – zapytała Lila.

Aleks musiała zachować spokój. Groźba Olińskiego powróciła do niej jak upiorne echo. Nie mogła ryzykować, przynajmniej do czasu, aż przemyśli, jak z tego wybrnąć.

– Na fajce – odpowiedziała, siląc się na uśmiech.

– Uderzyłaś się? – Lila zmarszczyła brwi i wskazała na czerwieniejący ślad, jaki między piersiami siostry zostawił paluch Olińskiego. – Na pewno wszystko okej? – zapytała, patrząc na nią podejrzliwie.

Aleks widziała, że Lila szuka prawdy, której ona nie mogła jej teraz wyjawić. Poczowała się przez to jeszcze bardziej winna. Kolejny raz uwikłała siostrę we własne problemy.

– Przepraszam, ja... – Urwała nagle. – Sorry za ten cyrk. Po prostu wróćmy tam. – Z wymuszonym uśmiechem wskazała salę. – Będzie okej, obiecuję. – Resztą sił starała się brzmieć przekonująco.

Mimo wszystko Aleks podejrzewała, że to nie wystarczy. Obawiała się, że Lila tym razem nie kupi jej kolejnego kłamstwa. Czuła, jak ta naprędce utkana mistyfikacja o sobie przypomina. Było w niej wszystko, co Aleks chciała ukryć, i wszystko, co jeszcze miała, by móc choć raz ochronić swoją siostrę.

Z ulgą stwierdziła, że tym razem maskowała się skutecznie. Lila wzięła ją pod rękę i bez zbędnych pytań ruszyła w stronę głównej sali, z której dobiegał radosny gwar.

Aleks tylko raz się odwróciła. Spojrzała na prowadzące do męskiej toalety drzwi, bo wydawało jej się, że czuje na sobie wzrok Olińskiego, lubieżny i brudny. Miała wrażenie, że wciąż tkwi w tej śmierdzącej kabinie, napastowana przez dilerę. Właśnie tak nisko upadła. Wydawało jej się, że niżej już nie może. Ale była w błędzie.

Dopiero najbliższej nocy miała sięgnąć dna.

– Przepraszam – wyszeptała tylko i spojrzała na Lilę pojednawczo. – Bardzo cię przepraszam.

Rozdział 9

Aleks wypłynęła na powierzchnię wody z czterema zaciśniętymi w dłoniach plastikowymi płytkami. Wszystkie miały identyczny kwadratowy kształt. Dziewczyna łapczywie wciągała powietrze do płuc, niemal tak samo jak wtedy, kiedy brakowało jej go w męskim kiblu tego zimowego wieczoru w Neonie. W zasadzie teraz nie czuła się wcale lepiej.

W odległości dwóch metrów od niej stała jej siostra zanurzona po pas w wodzie. Szła w jej stronę, chcąc pomóc Aleks wyjść na brzeg. W tej okropnej sytuacji było tak jak zawsze. Lila była przy niej z wyciągniętą pomocną dłonią, nawet jeśli Aleks grzęzła w najgorszym gównie.

– Nie! – wykrzyknęła, z trudem łapiąc powietrze. Wciąż jeszcze była słaba i kręciło jej się w głowie. – Mieliśmy to robić sami. To była jedna z zasad – przypomniała. – Możecie mi chyba podpowiadać. Tylko tyle.

Lila zatrzymała się zgodnie z życzeniem siostry, do ostatniej chwili upewniając się jednak, że Aleks sama sobie poradzi.

– Ile mamy czasu? – zapytała dziewczyna, wciąż jeszcze zanurzona w wodzie.

– Dziesięć minut i dwanaście sekund – odpowiedziała Lila, zerkając na smartwatcha.

– Co to jest? – Piotr wskazał na małe kwadratowe płytki zaciśnięte w rękach dziewczyny.

– Nie udało mi się wyciągnąć wszystkich, na pewno przynajmniej jednej – wyznała Aleks. Wciąż nie mogła wyregulować oddechu. – Ja po nią wrócę, a wy spróbujcie w tym znaleźć jakiś sens. Tu są liczby. Może któraś z nich otwiera jedną z kłódek.

– Nie możesz tam wrócić. Nie teraz – kategorycznie zabroniła jej Lila. – Ledwo oddychasz.

– Nie tylko dlatego nie możesz tego zrobić – zgodził się ojciec. – Ty rozpoczęłaś to zadanie i ty musisz je doprowadzić do końca – dodał rzeczowo.
– Takie były zasady.

Czasem, tak jak teraz, Aleks wydawało się, że zasady są dla jej ojca wartością nadrzędną, dla której mógłby poświęcić nawet swoją rodzinę. Jedyne zasady, które Antoni był skłonny łamać, dotyczyły jego wnuka. Całą miłością, jakiej nie potrafił przelać na swoje córki, obdarowywał Adasia. W sumie Aleks nie miała mu tego za złe. Wołała wiedzieć, że jej ojciec jest w ogóle zdolny do okazywania miłości. Zanim urodził się Adaś, autentycznie w to wątpiła, bo sama nigdy jej od niego nie doświadczyła.

Zanurkowała jeszcze raz.

Kiedy się wynurzyła i wreszcie wydostała na brzeg, poślizgnęła się na trawie i wylądowała na kolanach. Oparta dłońmi o ziemię, wypuściła z ręki swoją zdobycz. Poza tą paralizującą słabością nie czuła zimna ani bólu zranionego miejsca, a przecież powinna. Adrenalina wciąż jeszcze krążyła w jej żyłach.

Rozłożyła tabliczki na trawie. Wytłoczone w plastiku cyfry miały różną wartość.

– Pięć, osiem, dwa, trzy – odczytał Piotr na głos.

Każdą płytkę osobno wziął do ręki i obejrzał ze wszystkich stron w poszukiwaniu ukrytych wypukłości, ale poza tymi widocznymi symbolami nie znalazł niczego więcej. Niczego, co mogłoby wyjaśnić ich sens albo posłużyć za jakikolwiek klucz.

– O co w tym chodzi? – zwrócił się do swoich bliskich, kolejno przekazując im płytki.

Lila, która odebrała je jako ostatnia, ułożyła cyfry na trawie, ale w zupełnie innej niż poprzednio kolejności. Rozpoczęła od tej, która miała najmniejszą wartość.

– Może trzeba je do siebie dodać? – zastanawiała się głośno. – Tato, czy te cyfry kojarzą ci się z jakimś równaniem matematycznym? – zapytała i spojrzała na Antoniego wyczekująco.

Ojciec potrząsnął głową.

– Jeśli autorem tego zadania nie jest matematyk, tylko architekt, może ono dotyczyć zachowania odpowiednich proporcji. Symetrii, którą trzeba znaleźć w architekturze, a którą wyznaczają liczby.

– Nie zapominaj, że facet nie żyje, tato. To nie on jest autorem tego wyzwania – wtrąciła Aleks. – Cokolwiek mają oznaczać, nie muszą nawiązywać do żadnych teorii ani wzorów, którymi posługują się architekci. Przecież była mowa o tym, że zadania odnoszą się do naszych umiejętności, a z tego grona tylko ty ogarniasz matkę na poziomie wyższym niż przeciętny człowiek.

– To był zaledwie krótki epizod i nie nazwałbym tego zaawansowaną matematyką – zarzekął się Antoni.

Za jego asekuracją czaił się nie tyle lęk przed podjęciem próby, ile obawa przed poniesieniem fiaska i wzięciem odpowiedzialności za porażkę. Obie jego córki doskonale o tym wiedziały.

– Tato, co jest?

– Sam nie wiem – jęknął, drapiąc się po brodzie. – Nie zajmowałem się tym przez całe lata. Po prostu nic mi teraz nie przychodzi do głowy.

– Zastanów się – zachęcała go Lila. – Po prostu pomyśl.

Antoni zmrużył oczy, usiłując przywołać wszystkie wiszące w salonie plakaty i obrazy, które mogłyby dać jakąś podpowiedź, choć w gruncie rzeczy było ich niewiele. Najpierw przywołał w pamięci wzory na pola i obwody wszystkich figur geometrycznych, jakie tam widział. Przytoczył nawet wzór na promień koła, ale to nijak się miało do cyfr naniesionych na płytki. A potem przypomniał sobie o jeszcze jednym plakacie, przedstawiającym spiralnie zwijającą się, przeciętą na pół muszlę.

– Był tam jeszcze łodzik – pomyślał na głos Antoni.

– Łodzik? – podchwyciła jego młodsza córka.

– Muszla – wyjaśnił. – Symbol boskiej proporcji, na którą składa się ciąg rosnących liczb. Jest w podziale nerwów w liściach, w rozgałęzieniach żył u ludzi i zwierząt, jest też podstawą cykliów fal mózgowych.

– Nie rozumiem. Czas, tato – ponagliła ojca Lila.

– Masz ze sobą telefon? – zwrócił się do zięcia Antoni.

W tym czasie Piotr zdążył kilkakrotnie okrążyć leżące na trawie tabliczki. Bierność doprowadzała go do furii tak samo jak bezsilność.

– Został w domu – odpowiedział.

– A możemy tam wchodzić przed otwarciem kłódki?

Piotr westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Możesz jaśniej? Jak to się ma do tego łodzika?

– Nie pamiętam całego wzoru, tylko pierwsze trzy cyfry, a te częściowo pokrywają się z tym, co tutaj mamy. Jeden, dwa, trzy. A my mamy dwójkę i trójkę. Może to nic. Ale to w tej chwili jedyny punkt zaczepienia. Nie pamiętam, czy wzór był na plakacie. Nie przyjrzałem mu się uważnie. Ile mamy czasu?

– Osiem minut i czterdzieści dwie sekundy.

– Po prostu wróć do domu i zrób zdjęcie. Może zauważymy na plakacie coś więcej – polecił mu Antoni.

– A jeśli nie?

– Już mówiłem, nie mam innego pomysłu.



Po wejściu do domu Piotr szybko zlokalizował swój telefon. Był na kuchennym blacie. Poszedł z nim do salonu i raz jeszcze rozejrzał się w poszukiwaniu jakichś równań matematycznych, które pasowałyby do wydobytych ze źródła liczb. Ale wiedząc, że ma coraz mniej czasu, zrobił to tylko powierzchownie. Dokładnie przyjrzał się plakatowi z łodzikiem, jednak szybko okazało się, że na plakacie nie ma żadnych liczb ani wzorów, także po drugiej stronie. Mimo wszystko sfotografował łodzika i szybko wyszedł. Jego smartwatch wskazywał pięć minut i czternaście sekund.

To, co zobaczył, schodząc ze wzgórza, tchnęło w niego nową nadzieję. Zauważył, że jego teść żywo gestykuje, co mogło oznaczać jedno – Antoni złamał jakiś kod, a przynajmniej się do tego przymierzał. Piotrowi wydawało się, że teść coś obliczał. Obliczał i był tym ewidentnie podniecony.

– Tylko wtedy to ma sens. – Jego głos niósł się z oddali. – Jeśli przyjąć, że każdy następny wyraz ciągu jest sumą dwóch poprzednich, to takie twierdzenie faktycznie sprawdza się dla tych liczb. – Mężczyzna zebrał z trawy cztery plastikowe kwadraty i je przetasował. – Dodane do siebie jedyńka i dwójka dają trzy. Dwa dodać trzy daje pięć, a pięć i trzy osiem. A właśnie takie cyfry tutaj mamy. Dwa, trzy, pięć i osiem. Co prawda jest jeszcze brakująca jedyńka, która równie dobrze może leżeć na dnie.

– Czyli, zgodnie z takim tokiem rozumowania, następna liczba ciągu to trzynaście – szybko obliczyła Aleks.

– Okej, ale dlaczego przyjmujecie, że naszym wynikiem, który jednocześnie stanowi kod do otwarcia kłódki, jest następna liczba w ciągu? Co, jeśli to działa na odwrót? Jeśli kluczem do rozwiązania jest cyfra poprzedzająca dwójkę, czyli jedynka?

Wnioskowanie Lilki szybko stonowało początkowy entuzjazm Aleks. Przysłuchujący się rozmowie Piotr podszedł do zawieszonych na bramie kłódek i obrócił je w palcach.

– Każda z nich wymaga wpisania więcej niż tylko jednej cyfry. Górna ma dwie zapadnie, a dolna trzy.

– To nie ma wielkiego znaczenia. Jedynka mogłaby zostać odblokowana na kłódce za pomocą kodu zero i jeden. Co ze zdjęciami?

Piotr pokręcił głową.

– Nic tam nie ma. Nic, co mogłoby się tutaj przydać.

– Więc lepiej coś postanówmy. Mamy cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy. Niewiele – powiedziała Lila, patrząc na smartwatcha.

– Jeśli tato ma rację w swoich obliczeniach – wtrąciła Aleks – to jest pięćdziesiąt procent szans na uzupełnienie brakującej liczby ciągu. Albo...

– Albo?

– Albo mogę jeszcze raz zejść na dno, żeby poszukać tej ostatniej cyfry. – Spojrzała na nieruchomą taflę wody, która łagodnie mieniła się w promieniach świecącego nad źródłiskiem słońca. – Wtedy się dowiemy, której cyfry brakuje.

– Nie – zareagowała Lila stanowczo. – To jeszcze większe ryzyko. Stracimy kilka minut. A musimy jeszcze mieć przecież czas, żeby tam wrócić. – Lila zadarła głowę i spojrzała na znajdującą się na szczycie wzgórza bryłę domu. – Mam inny pomysł.

– To co proponujesz?

Lila ponownie spojrzała na smartwatcha. Tym razem nie skupiła się na odmierzającym czas stoperze, tylko na mieszczącym się w lewym narożniku ekranu pomarańczowym przycisku. Przesunęła nad niego palec.

– Za wcześnie – przestrzegł ją Piotr. – Nie rób tego.

Ale tym razem Lila nie zamierzała nikogo przekonywać. Już raz jej bierność wobec decyzji, z którą się nie zgadzała, zakończyła się tragedią. Tą, która najprawdopodobniej ich tutaj sprowadziła. Przekonana, że postępuje słusznie,

uruchomiła pomarańczowy przycisk. Kiedy odsunęła palec, ekran smartwatcha rozblęsnął, a wyświetlający się komunikat otoczony został kolorową ramką.

Ciąg Fibonacciego to ciąg liczb naturalnych, z których każda kolejna liczba jest określana rekurencyjnie. Pierwsza liczba ciągu to $F_0 = 0$, a druga $F_1 = 1$, z kolei każda kolejna jest sumą dwóch poprzednich.



– To tylko wzór na ciąg. A my już go znamy – odczytał Antoni ze swojego smartwatcha. Był ewidentnie rozczarowany. Komunikat wyświetlił się jednocześnie na wszystkich czterech urządzeniach. – Wracamy do punktu zero – skwitował z goryczą.

Po kilkukrotnych próbach rozwijania wiadomości i ponownego jej otworzenia musieli zaakceptować, że wskazówka nie kryje nic więcej, zatem nie zaprowadzi ich nawet o krok dalej. Niewiele ponad trzy minuty, tyle czasu im wtedy pozostało.

– Jedyńka czy trzynastka? Którą mam wybrać? – zapytała zniecierpliwiona Aleks i wskazała na bramę, na której założone były kłódki.

W myślach Lili pojawiały się tylko dwie liczby, w tych okolicznościach niemal równorzędnie prawdopodobne.

– Trzynastka. Jeśli jedynka została na dnie, to trzynastka jest brakującą liczbą. – Lila próbowała to jakoś racjonalizować, ale bez przekonania.

– Jesteś pewna?

– Zrób tak – odpowiedział Piotr za żonę, którą targały widoczne wątpliwości. Zresztą on też je miał, ale tym razem nie dał tego po sobie poznać. – Po prostu to zrób – ponaglił.

Aleks podniosła się z kolan i podeszła do kłódki zapiętej na metalowej obejmie na wysokości jej głowy. Cyfry przesuwające się pod palcami dziewczyny zmieniały się z cichym kliknięciem. W pierwszą zapadnię wskoczyła jedynka, a w drugą trójka. Aleks wzięła głęboki oddech, zanim zrobiła kolejny krok. Poczwała oblewającą ją falę gorąca. Dopiero potem pociągnęła za metalowy pałak, szybko i zdecydowanie. I wtedy poczuła pod

palcem, jak mechanizm puszcza z głośnym jękiem. Kłódka leżała na jej wilgotnej dłoni, otwarta przy pierwszej próbie. Jedynej, którą faktycznie Aleks miała.

Chwilowa ulga pozwoliła jej oddalić myśli o wspomnianych w regulaminie konsekwencjach, jeśli nietrafnie wykorzystają podpowiedź. Na tym etapie nikt o konsekwencjach nie myślał.

Nikt z wyjątkiem tego, kto także był na terenie źródłiska. Kogoś, kto w przeciwieństwie do nich znał dalszy bieg zdarzeń, bo wcześniej skrupulatnie wszystko zaplanował.

Rozdział 10

Wyświetlające się na ekranie cyfry wyznaczały kolejną upływającą godzinę. Zostało ich osiemnaście. Osiemnaście godzin, czternaście minut i pięć sekund. Dokładnie wtedy zegar miał się wyzerować.

– Co chcesz przez to osiągnąć? – Antoni zamknął książkę, którą wertował od kilkunastu minut. Była nią kompilacja prac japońskiego architekta Kengo Kuma. Książka miała twardą błyszczącą okładkę.

Słowa teścia nie zrobiły na Piotrze wrażenia. Krążył uparcie wokół szklanego atrium. Rosnące pośrodku drzewo musiało być bardzo stare. Jego pień rozwarstwił się, a kora przypominała spękany, toczony długoletnią chorobą pancerz. Jednak drzewo wciąż żyło, gałęzie i liście wyglądały na zdrowe i soczyste. I choć Piotr czuł, że bolą go mięśnie, a natarczywe myśli nadal tłukły mu się w głowie, nie przestawał. W ten sposób starał się rozładować bezczynność i gniew.

– Wydeptywanie tej trasy naprawdę niczego nie zmieni – dodał Antoni.

– To zabawne, bo mnie w tej sytuacji zadziwia zupełnie co innego.

Antoni uniósł pytająco brwi.

– To, że masz czas na te bzdury. Że możesz w takiej chwili spokojnie wertować jakąś książkę.

Piotr się zatrzymał. Widziana zza szyby sylwetka jego teścia miała nienaturalne proporcje, zbyt długi korpus i skrócone kończyny.

– Robię to, co jest produktywne – odpowiedział Antoni. – A to najbardziej produktywna rzecz, jaką mogę w tej chwili zrobić.

– Masz na myśli czytanie czy oglądanie obrazków?

Antoni ostentacyjnie odłożył książkę i spiorunował Piotra wzrokiem.

– Daruj sobie tę błazenadę.

– Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. – Piotr potrząsnął głową. – Odkąd pamiętam, zawsze tylko liczyło się to jedno, twoje analizy. Tylko arkusze kalkulacyjne i cisza, w której się kryłeś. Sam. To zawsze brało górę nad życiem tych, których od siebie odpychałeś. Nadal tak robisz...

Antoni zamilkł. Odwrócił się, podszedł do półki, odłożył książkę, a następnie, nadal zwrócony plecami do Piotra, wyjrzał przez okno. Tylko udawał, że czegoś tam wypatruje. W tej chwili ucieczka wydawała mu się lepsza niż konfrontacja. Słowa Piotra zabolowały go jak żadne inne, bo były niebezpiecznie bliskie prawdy. Wiedział o tym.

Dochodziła dopiero czternasta, ale nad źródliskiem od jakiegoś czasu zbierały się opary, które znacząco ograniczały widoczność. Przypominały spiętrzone kłęby waty cukrowej pokrytej szarym pyłem. Tym razem to one wytyczały granicę działki, i to na nich kończył się horyzont.

– Gdzie pracuję? – spytał go Piotr.

– A jaki to ma związek z czymkolwiek? – Teść gwałtownie się odwrócił. Piotr zauważył wtedy, że jego twarz spochmurniała i zbladła.

– Po prostu odpowiedz.

– Ilustrujesz. Imasz się różnych zleceń – powiedział Antoni na odczepnego.

– Imam się? To dość niefortunne określenie, tato. – Piotr się skrzywił. – Ma pejoratywny wydźwięk. A od miesiąca nie jestem już tylko freelancerem. Ale nie o mnie tu tak naprawdę chodzi.

– To po co te zaczepki? Do czego właściwie pijesz?

– Co wiesz o swoich córkach?

Antoni odpowiedział wymuszonym śmiechem, a Piotr nie przestawał go punktować.

– Wiesz chociaż, co lubią albo czego się boją? Jak zniszczyło je to, co się wtedy stało? Tamta komenda? No mów!

Piotr ruszył w stronę teścia, a kiedy Antoni nie odpowiedział, szarpnął go za rękaw.

– Coś nam kiedyś umknęło, może i tak... Lata temu... – Antoni zawiesił głos i wyszarpnął się Piotrowi. – Ale moje córki zawsze miały co jeść, kiedy tylko chciały, miały za co kupić sobie nowe ciuchy. Zawsze – podkreślił. – Dbiałem o nie.

– To jest twoja definicja troski, tato? Hajs?! – Piotr zaśmiał się szyderczo. – Skoro tak, to masz analogię. Tak na gorąco. Zamknij w klatce psa, małego, ufnego szczeniaka, regularnie dawaj mu jeść i pić, zostaw w tej klatce. Zostaw samopas, bo jakoś się przecież sam ogarnie. Nie dotykaj, nie głaszcz, nie baw się z nim, nie rozmawiaj. To tylko pies. Jakoś sobie sam poradzi. Nie wymaga wiele. Zostaw go tak i czekaj. Czekaj, aż upłynie wystarczająco dużo czasu. Kiedy pies będzie miał dość? Jak myślisz, kiedy się podda? I czym się stanie, jeśli w ogóle przetrwa?

– Co za brednie! Nikogo nie zamykałem w klatce! A moje córki to nie psy! – oburzył się Antoni. – Adaś... – wypowiedział imię wnuka innym, czułym tonem. – Mam z nim doskonały kontakt.

– A zabierasz go na te cotygodniowe spacerki i kupujesz mu prezenty, bo naprawdę go kochasz?

Antoni spojrzał na zięcia z wyrzutem.

– A jak myślisz?

– Myślę, że może tylko rekompensujesz sobie w ten sposób wyrzuty sumienia. Albo robisz to z czystego egoizmu i samotności, bo odepchnąłeś od siebie wszystkich, tylko Adasia jeszcze nie.

Antoni zacisnął pięści i zrobił krok w stronę Piotra. Dystans między nimi niebezpiecznie się skrócił.

– Dość tego!



Niechybne zaostrenie tej konfrontacji przerwał dobiegający z piętra trzask zamykanych drzwi. Kilka godzin temu opracowali we czwórkę strategię racjonalnego zagospodarowania czasu, jaki upływał między kolejnymi zadaniami. W tym celu się rozdzielili. Pierwsza dwójka miała czuwać przy projektorze, na którym w każdej chwili mógł zostać odtworzony kolejny komunikat. Pozostałe dwie osoby przeczesywały dom i przylegający do niego teren w poszukiwaniu wskazówek albo zasięgu sieci, którego, przynajmniej do tej pory, nie udało im się złapać.

Szuranie po podłodze obaj mężczyźni wzięli więc za znak tego, że Lila i Aleks zaraz do nich dołączą.

– Zmieniamy się? – zaproponował Piotr, zauważając schodzącą po schodach Aleks. Oddalił się od teścia. – I może zmienimy konfigurację naszych dwojek. Już czas.

Ale odpowiedź dziewczyny pochłonał jego własny głos, który poniósł się echem po wszystkich pomieszczeniach domu, choć on sam tak naprawdę milczał. Głos wydawał się zmieniony przez modulator. Był ostry i metaliczny. Mimo początkowego zdezorientowania szybko zrozumieli, że głos został odtworzony z dyktafonu albo pliku, na którym zarejestrowano rozmowę telefoniczną.

Piotr dobrze wiedział, jak było naprawdę. Zrozumiał to już po pierwszych słowach. Dobrze pamiętał swoją frustrację. Dwa tygodnie temu w rozmowie ze swoim przyjacielem Marcinem wyrzucił ją z siebie całą. Chwilę wcześniej kolejny raz pokłócił się z Lilą. Najwyraźniej jego telefon musiał być wtedy na podsłuchu.

Lila nie zeszła na dół. Słuchała nagrania ze szczytu schodów, kurczowo trzymając się wnęki w ścianie. Dystans, jakiego nabierała w stosunku do własnego męża, powiększał się z każdym jego słowem. Ale i tak wszystko zdominował śmiertelny lęk o życie jej dziecka. Nic nigdy nie mogło równać się z tym, co czuła od kilku ostatnich godzin. Znieczuliła się na każde z padających pod jej adresem słów. Tak było zresztą łatwiej. Wtedy bolało trochę mniej.

Na nagraniu Piotr pierwsze słowa wypowiadał ze złością.

– *Chciałem wyjść, spakować małego i nigdy już nie wrócić.*

– *O co poszło tym razem?* – To był głos jego przyjaciela. W porównaniu z rozdrażnionym Piotrem Marcin mówił w sposób był przyjemny i kojący.

– *Jak zawsze o bzdurę, co tylko uświadamia nam, jak bardzo sobą gardzimy. Bo do tego już doszło. Nie kocham jej od dawna, stary. Cały czas chodzi jak struta, a jej napady lęków stają się nie do wytrzymania. Tylko dziecko jeszcze jakoś to klei, wiem, że to straszny banał. A najgorsze, że to wcale nie wychodzi małemu na dobre. Adaś patrzy wciąż na to, jak skaczemy sobie do gardeł. Nie kochaliśmy się od miesięcy. W dodatku nie mamy o czym ze sobą gadać. Zresztą ona w ogóle mnie nie podnieca. Czasami nawet się jej brzydzę. Brzydzę się jej dotknąć. Nie mam ochoty nigdzie się z nią pokazywać.*

– *Brzydzi cię? Co ty gadasz? Przecież nieźła z niej sztuka.* –
W głosie przyjaciela dało się wyczuć oburzenie.

– *Przecież wiesz, że nie o wyglądzie mówię. To zupełnie nie o to chodzi. Jest jak kłoda. Albo kukła. Kukła bez życia.*

– *To co? Będiesz tak w tym tkwił latami? Wyjścia są dwa. Idźcie na terapię albo ją zostaw.*

– *Terapia odpada.*

– *Niby dlaczego? Mnóstwo par chodzi na mediacje, zanim zdecyduje się na rozwód. Niektórym to nawet pomaga.*

– *Wtedy musielibyśmy przyznać się do tego, dlaczego tak się nienawidzimy.*

– *A co za problem? Czy nie o to właśnie chodzi? Żeby wywlec cały syf, a potem go przepracować?*

Nagle głos Piotra całkiem się zmienił.

– *Zrobiliśmy straszną rzecz. I to najbardziej nas od siebie oddaliło. Straszną* – powtórzył jeszcze ciszej. Jego głos stawał się coraz mniej wyraźny.

– *Co ty gadasz?*

– *Nie chcę o tym mówić. Niepotrzebnie tutaj to przed tobą wywlekam.*

– *Stary, wiesz, że możesz teraz to zrzucić z klaty. Jak cię gnębi, to mów. O ile nikogo nie sprzątnęliście, to jakoś to będzie.*

Pauza.

– *Marcin, nic nie rozumiesz. Nic nie da się z tym zrobić ani tego naprawić, ani tym bardziej odkręcić. Lepiej jest, jeśli nie wiesz. Najlepiej będzie, jak to zakończę. To nasze fikcyjne małżeństwo. Tylko jeszcze nie teraz. Lila wygrała jakiś konkurs. Nagrodą jest rodzinny wyjazd. Nie mogę jej tego zrobić, dopóki nie wrócimy.*

Po ostatnim wyznaniu głos Piotra odpłynął, a im w uszach dźwięczały jeszcze jego gorzkie słowa. Trwali w ciszy, dopóki Piotr nie ruszył w stronę stojącej bez ruchu żony. Lila stanowczo zatrzymała go w połowie drogi.

– *Nie podchodź do mnie.* – W jej głosie słychać było determinację. – *Ani kroku dalej.*

– Kurwa, nie miałem przecież tego wszystkiego na myśli. To było po naszej zajadłej kłótni – próbował gorączkowo tłumaczyć się Piotr. W końcu się zatrzymał. – Musiałem jakoś spuścić parę.

– Mam to gdzieś – skłamała Lila. W rzeczywistości ze wszystkich sił starała się ukryć, jak bardzo czuła się upodlona. – Teraz chcę tylko znaleźć nasze dziecko – dodała.

Aleks i Antoni przyglądali się z boku. Żadne z nich nie interweniowało.

– Myślę, że mamy za sobą pierwszą żółtą kartkę – szepnęła Aleks do ojca.

– Przynajmniej wiemy jedno – odpowiedział jej Antoni, a w jego głosie dało się wyczuć ulgę. – Ktokolwiek to robi, już wcześniej był blisko nas. I pewnie nadal będzie nas próbował skłócić.

Rozdział 11

Choć żadne z nich się do tego nie przyznało, nagranie na długo wytrąciło ich z wypracowanego wcześniej rytmu działania. Uruchomiony tryb wzajemnej podejrzliwości był jak wąż, który wślizgnął się do i tak nadwątlonego gniazda. Nie przeszukiwali już terenu parami. Nie potrafili przyjąć wspólnego frontu. Łatwiej przychodziło im odrzucanie kolejnych inicjatyw niż próba wypracowania kompromisu. Pod wymienianymi zdawkowo zdaniami i kolejno obalnymi pomysłami kryły się wzajemna niechęć i rozczarowanie. Najsilniej wyczuwalna w stosunku Lili do jej własnego męża.

Siedzieli więc we czwórce w salonie, każde w innej części, w ciszy, która nastąpiła po kolejnej nieudanej próbie rozmowy, kiedy nagle dioda projektora ponownie zamigotała. Przyciemniony ekran rozblysnął jasnym światłem, a chwilę później wyświetlił się na nim film, tym razem bez fonii. Wyglądało na to, że rejestrująca nagranie kamera podwieszona była pod sufitem i skierowana na salon.

Na jego środku przy stole siedział ten sam co poprzednio mężczyzna. Był pochylony nad blatem i w skupieniu obracał coś w palcach. Dopiero kolejne ujęcie z bliska ujawniło, że mężczyzna trzymał w dłoniach drewnianą figurkę złożoną z dużej głowy i tułowia bez kończyn. Namalowane na twarzy linie podkreślały rysy laleczki, bo tym figurka w istocie była, a cylindryczny tułów odziany był w miniaturowe kimono. Film odtwarzał się nie dłużej niż kilkanaście sekund, a potem nagle się urwał. Na jego miejscu pojawił się stoper na tle niebieskiego koła. Rozpoczęło się odliczanie. Czternaście minut pięćdziesiąt dziewięć sekund.

– To tamta laleczka *kokeshi* – zawołała Aleks, której czujność znów maksymalnie się wyostrzyła. Dziewczyna wskazała na zawieszoną nad kominkiem półkę. Już wcześniej, podczas pierwszych powierzchniowych oględzin salonu, zwróciła na nią uwagę.

– Wiesz coś na ich temat? – spytał Antoni, sygnalizując Piotrowi, kierującemu się w stronę laleczek, że ma się wycofać. Wykorzystując zabrane z kuchni krzesło, Antoni ściągnął z półki cztery laleczki, wszystkie, jakie się tam znajdowały.

– Niewiele. – Aleks wzruszyła ramionami, szukając w pamięci jakichś szczegółów. – Przewijały się od czasu do czasu w japońskich mangach. Nie wiem, na ile to wymysł, a na ile prawda, ale wiem, że to laleczki kolekcjonerskie, które mają zjednywać przychyłność bogów. Ale z tego, co pamiętam, w przeszłości były symbolem tragicznych rodzinnych historii i dramatów.

Ojciec położył laleczki na stole i potrząsnął nimi. We wnętrzu każdej coś zagrzechotało.

– Jakich dramatów?

– To miało chyba związek z dziećmi – kontynuowała Aleks. – A konkretnie ze śmiercią dziecka. Przez wielu Japończyków *kokeshi* uznawane były za symbol śmierci nienarodzonych dzieci lub tych zabijanych tuż po narodzinach. I chyba nawet z tym związana jest ich nazwa. *Ko* oznacza dziecko, a *keshi* usuwanie lub gaszenie. Pograżeni w żałobie rodzice, żeby upamiętnić śmierć dziecka, przygotowywali takie drewniane laleczki.

Lila pochyliła się nad stołem.

– Tutaj, między głową a tułowiem, widoczne jest łączenie – wtrąciła, wskazując ledwie zauważalną linię biegnącą wokół szyi jednej z laleczek.

Antoni, trzymając laleczkę za korpus, przekręcił jej głowę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Kiedy wykonał jeden pełny obrót, głowa została w jego zaciśniętej dłoni. Po przechyleniu korpusu ze środka wypadły dwa prostokątne drewnienka o długości nie większej niż kilkanaście centymetrów. Mężczyzna wziął je w dłonie i obrócił w obie strony. Różniły się od siebie tylko intensywnością barwy i głębokością nacięcia. W pierwszym najciemniejszym drewnienku wszystkie trzy nacięcia były bardzo głębokie, a w drewnienku jasnym były płytsze o połowę. Antoni przesunął po nich palcem. Położył drewnienka na stole i dostał się do wnętrza pozostałych figurek. Wydobył z nich jeszcze cztery drewnienka różniące się od siebie kolorem.

– Po bokach są jakieś cyfry – zauważyła Lila, nadal pochyłona nad stołem. – Ile ich jest?

Ojciec raz jeszcze obrócił drewnienka w palcach, lokalizując wszystkie nacięcia.

– Dziewięć.

– Nam potrzebne są trzy. Tyle znaków należy wprowadzić do kolejnej kłódki – przypomniała Lila.

– Jeśli nałożysz na siebie drewnienka, utworzą coś na kształt plecionki – odpowiedział milczący dotychczas Piotr. Tym razem i on był maksymalnie skoncentrowany.

W tej chwili niedawne animozje nie miały żadnego znaczenia. Znow liczył się tylko wspólny cel, pracowali we czwórkę, blisko siebie, jednakowo przejęci i zaangażowani. Antoni obrócił drewnienka w palcach.

– Okej, ale jaki jest klucz do tej układanki?

– Spróbuj połączyć drewnienka w taki sposób, by były dopasowane.

To właśnie próbował zrobić Antoni. Precyzja zawsze była jego mocną stroną. Pewnie dlatego stał się niekwestionowanym liderem tej próby. Łączył ze sobą poszczególne elementy i jego ręka pewnie trzymała nowo powstałe konstrukcje. Drewnienka z łatwością dawały się dopasować w najróżniejszych konfiguracjach. Faktycznie było wiele logicznych rozwiązań.

– Zostało nam nieco ponad osiem minut – szepnęła Lila, kiedy liczba możliwości zamiast się zmniejszać, wciąż się powiększała. Ale Antoni dalej pracował w milczeniu. Jego akuratność pozostawała niezmienną, ale wydajność znacząco spadała.

– To się nie uda – jęknęła Aleks i podciągnęła mankiet bluzy. Na nadgarstku wciąż miała zapiętego smartwatcha. Pomarańczowy przycisk był aktywny. Tym razem to ona zamierzała go użyć.

– Jeśli konsekwencje wykorzystania odpowiedzi mają spowodować tylko to, że będziemy się na siebie bardziej wściekać, to trudno. Potrzebujemy odpowiedzi.

Lila kiwnęła głową, dając siostrze przyzwolenie na tę decyzję. Aleks nie czekała na kolejne zgody. Przesunęła palcem nad pomarańczowym prostokątem, aktywującym odpowiedź. Tym razem wiadomość była jeszcze dłuższa. Aby odczytać ją w całości, dziewczyna musiała rozwinąć tekst. Wtedy okazało się, że poza tekstem dostępne są także trzy załączniki. W pierwszej kolejności Aleks przeczytała wskazówkę.

Kumiko to starożytna japońska technika obróbki drewna, która polega na wykonywaniu wzorów z zazębiających się kawałków. Wymaga cierpliwości i precyzji. Poza rozwiązaniami architektonicznymi technika kumiko stosowana jest przy tworzeniu unikatowych mebli.

– Są jeszcze załączniki – dodała.

Aleks podeszła do skupionych wokół stołu i pokazała im trzy zdjęcia. Pierwsze przedstawiało wpisany w gęsty las piętrowy dom z kamienia i szkła, mający wiele cech wspólnych z tym, w którym byli zamknięci. Oba charakteryzowała pewna surowość wyglądu. Dwa pozostałe zdjęcia przedstawiały wnętrze domu, najprawdopodobniej łazienkę i pokój dzienny.

– Przybliż po kolei wszystkie elementy – polecił Piotr, mrużąc oczy.

Aleks posłusznie rozsunęła palcami obraz i w skupieniu, podobnie jak wszyscy, przyglądała się detalom.

– Szukajmy na nich czegoś, co nawiązuje do tej plecionki – powiedział Antoni, obracając w rękach układankę.

– Zdjęcie jest słabej jakości – wtrącił Piotr. – A detale tak małe, że nawet jeśli uda nam się znaleźć jakiś powielony wzór, to raczej nie będziemy w stanie rozpoznać ułożenia.

Mimo to Aleks nie zrezygnowała. Na zdjęciu pojawiały się kolejno stół, fotele, kredens i dwie maty do jogi rozłożone na podłodze.

– Zatrzymaj! – poprosiła Lila, kładąc dłoń na jej ręce. – Powiększ sufit – poprosiła.

Drewniany sufit w pokoju dziennym widoczny na zdjęciu był skonstruowany z dwóch elementów deskowań. Nakładały się one na siebie, tworząc plecionkę.

Lila zadarła głowę i spojrzała na sufit. Piotr natychmiast podążył za jej wzrokiem. Zamocowana w górze biała, drewniana deska stanowiła główny punkt ciężkości dla pozostałej konstrukcji, nad i pod którą przeplatały się mniejsze deski, różniące się od siebie barwą. Było ich sześć, dokładnie tyle samo, ile wydobytych z laleczki *kokeshi* drewnienek. Kolor desek odpowiadał kolorom drewnienek, które Antoni nadal tasował w dłoniach. Surowe drewno i białe drewno oraz głęboki mahoń i orzech. Cztery przeplatające się odcienie.

– Ułóż je w ten sam sposób – polecił teściowi Piotr, zauważając to podobieństwo.

Antoni nabrał już wprawy przy poprzednich manipulacjach, więc sprawnie uszeregował drewnienka według wskazanego wzoru.

– Osiem, cztery i pięć – odczytała Aleks. To był kod pojawiający się na jednej z bocznych ścianek powstałej w ten sposób kompozycji. Były to jedyne widoczne po złożeniu cyfry. – Myślicie, że to ten?

– Idź, tato – poleciła Lila.

– Ile mamy czasu? – zapytał Antoni.

Lila spojrzała na wyświetlacz.

– Sporo. Cztery minuty czternaście.

– Idę, a wy zostańcie.

Antoni podniósł się z krzesła i wyszedł z domu z zaciśniętą w dłoni miniaturową konstrukcją.



Chwilę później Piotr stanął przed oknem wychodzącym na źródliko, obserwując teścia. Żona Piotra i jej siostra stały tuż obok, z dłońmi przyciśniętymi do szyby, niecierpliwie wyczekując dalszego biegu zdarzeń.

Piotr zorientował się, że próba się powiodła, kiedy jego teść uchylił bramę i wszedł na drewniany mostek prowadzący na wysepkę. Antoni szybko się stamtąd wycofał i ruszył w drogę powrotną. Ale po zejściu z mostka niespodziewanie się zatrzymał, a swoje dalsze kroki skierował w zupełnie inną stronę. Wszedł do lasu, ciemniejszego w oparach unoszących się nad źródlikiem. Próbując przeniknąć wzrokiem mgłę, Lila przysunęła twarz do szyby, ale to nic nie pomogło. Jej ojciec zniknął między drzewami w gęstniejącej szarości.

– Co on, do cholery, wyprawia?

Kątem oka Piotr spojrzał na wyświetlacz. Trzy minuty, bo tyle mniej więcej powinno pozostać im jeszcze do dyspozycji, nagle zmniejszyły się o minutę.

– Kurwa, jak to jest możliwe?

Lila oderwała twarz od szyby i spojrzała najpierw na wyświetlacz, a potem na swojego męża. Momentalnie zorientowała się, co Piotr miał na myśli.

– Jak to minuta czterdzieści? Jeszcze przed chwilą były trzy.

– Może tym razem chodziło właśnie o to – wywnioskowała naprędce Aleks.
– Może tym razem karą jest skrócenie czasu?

– Idę po niego. A wy ani na krok się stąd nie ruszajcie – rzucił Piotr i wybiegł.



Nigdzie nie było śladu teścia, ale stamtąd, gdzie kończył się utwardzony szlak, rozlegało się rozpaczliwe zawodzenie. W chwili ekstremalnego pobudzenia zmysłów Piotrowi trudno było ocenić, czy dźwięk ten wydaje z siebie zwierzę czy człowiek.

Jego syn?

Piotr, przedzierając się przez gęstą darń, niewiele widział. Drapały go ostre gałązki, a wystające z ziemi samosiejki i nierówności terenu utrudniały pokonywanie dalszej drogi. Kiedy kilkanaście metrów dalej udało mu się wreszcie przedostać przez zarośla, na skraju działki zobaczył skulonego człowieka pochylonego nad zwojami kolczastego drutu. Gęste opary sprawiły, że z początku go nie rozpoznał, równie dobrze mógł być zastawiającym kolejną pułapkę porywaczem. W tamtej krótkiej chwili Piotr na moment zapomniał o upływającym czasie. Na razie nie chciał zdradzać swojej obecności i interpretował bieg zdarzeń, polegając tylko na słuchu. Dźwięki szybko się zmieniały, głównie ich natężenie. Najpierw słyszał nerwowy, przyspieszony oddech i to samo co poprzednio zawodzenie, które wreszcie ustało wraz z chrzęstem łamanej kości. A potem zaległa cisza.

Dopiero po chwili Piotr rozpoznał swojego teścia. I zrozumiał, że już nigdy nie wymaże spod powiek obrazu, który miał właśnie przed oczami.



I tym razem, kiedy Antoni ustawiał kod na kłódce, ręka mu nawet nie zdrząła. W końcu przeprowadzał dziesiątki operacji ratujących życie. Gdyby nie potrafił zachować zimnej krwi, już dawno musiałby zrezygnować. A stały rytm, jaki wytyczała jego praca, i przeważająca nad porażkami liczba szczęśliwych zakończeń były najlepszą motywacją do działania.

Najbardziej lubił swoich pacjentów za to, że nigdy o nic nie mieli do niego pretensji. W ich oczach widział tylko ufność i pokorę. A ponadto wdzięczność.

Ludziom zawsze coś nie pasowało. Biadolili, że za drogo, że źle, że do kurwy nędzy. Wiecznie na coś utyskiwali. Antoniemu czasami wydawało się, że interesował ich wyłącznie szmal. Że ich świat tylko wokół tego się kręcił i do tego jednego ograniczał. W tym także zwierzęta miały nad ludźmi przewagę. Im wystarczał człowiek, ciepła miska i spacer.

Wyczulony na każdy dźwięk Antoni usłyszał ten dobiegający z zarośli. Z równym prawdopodobieństwem mogło go wydawać konające zwierzę albo ciężko ranne dziecko. Jego wnuk. Cokolwiek naprawdę działo się przy zasiekach, mogła to także być pułapka. Ale Antoni nie zamierzał polegać tylko na domysłach, tym bardziej że miał jeszcze spory zapas czasu.

Przedarcie się przez kłujące chaszczce nastroczyło mu nieco trudności, ale wreszcie dotarł do celu. W zasiekach zaplątał się mały jelonek. Mógł mieć nie więcej niż trzy, cztery miesiące. Leżał i obficie krwawił. Był konający. Pysk miał tuż przy jego stopach. Jakimś cudem prawie udało mu się przedostać na drugą stronę ogrodzenia. Prawdopodobnie był spragniony i źródłisko obrał sobie za cel.

Antoni przykucnął przy jelonku, który ciężko dyszał i resztką sił starał się wyrwać z kolczastej pułapki, ale w ten sposób kaleczył się tylko coraz bardziej. Antoni odwrócił wzrok i spojrzał w jego ogromne oczy, pełne bólu i błagania. Czasem jego profesjonalizm przegrywał ze zwykłym ludzkim smutkiem. Chwycił za pysk zwierzęcia i trzymając go oburącz, zacisnął palce na żuchwie i przekręcił ją w lewo. Powietrze przeciął chrzęst. A potem zaległa cisza. Przez chwilę była tylko ona.

– Czas – odezwał się ochrypliły głos, którego Antoni początkowo nie rozpoznał. – Nie mamy już czasu.

Kiedy się odwrócił, za jego plecami stał Piotr, blady i nieruchomy. Przypominał małego chłopca, który zobaczył coś, czego nie powinien ujrzeć.

W drodze powrotnej zięć poinformował go o odebraniu im minuty. Antoni nie wiedział, czy to właśnie ta świadomość ciężącej nad nim jeszcze większej presji czy tylko gorsza forma spowodowały, że podejście na wzgórze okazało się znacznie bardziej wymagające niż poprzednio. Kilukrotnie zabrakło mu tchu, a to z kolei wymuszało na nim częstsze postoje, by mógł zaczerpnąć więcej powietrza. Kiedy dotarł na miejsce i przekroczył próg domu, od razu zorientował się, że w tamtej chwili nie mają już nic.

Ani czasu. Ani wyjaśnienia. Ani nadziei.

Przez wąską gardziel przedsiionka łączącego kuchnię z salonem Antoni dostrzegł fragment wyświetlacza. Ekran nadal działał, ale niebieski stoper nie odliczał już czasu, został wyzerowany. Nad klęczącą starszą córką pochylała się Aleks. Nie mogła jej uspokoić.

A więc przegrali. I znów on ponosił za to całą winę.

Tak jak wtedy.

Tamtej lutowej nocy.

Rozdział 12

wtedy / luty 2019

Mieli wrócić do domu po północy, ale wszystko potoczyło się inaczej. Po imprezie urodzinowej Magdy wzięli udział w innej. Rozpoczęła się kilka minut po północy w sąsiadującym z Neonem klubie. I to tam przeniosła się większość gości świętujących wcześniej urodziny Magdy. Przez kilka godzin goście bawili się tam na parkiecie i przy kolejnych lampkach wina. Tylko Lila nie piła. Z upływem godzin miała coraz mniejszą ochotę i coraz mniej sił na zabawę. Ku jej zdziwieniu Aleks też chciała wracać do domu. Jednak za namową reszty i ze względu na braki w składach drużyn, na które obecnie się podzielili, siostry i Piotr zostali do samego końca, czyli do szóstej nad ranem.

Okazało się, że czas oczekiwania na ubera wynosi ponad czterdzieści pięć minut. Nie mieli jednak innego wyjścia. Po opuszczeniu klubu Lila usiadła w betonowej wnęce pod witryną, czując, że jej wycieńczony organizm coraz gwałtowniej dopomina się snu. Piotr ukucnął przed drżącą z zimna narzeczoną, ściągnął swoją kurtkę i włożył jej na ramiona.

– Zapnij się – powiedział i musnął usta Lilki, pozostawiając na nich wyraźną woń alkoholu. – Za rogiem jest postój taksówek. Sprawdzę, czy któraś jest wolna. Zaraz wracam – dodał i szybko się oddalił.

Aleks wykorzystała to, że są same, usiadła obok siostry i skubała mankiet swojej kurtki. Robiła to zawsze, kiedy starannie ważyła słowa albo bała się coś powiedzieć. Co jakiś czas nerwowo się rozglądała. Ulica była jednak pusta. Pozostali albo złapali już taksówki, albo po prostu się rozeszli.

– Chcesz ją na chwilę? Rozgrzejesz się – zaproponowała Lila, zsuwając z ramion kurtkę Piotra.

Aleks potrząsnęła głową.

– Pomyślałam, że może wcale nie będzie tak źle.

– O czym mówisz?

– O dziecku.

– Nie teraz, Aleks. – W głosie Lili czaiło się rozdrażnienie.

– Wcale nie musisz tego robić – nie ustępowała Aleks. – Wiem, że niełatwo to będzie odkręcić, a ja na początku będę pewnie marną ciocią. Ale... No wiesz, książeczki, spacerki, takie tam... Mogę się tego nauczyć... Razem zawsze jest łatwiej...

Słowa Aleks były nieporadne, przedzielone długimi pauzami. Myśli tłumił nietypowy dla niej wstyd, a przede wszystkim nieumiejętność wyrażania emocji. Do pewnego momentu w ich domu nigdy nie mówiło się o nich otwarcie.

– Powinniśmy częściej ze sobą gadać. Tak po prostu. Szczerze. Ja też nie powiedziałam ci wszystkiego...

Lila oderwała wzrok od płyt chodnikowych.

– Co to znaczy? – spytała i podniosła wzrok na siostrę.

Aleks miała na końcu języka tamtą wypowiedzianą niedawno groźbę, ale także zatajoną prawdę o nietkniętym woreczku z piksami ukrytym w szkatułce zakopanej w ogrodzie. To jedyna skrytka, której Lila jeszcze nie odkryła. Nie przyznała się ani do tego, że wie, czego chce Oliński, ani do tego, że teraz autentycznie się go bała.

– Pogadamy o wszystkim jutro, okej? – bąknęła tylko, widząc wyłaniającą się zza rogu sylwetkę Piotra.

Lila chciała drążyć temat, ale pojawienie się Piotra skierowało rozmowę na zupełnie inne tory.

– Nic z tego. Pusto, cholera. – Podszedł do nich i potarł obie dłonie. – Chcesz go tutaj zostawić? – zwrócił się do Aleks i wskazał na stojak.

Dopiero wtedy Lila zauważyła, że rower siostry był przywiązany do niego kolorowym sznurkiem.

– Nie mogłam znaleźć zapięcia. – Aleks wzruszyła ramionami. – Uznałam, że lepsze to niż nic.

– Zabierzemy go ze sobą – zdecydowała Lila.



Kolejnych czterdzieści minut wlokło się w nieskończoność, tym bardziej że wiatr się wzmógł, a odczuwalna temperatura znacząco spadła. Ukryli się w bramie kamienicy, w końcu aplikacja Ubera poinformowała Lilkę o nadjeżdżającym pod klub aucie. Piotr odwiązał rower i podprowadził go pod granatową toyotę camry. Młody kierowca o śniadej karnacji i pociągłej twarzy opuścił do połowy szybę.

– To nie jedzie – zawołał z obco brzmiącym akcentem, usiłując przekrzyczeć głośną muzykę z radia.

– Spróbujmy chociaż. – Piotr wskazał bagażnik. – Nie możemy go tu zostawić. Jak złożymy jedno siedzenie, to na pewno...

– Nie jedzie, powiedziałem. – Kierowca cmoknął z niezadowoleniem. – Nie będzie mi brudzić.

Aleks chwyciła siostrę za ramię.

– Mogę wrócić sama. Będę najwyżej pół godziny po was – stwierdziła z udawanym entuzjazmem. Miała nadzieję, że siostra jednak jej na to nie pozwoli.

– Nie ma takiej opcji! – Ku jej uldze odparła Lila. – Piłaś. Nie! Po prostu nie!

– Na pewno się dogadamy – odezwał się Piotr, wyczuwając zniecierpliwienie kierowcy. Z portfela wyciągnął dwudziestozłotowy banknot i próbował mu go wcisnąć, ale tamten odsunął jego rękę.

– To nie jedzie – powtórzył i zwolnił hamulec.

Samochód powoli ruszył z miejsca, ale Piotr wepchnął mu się przed maskę.

– Okej, moment, do cholery! Zapakujemy go tylko do swojego samochodu i pojedziemy. Poczekaj! – krzyknął. – Dziewczyny, pomożecie mi złożyć tylne siedzenie? Zapakujemy go do bagażnika i jutro po niego przyjadę.

Upewniając się, że kierowca toyoty camry faktycznie na nich czeka, całą trójką oddalili się w stronę zaparkowanego na chodniku samochodu Piotra. W pewnym momencie po kolejnych nieudanych próbach opuszczenia fotela Aleks kątem oka zerknęła w lusterko.

– A to kutas! Pierdolony kutas! Odjeżdża! – wykrzyknęła i wyskoczyła z samochodu.

We trójkę powiedli wzrokiem za ruszającą z miejsca toyotą. Na tylnym siedzeniu była para, która bawiła się z nimi w klubie. Lila spojrzała

z niedowierzaniem na wyświetlacz telefonu.

– Anulował nasz kurs!

Zanim zdążyli ją powstrzymać, toyota gwałtownie przyspieszyła i zniknęła za zakrętem.

– Co teraz robimy? Nie zmieszczę roweru, jeśli nie złożymy siedzenia – powiedział zrezygnowany Piotr, patrząc na koło roweru wystające z bagażnika.

– A wygląda na to, że coś się faktycznie spieszyło w mechanizmie.

Aleks odebrała telefon od siostry i zmieniła parametry w ustawieniach aplikacji.

– Następny uber jest dopiero za pół godziny.

– Nie piłaś. Na dobrą sprawę mogłabyś prowadzić.

Piotr podał Lilce kluczyki. Ale Lila zrobiła krok do tyłu.

– Nie mogę. Nie wzięłam ze sobą prawa jazdy.

– A jaka jest szansa, że gliny akurat teraz nas złapią? Na tym odcinku nigdy ich nie ma, a tym bardziej o tej porze. Jest za kwadrans siódma. Przewieziemy też od razu rower i będzie święty spokój. Pojedziemy powoli.

Lila była skonana. Właściwie myślała tylko o tym, żeby się przespać. Poza autentycznym fizycznym zmęczeniem znowu zaczęła odczuwać mdłości. Nie chciała sterczeć na tym zimnie tak samo, jak nie chciała zostawić tutaj swojej siostry, za którą wciąż czuła się odpowiedzialna. Marzyła, żeby być w domu, przykryta ciepłą kołdrą. Wbrew temu, co czuła, wzięła kluczyki i bez większego przekonania otworzyła drzwi od strony kierowcy.

Aleks ostatnia zajęła swoje miejsce. Jej kark owiewały chłodne poddmuchy wiatru. Kłapa bagażnika musiała zostać otwarta, a jej przypadło w udziale asekurowanie ramy roweru, który został przywiązany do siedzenia metalową linką. W głowie wciąż szumiało jej wino. Dziewczyna wyjrzała przez otwartą kłapę i choć rower nieco zasłaniał jej widoczność, wydawało jej się, że czyjaś ciężka sylwetka pojawiła się i zniknęła za pobliskim budynkiem. Kojarzyła jej się teraz tylko z jednym człowiekiem. Z Olińskim.

– Aleks, wszystko w porządku?

Kiedy odwróciła głowę, złapała spojrzenie siostry we wstecznym lusterku.

– Jasne – skłamała. – Jedźmy już.



W pierwszej chwili, wraz z przekręceniem kluczyka w stacyjce, Lilka poczuła się znów rześko. Nastający świt na pewno miał w tym swój udział. Ciemność ją męczyła, a powoli budzący się dzień znacznie ułatwiał prowadzenie samochodu.

Lilka wyjechała z miejsca parkingowego i ostrożnie ruszyła przez opustoszałe centrum miasta. Stale uważała, żeby nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Przyspieszyła dopiero wtedy, gdy opuścili teren zabudowany. Trochę się wówczas rozluźniła.

Trasa prowadząca do domu przebiegała prawie w całości przez las. Przyzwyczajona utrzymała pozwalającą rozpędzić się do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Lila jechała ostrożnie.

– Znajdziesz coś mniej smętnego? – poprosiła Piotra, wskazując brodą radio.

Z głośników popłynął za chwilę utwór Freddiego Mercury'ego.

– Queen. Idealnie. – Lila skinęła z aprobatą głową, wrzuciła czwórkę i wcisnęła pedał gazu. Wskazówka prędkościomierza zatrzymała się na siedemdziesiątce.

Droga była prawie pusta. Na odcinku kilku kilometrów minął ich przewożący pracowników bus i jakieś auto. Wkrótce we wstecznym lusterku raz po raz zaczęła się odbijać łuna jasnego światła. Jakiś samochód, który jechał daleko za nimi, nagle niebezpiecznie się zbliżył.

– Czy on jedzie na długich światłach? I o co mu chodzi? – Lila spojrzała we wsteczne lusterko.

– Zignoruj go – poradził Piotr. – Jak mu za wolno, to niech nas wyprzedza. Niecierpliwego dupka.

Aleks odwróciła głowę, ale długie światła uniemożliwiały jej odczytanie tablic rejestracyjnych czy choćby rozpoznanie marki pojazdu, który siedział im teraz na zderzaku. Ale ona miała swoje przecucia. Złe przecucia.

Samochód w pewnym momencie przestał utrzymywać stałą prędkość – na przemian przyspieszał, hamował i raził pulsującymi długimi światłami. Gdyby Lila zwolniła albo gdyby wykonała jakiś gwałtowny ruch, mogliby się z nim zderzyć.

– Piotr, co mam robić? – Puls w jej skroniach zaczął galopować. Zacisnęła mocniej dłonie na kierownicy.

– Aleks, sprawdź, czy od głównej odchodzi jakaś boczna droga – polecił. Niepokój maskował rzeczowym tonem. – Jeśli tak, to w ten sposób się od niego uwolnimy.

Aleks odblokowała ekran, ale palce miała zbyt wilgotne, żeby wypełnić polecenie. Wiatr huczał głośno w kabinie. Od kilku chwil Lila nieprzerwanie dociskała pedał gazu, wskazówka prędkościomierza przekroczyła setkę.

– A co jeśli on na nas poluje? Właśnie na nas? – spytała Aleks, kurczowo trzymając rower, który wyslizgiwał się jej z ręki. Przez myśl przemknęło jej wtedy, że gdyby go puściła, a potem odpięła linkę mocującą, rower stoczyłby się wprost na przednią szybę jadącego za nimi samochodu. W tej chwili takie rozwiązanie wydawało jej się kuszące.

– Dlaczego miałby to robić?

We wstecznym lusterku Aleks zobaczyła przestraszone oczy siostry.

– Aleks? Wiesz, kto to jest?! Mów!

Ale Aleks nie zdążyła się odezwać. Samochód tamtego zjechał na przeciwległy pas i zrównał się z ich audi. Mknął jak strzała, mógł w każdej chwili ich wyprzedzić.

Za kierownicą siedział krępy facet. Nie patrzył na drogę, tylko wlepił wzrok w Aleks. Jego usta poruszały się bezgłośnie za zamkniętą szybą. Były mięsiste, nieproporcjonalne do reszty twarzy i wąskich jak szczeliny oczu. Przypominały węże wijące się wokół szerokiej otwartej jamy, z której wciąż wypadały jakieś zuchwałe albo nienawistne słowa. Aleks odczytała to z wyrazu jego twarzy. Taki właśnie był. Nienawistny.

To był Oliński, diler, u którego przez kilka miesięcy Aleks się zaopatrywała.

– Boże, on chce nas zepchnąć – jęknęła Lila, kiedy samochód Olińskiego najpierw przysunął się do krawędzi białych linii oddzielających, a potem gwałtownie je przekroczył.

By uniknąć zderzenia, Lila skrzyła kierownicą i częściowo zjechała na nieutwardzone podłoże. W powietrze wzbiły się tumany pyłu, a koła podskoczyły na wybojach. Samochód zwolnił, a wskazówka prędkościomierza zatrzymała się na osiemdziesiątce.

– Przyspiesz! – Piotr położył rękę na dłoni Lilki kurczowo zaciśniętej na kierownicy. – Gaz do dechy.

Lila wróciła na właściwy pas ruchu i w ciągu kilkunastu sekund rozpędziła samochód do stu dwudziestu. Potem audi zaczęło stawiać opór.

– Nasz wóz nie wyciągnie tyle co jego fura – jęknęła Aleks, widząc, że samochód Olińskiego kolejny raz niebezpiecznie się do nich przybliży. Tym razem dzieliło ich od niego najwyżej kilkanaście centymetrów. Aleks zorientowała się, że Oliński jest zupełnie nieobliczalny.

– Trzymaj mocno kierownicę i dodawaj gaz. – Ręka Piotra zsunęła się z dłoni Lilki i zacisnęła na kierownicy. Kątem oka spojrział na twarz tamtego. Dostrzegł to samo, co przed chwilą Aleks. – Lila, gaz! – ponaglił narzeczoną.

I choć starał się to ukryć, w jego głosie była panika.

Lila wypełniła polecenie, lecz bez oczekiwanego efektu. Jej noga nieprzerwanie dociskała pedał gazu, ale prędkościomierz od jakiegoś czasu ani drgnął.

Tamten przybliżył się do nich jeszcze bardziej. Aleks była pewna, że ich karoserie już się ocierają. Ale nie słyszała zgrzytu gniecionej blachy. Lila, próbując uniknąć zderzenia, kolejny raz odbiła w prawo, ale tym razem nie udało jej się w porę wyprowadzić samochodu na właściwy tor. Rozpędzone audi wjechało w jakieś grzęzawisko, a potem z impetem się z niego wydostało. Lila instynktownie wcisnęła hamulec, ale samochód tańczył na drodze, zupełnie nieposłuszny, a następnie z niej zjechał, nie reagując na żadne manewry mające utrzymać go pod kontrolą.

Nagle wszystko inne też roztańczyło się wokół. Utwardzona droga zmieniała się w czarne trzewia lasu oświetlane przez drgające na wybojach reflektory.

Góra – dół. Dół – góra.

Wszystko drżało. Na zewnątrz i w środku. Na wysokości klatki piersiowej Lila poczuła palący ból zaciskającego się na niej pasa bezpieczeństwa. A potem przysza cisza. Do wnętrza audi wpadały tylko oddechy lasu.

Wdech – wydech.

Lila wciąż jeszcze oddychała. Spróbowała ponownie.

Wdech – wydech. Wyrównała tętno. Nadal tu była, przytomna i cała, choć zupełnie dezorientowana. Klatka piersiowa paliła ją żywym ogniem.

Lila odkleiła od kierownicy wilgotne ręce i spojrzała na nie, jakby były zupełnie obcym i niepasującym elementem. Nie potrafiła opanować ich drżenia.

Przez uchylone okno do wnętrza kabiny wciskała się iglasta gałąź. Wszędzie czuła intensywnie żywiczny zapach. Organiczny i ostry. Pobudzający.

Od pnia drzewa maskę ich samochodu dzieliło kilka centymetrów. Lila zatrzymała się od niego właściwie o włos. Kiedy oprzytomniała na tyle, by zdać sobie sprawę, co właśnie się stało, spojrzała na Piotra i Aleks. Byli przytomni, bez śladów obrażeń, ale równie co ona przestraszeni. Tamtego i jego sportowego wozu nigdzie nie było. Droga była pusta.

– Jesteście cali? – odezwała się Lila pierwsza. Oblizwała spierzchnięte wargi. Okropnie chciało jej się pić.

Aleks odwróciła głowę i spojrzała na ślady opon wyryte w grząskiej ziemi.

– Cali – powiedziała i, wciąż jeszcze oszołomiona, przeniosła wzrok na sosnę wyrastającą przed maską audi.

Piotr odpiął pas, wysiadł z samochodu i obszedł go w milczeniu. Na karoserii nie znalazł żadnych śladów wgnieceń ani nawet najmniejszych zadrapań. A przynajmniej tak mu się wydawało na pierwszy rzut oka. Potem podszedł do Lilki, która wciąż jeszcze była roztrzęsiona.

– Wszystko w porządku? – Wsunął dłoń przez uchylone okno i położył ją Lilce na ramieniu.

Lila milczała, tępo patrząc przed siebie. W myślach odtwarzała przebieg ostatnich minut.

– Wszystko w porządku? – spytał ponownie. – Dasz radę prowadzić?

Tego Lila jeszcze nie wiedziała. Ręce wciąż jej drżały. Najpierw musiała się uspokoić.

– Daj mi jeszcze chwilę, okej? Kim był ten psychol? – Oprzytomniała i odwróciła gwałtownie głowę. Spojrzała na siostrę, domagając się od niej odpowiedzi. – I daruj sobie wykrety, Aleks. Nie czas na to – dodała stanowczo. – Kim on był?! I czy może tu wrócić?!

Aleks nie chciała niczego ukrywać. Już nie. Powiedziała więc Lilce wszystko, co siostra powinna wiedzieć. Sama jednak nie potrafiła ocenić, do czego rzeczywiście jest zdolny Oliński.

W tamtym momencie Lila, Aleks i Piotr nie mieli jeszcze pojęcia, że to, co przeżyli, wcale nie było tym najgorszym, co miało ich spotkać tego poranka. Najgorsze miało właśnie nadejść.

Nadeszło dwa kwadransy później...

Rozdział 13

Siła, którą Lila wkładała w ciosy, słabła z każdą kolejną próbą wyładowania furii i frustracji na ojcu. Trzymając się jego bluzy, po kilku uderzeniach na oślep, zupełnie opadła z sił i osunęła się na kolana. Antoni podniósł córkę i zaprowadził ją na sofę.

– To, że zegary zniknęły, wcale nic nie musi znaczyć. – Aleks próbowała pocieszyć siostrę i jednocześnie przekonać do tej teorii samą siebie.

– Dokąd idziesz? – rzuciła za oddalającym się Piotrem.

W ciągu tych kilku chwil Aleks zdążyła i w nim zauważyć zmianę. Jeśli wcześniej starał się jakoś trzymać swój gniew w ryzach, teraz wszystkie hamulce puściły.

– Pierdolę to. Jebane zasady – burknął. – Idę tam. – Spojrzał przed siebie, na rozpościerający się przed nim las. Wytyczona pośrodku ścieżka prowadziła nad źródłisko.

– Dokąd? – zawołała za nim Aleks.

– Na drugą stronę jebanego mostka.

– Nie dostaniesz się do środka ani na tamtą wysepkę – odezwał się Antoni, wciąż podtrzymując starszą córkę.

Piotr zatrzymał się tuż przed otwartymi na oścież drzwiami, ale się nie odwrócił.

– Niby dlaczego? Co to znaczy, że się nie dostanę? Otworzyłeś drugą i ostatnią kłódkę. Droga jest wolna.

– Jest jeszcze kolejna kłódka zapięta na bramie po drugiej stronie mostka – odpowiedział mu Antoni.

– Nieważne. – Piotr potrząsnął głową. Nadal stał w tym samym miejscu. – I tak jej nie otworzymy. Przepłynę na drugi brzeg.

– Poczekaj.

– Na co? – Dopiero teraz Piotr się odwrócił. Ostatnie zdarzenie wyzwoliło w nim coś zwierzęcego, co wywołało zauważalne gołym okiem zmiany na jego twarzy. – Zmarnowaliśmy kilka godzin na grę według idiotycznych zasad. –

Sposepniał jeszcze bardziej. – Może o to właśnie mu chodziło? Ten popapraniec uwikłał nas w łamigłówki, by zyskać na czasie. Mógł zabrać Adasia i wywieźć go nie wiadomo dokąd i są teraz setki kilometrów stąd.

– Ale nie są. – Głos Lilki był słaby, ale w oczach pojawiła się iskra. – Ktoś nas obserwuje. Wiedział przecież, że nie wypełniliśmy zadania na czas. Może nie zdążył jeszcze skrzywdzić Adasia.

W salonie rozległ się nagle męski głos. Nie należał do Piotra ani Antoniego. Był bardziej spięty niż poprzednio, bardziej formalny, dostosowany do innych okoliczności, ale nadal pozostawał charyzmatyczny. Aksamitny. Przyjemny w odbiorze. Wydobywał się ze ścian, z zamontowanych tam głośników.

Uspokajał mnie zawsze widok ognia palącego się w solidnej ścianie.

Z ust mężczyzny padło pierwsze zdanie. Zielona dioda na projektorze zamigłała kilkukrotnie, a w ślad za fonią pojawił się obraz. Widać było sylwetkę tego samego mężczyzny, który pojawił się już dwukrotnie wcześniej. Tym razem stał na podwyższeniu, na dużej scenie, oświetlony jasnymi światłami. Na olbrzymim ekranie, który wisiał za jego plecami, kolejno zmieniały się slajdy przedstawiające plany zagospodarowania przestrzennego jakiegoś miejskiego obszaru. Zielonej dzielnicy Poznania. Tym razem twarz mężczyzny nie była zamazana. Miał delikatne, łagodne rysy i zaczesane do tyłu gęste, czarne włosy poprzetykane pojedynczymi nitkami siwizny. W jego urodzie było coś androgenicznego.

Jeśli kompozycja budynku bazuje na dysharmonii, na zaburzonych rytmach i strukturalnych pęknięciach, wtedy dany obiekt ulega wyobcowaniu. Ulatnia się ciekawość. A przecież architektura ma swój własny obszar istnienia. Architektura i życie są ze sobą zespolone i pozostają w intymnym związku.

Nagranie ponownie się odtworzyło od samego początku.

Uspokajał mnie zawsze widok ognia palącego się w solidnej ścianie.

Głos mężczyzny znowu zabrzmiał w salonie. A potem nagle się urwał. Sytuacja powtórzyła się kolejny raz i odtąd powielala bez przerwy. Z ust architekta w zapętleniu padało po krótkiej przerwie ciągle to samo zdanie.

Aleks szukała odpowiedzi w twarzy siostry, a potem ojca.

– Popsuł się czy o co chodzi? – spytała.

– Wątpię – odezwał się Piotr, patrząc ze zgrozą na wbudowany w kamienną ścianę kominek. Był umieszczony tuż za przeszklonym atrium, w osi domu, dzięki czemu stanowił jego naturalne centrum. Okalający kominek kamień różnił się od tego, z którego wzniesiono ściany. Miał odcień jasnego beżu, a na jego tle pojawiały się brązowe przerosty. Bryła kominka była prosta, z ledwie zarysowanymi na nim liniami i załamaniem.

Uspokajał mnie zawsze widok ognia palącego się w solidnej ścianie. – Głos architekta powtarzał zdanie jak mantrę.

Piotr podszedł do kominka z uruchomioną w telefonie latarką i otworzył jego drzwiczki. Prawie nie oddychał. Wziął w dłoń umieszczone w środku szczapki drewna i pojedynczo wydobywał je na zewnątrz. Poza nimi nie było tam niczego więcej. Ostrożnie włożył więc głowę do środka kominka i oświetlił sobie latarką przewód kominowy. Ale i tam nie było nic. Tylko sadza i pustka.

– Czujecie to? Ten zapach? – Lila podniosła się z sofy i przeszła przez salon w poszukiwaniu źródła swądu. Nasilał się z jej każdym kolejnym wdechem.

Aleks kiwnęła głową.

– Dym. Palone drewno.

Dość szybko zlokalizowali jego źródło. Woń wpadała do domu przez otwarte drzwi. Poza zapachem palonego drewna wyczuwalny był zupełnie inny słodki aromat. Przypominał zapach cukrowej waty. Był bogaty i lepki. Aleks przeszła przez przedsionek do kuchni, skąd rozpościerał się widok na las, na stare wiązy i drewnianą chatę. Na jej dachu zamontowana była wieżyczka. Przez otwory wentylacyjne ulatywała para. Nasilające się podmuchy wiatru rozprowadzały ją w różnych kierunkach.

– Byłeś tam, tato. Co jest w środku? – zapytała Aleks ojca.

– W tej chatce są sprzęty do odparowywania soku klonowego. Były tam także jakieś szpargały. Nie miałem czasu, by wszystko dokładnie obejrzeć.

Wybiegli z domu i skierowali się prosto do chatki. Nie zadawali więcej pytań, nie snuli domysłów. Drzwi drewnianego domku, które wcześniej uchylił Antoni, nadal były otwarte. Stare zawiasy zazgrzytały, gdy pchnął drzwi z impetem.

Uchodzący przez otwory wentylacyjne słup pary niemal całkowicie ograniczał widoczność. Im wyżej jednak para się unosiła, tym bardziej się rozrzedzała. Ale na poziomie wzroku nadal była gęsta, niemal

nieprzepuszczalna. Kolorem, zapachem, a także konsystencją przypominała obłoczek cukrowej waty.

Dopiero gdy Antoni pokonał po omacku kilka metrów, zauważył, że pod ogromnym, żeliwnym garnkiem o pojemności może nawet kilkuset litrów pojawiły się jęzory ognia. Gar wciąż musiał być wypełniony jakąś cieczą, bo słyhać było ciche bulgotanie. Usiłowali zajrzeć do środka, ale kłęby pary to uniemożliwiały.

– Na zewnątrz jest kran i mnóstwo wiader. Nalejmy wody, by tę ciecz ostudzić – zaproponował Piotr, wciąż próbując stwierdzić, czy w naczyniu oprócz soku klonowego znajduje się coś jeszcze. Ale dna nie było widać.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Aleks.

Chwilę później wrócili z wiadrami wypełnionymi wodą, Lila i ojciec wciąż stali przy kotle. Na ich twarzach malował się niepokój.

– Odsuńcie się – nakazał Piotr i przechylił wiadro. Aleks zrobiła to samo. Część wody wylała na palenisko, od razu gasząc ogień. Para uniosła się z głośnym sykiem, a potem zaczęła momentalnie opadać i blednąć. Rozrzedzona i gwałtownie schłodzona ciecz powoli zmieniała konsystencję i kolor. Z brunatnego przeszła w słomkowy odcień żółci. Wtedy okazało się, że na dnie kotła są przedmioty różnej wielkości i kształtów, wszystkie białe albo żółtawe. Trudno to było ocenić, bo sok wciąż jeszcze je podbarwiał.

– Co to jest? – zapytała Lila.

Zmącona ciecz nadal uniemożliwiała zidentyfikowanie przedmiotów.

– Nie widzę. Postaram się to czymś wydobyć – powiedział Piotr i rozejrzał się w poszukiwaniu jakichś narzędzi. Ale tylko błądził prawie po omacku w kłębach pary.

– Poczekaj, spróbuję zrobić zdjęcie i je przybliżymy. To jest chyba lepszy pomysł. – Aleks wyciągnęła telefon i odczekała chwilę. Piotr, z pomocą teścia, nadal przetrząsał wnętrze chatki.

Tymczasem zmącony płyn powoli się uspokajał. Tafla stała się gładka i nieruchoma, jak leżące na dnie przedmioty.

– Rób, Aleks – ponagliła Lila siostrę.

Aleks w milczeniu robiła kilka zdjęć. Ich jakość pozostawiała wiele do życzenia, ale były na tyle wyraźne, by z całą pewnością stwierdzić, że na dnie kotła leżą kości. Rozczłonkowany szkielet.

Czaszka była niekompletna. Brakująca żuchwa leżała oderwana kilkanaście centymetrów dalej, na przypalonym dnie garnka. Lila rozpoznała też fragment kręgosłupa i kilka biegnących równolegle zespolonych ze sobą kości, przypuszczalnie żeber. Dwie krótsze kości, wyglądające na piszczele, były ułożone obok siebie.

A potem Lila nie widziała już nic więcej poza wirującym jej przed oczami drewnianym regałem, o który musiała się podeprzeć.



Antoni obracał w palcach wydobyty z garnka fragment kości, w którym widoczna była dziura po postrzale.

– Zginęła od kuli – ocenił bez wahania. – Najprawdopodobniej był to postrzał komorowy. Wydaje mi się, że strzelec celował w serce, a pocisk najpierw przeszył żebra. Myślę, że sarna padła na miejscu.

Pochylając się nad stołem Piotr wziął najmniejszą z rozłożonych na nim kości. Położył ją na otwartej dłoni.

– Jesteś pewien?

Antoni odłożył ostrożnie kość na blat i wziął w rękę fragment żuchwy. Przesunął palcem po zatopionych w niej zębach. Były gładkie, a szczeliny nadal wypełniała lepka ciecz.

– Więcej niż pewien. Zwierzę było młode. Sarna miała nie więcej niż czternaście miesięcy, bo nie wymieniła dwóch ostatnich mlecznych siekaczy na stałe. A u saren taka wymiana następuje przed ukończeniem czternastego miesiąca życia. Zresztą poza stanem uzębienia wiek sarny łatwo rozpoznać po stanie szwów czołowych oraz stopniu skostnienia przegrody nosowej. –

Odłożył żuchwę na stół i przesunął palcem po czaszce zwierzęcia. – U młodych sztuk szew czołowy jest wyraźny, luźny i wypukły, czyli dokładnie taki jak ten.

– Ale czym ma być dla nas to martwe zwierzę? Groźbą czy jakąś kolejną psychologiczną wskazówką? – spytała siedząca na taborecie Aleks.

Od ojca i Piotra dzieliło ją kilka metrów. Wzdrygnęła się, bo widok tych szczątków był odstręczający. Nie mogła na nie patrzeć ani ich dotykać.

Piotr nadal miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– To chyba wiąże się z tym miejscem. – Wskazał na wystający ze schowka kawałek metalowej konstrukcji. – Tylko jeszcze nie wiem, w jaki sposób.

Aleks otworzyła szerzej drzwi schowka. Był w nim ukryty zardzewiały, metalowy stół z podłużnymi uchwytami i ze skośnymi zwężającymi się ku dołowi rynnami.

– Co to takiego? – zapytała z obrzydzeniem Aleks.

– Stół do skórowania i patroszenia zwierzyny – odpowiedział ojciec. – Pod rynną ukryte były noże do oprawiania – dodał, odsłaniając pomarańczową rękojeść wetkniętą za pasek spodni. Drugi nóż, o krótszym, ale równie ostrym ostrzu, Piotr dobrze ukrył w kieszeni spodni.

Gotowy.

Rozdział 14

Na podłodze przy sofie leżało osiem książek, wszystkie starannie przekartkowane. Ostatnią Aleks zawzięcie przeglądała, licząc, że zdobyta w ten sposób wiedza na coś się przyda. Ale zamiast uzyskania jakichś nowych i uporządkowanych informacji miała tylko coraz większy mętlik w głowie. Stojąca przy atrium Lila przyglądała się drzewu i okalającym je płytkom przysypanym żwirem. Potem przeniosła wzrok na wybrzuszenia w korze drzewa i jamę, która ziała w jego środku. Biegła niemal przez cały pień i była szeroka przynajmniej na dwadzieścia centymetrów. Lila nie mogła zrozumieć, skąd w drzewie wciąż tliło się życie, skoro wewnątrz wyglądało na suchą, wydrążoną skorupę.

W pewnym momencie Aleks odłożyła książkę, ale zaznaczyła drewnianym patyczkiem miejsce, w którym skończyła.

– Wtedy, na urodzinach Magdy, naprawdę myślałam, że chcesz je oddać – powiedziała. Wstała z sofy i podeszła do siostry. Położyła dłoń na jej ramieniu.

Lila oderwała wzrok od drzewa. Spojrzała na Aleks.

– O czym ty mówisz?

– Myślałam, że ta ciąża to nie był przypadek. Byłam pewna, że chcesz urodzić dziecko obcej parze i zgarnąć za to niezły szmal.

– I dlatego tak wtedy kąsałaś?

Aleks skinęła głową.

– Zupełnie jak wściekła suka. Nie mogłam tego zrozumieć, bo to kłóciło mi się z obrazem osoby, którą kochałam i szanowałam.

– A skąd ci to przyszło do głowy? – W głosie Lilki nie było słyhać złości, ale raczej lekkie rozbawienie. – To, że jestem surogatką?

– Któregoś dnia byłam w twoim pokoju – wyznała Aleks ze skruchą. – Na kilka dni przed tamtą feralną imprezą. Chciałam pożyczyć twoje zakresłaczki, a ponieważ nie znalazłam ich na biurku, otworzyłam górną szufladę. Wiem, nie powinnam tam grzebać, ale zamiast zakresłaczki z szuflady wyciągnęłam czarną teczkę i ją otworzyłam. Wiesz, co tam było...

Lila kiwnęła głową.

– Tak, baza kontaktów z parami poszukującymi surogatek.

– A poza tym ogłoszenia innych surogatek – kontynuowała Aleks. – I twoje własne, które opublikowałaś w darknecie, dodając do niego nośne hasło: „Wynajmę brzuszki potrzebującej rodzinie”. Byłaś kurewsko chętna, gotowa i przekonująca. Miałaś zainkasować pięćdziesiąt patoli. Korespondowałaś potem z czterema parami. Ustalaliście szczegóły, a z jedną z nich miałaś się nawet spotkać... Uwierzyłam, tak samo, jak uwierzyli inni. Co miałam myśleć?

– Wiesz, że to nie tak... – Lila weszła siostrze w słowo.

– Wiem – zgodziła się Aleks niechętnie.

– W taki nieformalny sposób zbierałam materiały do pracy magisterskiej – wyjaśniła Lila z pewnym zażenowaniem. – Przecież wiesz, że o tym pisałam. O moralnych aspektach takiej decyzji dla obu stron. O matkach, które za grube pieniądze stają się inkubatorami, i rodzinach, które, wbrew prawu, decydują się na taki krok. I muszą liczyć się z tym, że jeśli surogatka postanowi zachować dziecko, prawo będzie po jej stronie. Bo o tym, kto jest matką, decydują nie geny, ale to, kto wydał dziecko na świat.

– Wiem, w teorii wszystko się spina – przyznała Aleks. – Ale czy ludzie, surogatki i rodzice, którzy tak desperacko chcieli mieć to dziecko, wiedzieli, że chodzi tylko o twoją pracę magisterską?

– Żartujesz? W ten sposób nie dotarłabym do żadnych wiarygodnych materiałów.

– A czy w takim razie wiedzieli, że robisz ich w konia?

Lila spojrzała na siostrę z niechęcią.

– No sorry, ale to nie było uczciwe. – Aleks wydeła usta z niesmakiem.

– Wiem – przyznała Lila ze skruchą. – Ale nigdy, przenigdy nie planowałam wejść w taki układ. Nie wzięłam żadnych pieniędzy. Złamanego grosza. Kiedy robiło się zbyt gorąco, wycofywałam się, znikam – podkreśliła.

– Myślisz, że udało ci się zniknąć? Tak naprawdę? Zatrzeć za sobą wszystkie ślady? – zastanawiała się głośno Aleks, kręcąc z powątpiewaniem głową. – Mogłaś kogoś porządnie wkurwić. Nie mówię o surogatkach, bo to zdesperowane kobiety, które po prostu chciały zarobić i raczej nie mają dostępu do miejsc takich jak to. Ale ci potencjalni rodzice?

– Co potencjalni rodzice?

– Skoro zadali sobie trud dotarcia do odmętów darknetu, to... Niektórzy mogli być zdesperowani... Bardzo zdesperowani. A już na pewno dziani. A w przypadku dzianych ludzi desperację od samosądu dzieli niewiele...

Lila zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Co sugerujesz?

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju. Mimo wpadającej przez okna łuny światła pozostawał surowy i złowieszczy.

– Nie wiem. – Aleks wzruszyła ramionami. – Tylko się zastanawiam. Myślisz, że to miejsce i to, co dzieje się z Adasiem, może mieć związek z twoją magisterką i tym, że grzebałaś zbyt głęboko?

– Nie, nie sędzę – odparła Lila, ale bez przekonania. – Też mi to przyszło do głowy. Ale tu raczej nie chodzi tylko o mnie, ale o całą naszą czwórkę.

– Wciąż myślę też o Olińskim – wtrąciła Aleks, wyglądając przez okno. Zawiesiła swój wzrok na źródliisku, na oparach unoszących się nad ciemniejszego lustra wody. – W gruncie rzeczy nie wiemy, czy już nie jest przypadkiem na wolności i czy nie zaczął się mścić...

– Gliny znalazły u niego wystarczająco dużo prochów, by posiedział tyle, ile dostał, czyli te trzy lata – stwierdziła Lila. – A poza tym kto inny dał glinom cynk. I on o tym dobrze wiedział. Twoje zeznania nie były jedynymi, które go całkiem pogrążyły.

– Dobrze wiesz, że byłby do czegoś takiego zdolny. – Mimo upływu lat Aleks wciąż pamiętała wypisaną na twarzy Olińskiego lubieżność. Wiedziała dobrze, jak bardzo podniecała go przemoc.

– Raczej cechują go agresja i wybuchowość, a nie takie wysublimowane podchody – powiedziała z przekonaniem Lila. – To zupełnie kłóci się z profilem psychologicznym tego typu. Teraz chodzi o niego. – Wzięła głęboki oddech. – Zawsze chodziło. Wszyscy odpowiadamy za to, co mu się wtedy stało.

Aleks milczała, wiedziała dobrze, o czym mówi siostra. Z tych samych powodów co Lila Aleks nigdy nie wymieniała tamtego imienia na głos. Nie robiła tego nawet w ciszy. Zawsze był „nim”, bezimiennym, jakby to miało pomóc wymazać go z jej pamięci. Ale on zawsze był w jej myślach.

Niewymazywalny.

– Tamtej nocy nie myliłaś się co do jednego – powiedziała Lila ściszym głosem, opierając się o ścianę atrium.

Aleks spojrzała na siostrę z lękiem. Nie pragnęła zanurzać się w kolejnych mrocznych sekretach Lili.

– Nie chciałam mieć Adasia – wyznała Lila z pewnym oporem. – Z początku – dodała. – Nie chciałam go urodzić. Znalazłam już nawet klinikę w Berlinie.

– Jaką klinikę? – spytała naiwnie Aleks. Czuła jednak, że odwleka tylko to, co nieuchronne.

– Zarezerwowałam tam wstępnie termin aborcji – przyznała Lila. – Byłam wręcz pewna, że to zrobię, nie mówiłam o niczym Piotrowi. Jak widzisz, ja też byłam wtedy zwykłą suką. Zwykłą, egoistyczną suką – podkreśliła.

– Ale dlaczego? Chodziło o Erasmusa? O ten wasz wyjazd do Paryża?

Lila potrząsnęła głową.

– Bardziej niż o to, chodziło o skazę, jaką miała nasza rodzina. A raczej kobiety w naszej rodzinie.

– Skazę?

By uniknąć wzroku siostry, Lila wstała i podeszła do atrium. Stała do Aleks bokiem i udawała, że przygląda się drzewu.

– Najbardziej bałam się czegoś, co w psychologii nazywa się fachowo traumą pokoleniową. Byłam idealnym materiałem, żeby być taką samą słabą matką, jaką była nasza matka i babcia. Albo jeszcze gorszą.

– Bo mamuśki w tej naszej linii dawały dupy na całego, to fakt.

– To trochę bardziej złożone.

– Jak złożone? – drążyła Aleks i usiadła na sofie. – Możesz tu przyjść? – poprosiła łagodnie.

Lila usiadła na skraju kanapy, tuż obok siostry. Kiedy się pochyliła, jej ramiona się zapadły, a ona sama skurczyła się jeszcze bardziej. W jej ciele załągł się wstyd. Rósł z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem.

– Naszej babci macierzyństwo znudziło się po kilku pierwszych latach, a i w tym pierwszym okresie była wiecznie nieobecna. Nie potrafiła być matką, bo sama nie miała dobrych wzorców.

– A nasza matka była jeszcze gorsza – dopowiedziała Aleks. – Ona poddała się już na samym początku.

– Ale nie tylko o brak wzorców chodziło.

– To o co?

– O chemię. Zwykłą chemię w organizmie. Wiesz, że każda osoba rodzi się z filogenetycznym odciskiem, który może wpływać na jej życie na wiele sposobów?

Aleks potrząsnęła głową. Przysunęła się bliżej siostry.

– Brzmi jakoś pseudonaukowo. – Skrzywiła się. – Co to takiego?

– To pewnego rodzaju stan przenoszony z pokolenia na pokolenie, ciężar pewnych nieprzetworzonych wydarzeń rodzinnych. Albo, jak wolisz, traum. Nie wiem, czy w naszej rodzinie początek temu dała babka czy to sięga jeszcze dalej, ale każda kolejna kobieta przekazywała ten deficyt swojemu dziecku jeszcze w jego życiu płodowym. Bo nieotoczone opieką, a przede wszystkim niekochane dziecko, kiedy staje się kobietą i zachodzi w ciążę, zawsze przekazuje to dalej, o ile nie wydobędzie się z tego pieprzonego kręgu.

– Chodzi o to zwarcie, które zmienia DNA? – przypomniała sobie Aleks. – Czytałam kiedyś o tym. Z tego, co pamiętam, wymusza to na nienarodzonym dziecku jakąś porąbaną podświadomą solidarność z osobą, która miała pierwotną traumę.

Lila kolejny raz potwierdziła słowa siostry skinieniem głowy.

– To zwarcie neuronalne. Mówiąc w skrócie, bałam się, że też to mam. Że noszę w sobie to cholerstwo i cokolwiek zrobię, nie będę dobrą matką. Że skrzywdzę swoje dziecko, tak jak i nas latami krzywdzono. Że zrobię to, bo brak mi będzie umiejętności, by je kochać.

Aleks wsunęła swoją dłoń w dłoń siostry. Obie splotły się mocno.

– Bzdura. Nawet jeśli tak jest, to dawno przerwałaś ten łańcuch, lata temu. Ty pierwsza w naszej rodzinie – powiedziała, a Lila czuła, że słowa siostry są szczerze. – Tobie jedynej na mnie zależało. Gdyby nie ty, już dawno sięgnęłabym dna. Zaćpałabym się albo uciekłabym od ojca, od tej smutnej trupiarni, w jaką zamienił nasz dom.

Kiedy na świecie pojawił się Adaś, Lila natychmiast poczuła naturalną i wszechobecną miłość do swojego dziecka. Wykorzystywała ją intuicyjnie, dopuszczając jednak czasem tę jedną zatrutą myśl, czy ona jako matka jest wystarczająco dobra.

Chciała wierzyć w to, że udaje jej się sprostać zadaniu. Tylko to miała. Tę wiarę i dziecko, które uczyło ją, czym w istocie jest czysta, matczyzna miłość, bo sama nigdy jej nie miała.

Od czasu narodzin synka Lila stale nosiła w sobie jeszcze inną obawę – czy po tym, co zrobili we czwórkę niewinnemu, którego imienia nigdy nie przywoływali, ona może jeszcze kiedykolwiek nazywać siebie dobrym człowiekiem? Dobrą matką?

– Ej, zobacz. Coś się dzieje.

Z zamyślenia wyrwała ją siostra, wskazując diodę na projektorze. Paliła się na zielono.

Po chwili na wyświetlaczu pojawił się ten sam mężczyzna. Nie ruszał się. Tym razem zamiast filmu wyświetliło się tylko jego zdjęcie. Mężczyzna siedział w salonie, niemalże w tym samym miejscu, co Lila teraz, naprzeciwko onyksowej ściany, przez którą przenikało światło.

Lila wstała z sofy i podeszła do ściany. Pogładziła ją. W przeciwieństwie do innych ścian, posępnych i szarych, ta wyglądała tak, jakby toczyło się w niej jakieś równoległe życie, zależne tylko od gry światła.

– Co robimy? – usłyszała za sobą głos Aleks. – Stoper właśnie się włączył. Dostaliśmy, tak jak zawsze, piętnaście minut. Masz jakiś pomysł?

– Piotr i tata muszą być tutaj, kiedy któraś z nas wpisze kod na kłódce – odparła Lila, przyglądając się uważnie zatopionym w kamieniu żyłkom. – To na początek.

– Mam ich znaleźć?

Lila kiwnęła głową, a Aleks natychmiast wyszła. Wtedy Lila zaczęła uważnie studiować ścianę. Jednak zmieniająca się gra światła nie pozwoliła jej ustalić szczegółów. W zależności od jego natężenia żyłki stawały się bardziej sine, białe albo znikły.

Usiłując ustalić jakiś kod, którym mogłaby się kierować, Lila straciła prawie dwie minuty. Kiedy próbowała sprawdzić, czy onyksowa ściana dałaby się przesunąć, wydarzyło się dokładnie to samo, co wcześniej. Rolety, zarówno te zewnętrzne, jak i wewnętrzne, zasunęły się z głośnym zgrzytem. Te same,

charakterystyczne dźwięki dochodziły z pewnym opóźnieniem z innych pomieszczeń i kondygnacji. Lila nie zdążyła zareagować. W salonie natychmiast zapadła prawie zupełna ciemność, przecięta jedynie wiązką światła wpadającą przez świetlik. Światło nie sięgało dalej niż do atrium i drzewa. Nie to było jednak najgorsze. Nie tylko od światła Lila była teraz odcięta, ale przede wszystkim od swojej rodziny, która nie miała dostępu do domu. Z dużym prawdopodobieństwem Lila nawet by nie usłyszała, gdyby próbowali się dostać do środka.

Mimo że poprzednia próba manipulowania panelem sterującym zakończyła się fiaskiem, Lila spróbowała ponownie. Pod naciskiem jej palców guziki zmieniały kolory, ale nie powodowało to żadnej zmiany. Dom był zupełnie cichy. Martwy. W tej nicości Lila słyszała jedynie przyspieszone bicie własnego serca, które tukało się jej w piersiach.

Lila chciała zlokalizować swoją komórkę, więc zrobiła kilka kroków w stronę, jak jej się wydawało, ławy. Spoiny wokół jednej z kamiennych płytek podłogi rozbliły jasnym światłem. Kolejne dwa kroki nie dały już takiego efektu. Spoiny spowijał mrok, tak samo jak wszystko wokół.

Kiedy cofnęła się o trzy kroki, spoiny ponownie się podświetliły w tym samym miejscu. Lila wielokrotnie słyszała o walkway lightach – światłach uruchamiających się pod wpływem ruchu albo siły nacisku. Ale te rozwiązania dotyczyły głównie podświetlanych tarasów lub ścieżek w ogrodach. Żadne nie pasowało do wnętrza domu i spoin między kamiennymi płytkami.

Lila wzięła to odkrycie za nieprzypadkową wskazówkę. Zresztą w tej chwili tylko taką miała. Sprawdziła inne płytki okalające tę, która właśnie się podświetliła. Nic się nie zmieniało, kiedy na nie weszła. Ale ta jedna płytka zaprowadziła ją o krok dalej. Przy zastosowaniu metody prób i błędów pojawiły się następne takie płytki. Wytyczony w ten sposób szlak zawiódł Lilę na szczyt kamiennych schodów. A te z kolei prowadziły na najniższy poziom mieszczący się pod ziemią. Znajdował się tam salon gier oraz pomieszczenie gospodarcze, które kilka godzin wcześniej Lila przeszukała wraz z siostrą. Nie znalazły wówczas niczego, co mogły uznać za przydatne. Ale na tamtym etapie trudno było to stwierdzić z całą pewnością, skoro nie wiedziały, czego powinny szukać.

Każdy kolejny stopień prowadzący na dół rozblił jasnym światłem. Stawiane powoli kroki zaprowadziły Lilę do pokoju gier, którego przesuwne ściany ozdobione były lustrami, co sprawiało wrażenie nieskończoności. Tak

Lila go wtedy zapamiętała, bo teraz, w ciemności, nie było widać absolutnie nic. Ostatnia płytką rozblęła światłem przy jednej z ruchomych ścian. Lila czuła pod palcem jej chłód i gładką, lustrzaną powierzchnię. Chwyciła za jej krawędź i ją przesunęła. Pamiętała, że po drugiej stronie lustra leżały między innymi kule bilardowe i kije, a także różne akcesoria do gier i latarka. I to po nią pierwszą Lila sięgnęła po omacku. Wybadała uruchamiający ją guzik i go przycisnęła.

Zamiast jasnej łuny światła, której się spodziewała, zobaczyła mdły, fioletowawy poblask. Światło UV, przebiegło Lilce przez głowę. Pomyślała, że być może kolejny *blackout* nie był ani przypadkowy, ani nie miał pełnić funkcji straszaka. Ignorując kolejno podświetlane w drodze powrotnej płytki, Lilka dobiegła do salonu i stanęła przed onyksową ścianą. To był jej cel. Tylko to miało teraz jakiś sens. Kątem oka spojrzała na ekran. Dziewięć minut osiemnaście sekund. Tyle czasu jeszcze jej pozostało. Sporo.

Lila nakierowała latarkę na onyksową ścianę i zacisnęła powieki. Nie miała innego pomysłu, jeśli ten miałby nie wypalić. Kiedy na powrót otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą ciąg liczb. Były naniesione odręcznie, przypuszczalnie fluorescencyjną farbą, wchodzącą w reakcję ze światłem UV. Na onyksowej ścianie widniały daty. Albo czterocyfrowe kody. Z początku trudno było to ocenić.

Lilka wiedziała, że jest teraz z tym wszystkim sama. Jeśli zawiedzie, kolejna szansa może się już nie nadarzyć. Cyfry pogrupowane były po cztery. Poza tym czytane kolejno liczby nie miały żadnego sensu. Zajmowały całą ścianę, biegły w trzynastu równoległych rzędach. Taki był kolejny wniosek, do którego doszła.

Lila wzięła głęboki oddech i z trudem opanowała wewnętrzne drżenie. Zauważyła nieoczekiwanie pewną prawidłowość. Nie potrafiła jej jeszcze rozszyfrować, ale przeprowadzona naprędce analiza pozwoliła jej zmniejszyć liczbę możliwości. Dwie ostatnie cyfry z każdego ciągu nie przekraczały wartości wynoszącej dwanaście, zatem z dużym prawdopodobieństwem musiały być datami. Lila raz jeszcze przebiegła po nich wzrokiem. Nieoczekiwanie z bezsensownego ciągu wyłoniła się data.

Ta jedna data.

Czternasty kwietnia.

Tę jedną Lila doskonale kojarzyła. Jedną jedyną. Tę samą, która widniała teraz na onyksowej ścianie, zawsze widziała w jednym miejscu, wyrytą na nagrobku chłopca.

Chłopca, którego zabiła.

Ta opatrzona gwiazdką była datą jego narodzin. Lila miała swój udział w tej drugiej, w dacie śmierci. A więc chłopiec, którego imienia nigdy nie wypowiadali na głos, znów się pojawił. Lila wiedziała, że to się kiedyś stanie. To musiało się kiedyś stać.

Musieli odpokutować.

Musieli odpokutować za jego bezsensowną śmierć.



Piotr, ojciec i Aleks czekali na zewnątrz. Podejmowali kilka bezskutecznych prób dostania się do środka.

Kiedy stoper wskazał, że do wypełnienia zadania pozostały tylko dwie minuty, drzwi wejściowe otworzyły się bez czyjejkolwiek ingerencji. Chwilę później odblokowały się rolety i wpuściły do domu ciepłe światło zachodzącego słońca.

– Zostańcie w domu. Mam go. Myślę, że mam kod – poleciła Lila zdezorientowanej rodzinie.

Wybiegła, kierując kroki prosto nad źródlisko. Przeszła przez mostek i zatrzymała się po jego drugiej stronie. Od wysepki dzieliła ją tylko brama i ostatnia kłódka, na której należało ustawić cztery cyfry kodu. Lila spojrzała na smartwatcha. Pozostała jej jedna minuta i dwadzieścia pięć sekund.

Jeden. Cztery. Zero. Cztery, powtarzała w myślach.

Wzięła kłódkę w dłoń, wprowadziła kod i pociągnęła za metalowy pałąk.

Wdech – wydech.

I chwila prawdy.

Kłódka otworzyła się z głośnym szczękiem.



Kiedy wróciła, już wiedzieli, że jej się udało. Obserwowali Lilę przez okno wychodzące na źródlisko. Mgła nieco się rozproszyła, więc widoczność była trochę lepsza. Jednak zapadający i gęstniejący z każdą chwilą zmierzch wkrótce miał to zmienić.

W momencie, w którym Lila weszła do salonu, wyświetlacz pokazywał, że pozostały jeszcze trzy minuty i dwadzieścia cztery sekundy. Po chwili niebieski stoper zniknął, na ekranie został tylko główny zegar. Pokazywał czternaście godzin i osiemnaście minut. Tyle mieli, by odnaleźć Adasia.

– Co teraz? – spytała Aleks niecierpliwie.

– Chyba nie mamy się nad czym specjalnie zastanawiać – odpowiedział Piotr. – Przejście przez otwartą bramę prowadzi na wyspę. Po otwarciu furtki mamy do niej dostęp. Na tamtych planszach było coś o wyznaniu. Mieliśmy to zrobić właśnie tam, w tamtym miejscu. To chyba jasne, o kogo chodzi.

Powiódł wzrokiem po twarzach swoich bliskich. Na każdej z nich była wypisana wina. To brzemię nosili wszyscy niemal od trzech lat. Tylko Antoni skrzętnie ją ukrywał. To był jego stały, wypracowany schemat radzenia sobie z sytuacją, której, szczerze mówiąc, nigdy nie przepracował.

– Chodzi o chłopca z leśnej drogi – bardziej stwierdziła, niż spytała Aleks. Unikała spojrzenia Piotra. – Zawsze chodziło o niego. Przez te wszystkie lata.

– Miał na imię Staś. Staś Sowiński. – Słowa z trudem przeszły Lili przez gardło. Paliły ją. Nie wypowiadała tego imienia od trzech lat.

– Nie tylko my mówiliśmy o nim bezosobowo, Lila. Ty też tak się wyrażałaś, jeśli w ogóle o nim mówiłaś – odezwał się Antoni ochryłym głosem. – Tak miało być lepiej.

– Ale nigdy nie było – wtrąciła Aleks. – Jesteśmy mordercami. Nazwijmy wreszcie rzecz po imieniu, zamiast ją wypierać albo tuszować naszą marną codziennością. Jesteśmy mordercami – powtórzyła głośniej.

Rozdział 15

Na wyspie rosły jodły, sosny wejmutki, modrzewie, daglezie i kilka klonów. Pachniało żywicą, mchem i butwiejącymi liśćmi. Ta woń była równie nęcąca co odpychająca. Pagórkowaty teren porastały paprocie.

W centralnym miejscu, na dwóch potężnych sosnach, na wysokości kilku metrów, zamocowany był górujący nad wyspą drewniany domek. Nietypową konstrukcję o heksagonalnym kształcie do pnia drzew mocował system klamer. Drewniane bloczki ułożono pionowo dookoła pnia i zakotwiczone do drewnianej platformy za pomocą stalowej linki. Na takiej kotwicy opierały się deski podtrzymujące szkielet domku.

Między sosnami biegł drewniany pomost z poręczami. U podnóża drzew, poza zbutwiałymi deskami i pordzewiałym dziecięcym rowerkiem, leżał od dawna nieużywany trakt tartaczny.

Do domku prowadził kolejny mostek wykonany z ułożonych ściśle obok siebie modrzewiowych desek. Podejście na górę było strome, a na szczytowym odcinku trzeba było trzymać się lin służących za prowizoryczne poręcze.

Z bliska domek wydawał się okazalszy. Dostosowanie formy i wielkości klepek, z których wykonano platformę stanowiącą oparcie dla konstrukcji, wymagało katorżniczej pracy. Mimo to domek wyglądał marnie. Opuszczony, od dawna sukcesywnie popadał w ruinę. Niekonserwowane drewno wyszczerbiło się i pokryło pleśnią. W każdym z niewielkich okien utkane były pajęczyny. Aleks przytknęła twarz do jednego z brudnych okien, zrywając pajęczą sieć. Panująca w środku ciemność pozwoliła jej zobaczyć tylko zarys okrytych prześcieradłem przedmiotów.

Lila okrążyła domek. Na każdej z heksagonalnych ścianek zawieszona była ptasia budka.

– Dlaczego ktoś zabił deskami wszystkie otwory?

Przesunęła palcem po drewnianej deseczce, która broniła dostępu do wnętrza budki. Tak samo było w pozostałych.

– Nie ktoś, tylko ten sam skurwiel, który morduje spragnione zwierzęta – warknął Piotr.

– Nie kumam – powiedziała Aleks, przyglądając się budkom. – Skoro ktoś wybrał to miejsce, działkę w sercu przyrody, skoro powiesił te budki, to dlaczego je niszczył?

– Może założył, że skoro sam przeżył stratę, to każdy powinien jej doświadczyć – powiedział Antoni.

– Zapominacie, że właściciel nie żyje – wtrąciła Lila.

– Fakt. I dlatego najprawdopodobniej wciąż przyjmujemy błędne założenia. Być może mylnie zakładamy, że to on jest powiązany ze Stasiem – kontynuował Antoni.

Nacisnął klamkę, a kiedy drzwi się nie otworzyły, natarł na nie ramieniem. Drzwi lekko się wygięły, ale nie puściły. Lila położyła dłoń na ręce ojca.

– Zostaw – poprosiła. – Żadne drzwi nie powinny być otwierane siłowo. Takie są zasady – przypomniała.

– Lepiej sprawdźmy typowe schowki, w których zwykle zostawia się zapasowe klucze – zaproponowała Aleks, rozglądając się wokół.

Zajrzeli więc pod wycieraczkę, do starych doniczek, w których tkwiły teraz zwiędłe badyle. Szukali na parapecie, a także w szczelinach między arkuszami blachy falistej, która pokrywała dach.

Klucza nigdzie nie było.

Lila uparcie okrążyła domek, przyglądając się każdej budce.

– Może powinniśmy sprawdzić, co jest w środku?

Aleks nie była przekonana.

– Okej, tylko jak mamy dostać się do środka, nie niszcząc ich? – spytała, spoglądając sceptycznie na siostrę. – Jeśli faktycznie trzymamy się zasady, że dostajemy się wszędzie bez dokonywania zniszczeń...

– Może gdzieś tutaj jest młotek ciesielski albo obcęgi. – Lila rozejrzała się dookoła. Zawiesiła wzrok na leżących u stóp sosny przedmiotach. – Na dole są jakieś rzeczy. Może narzędzia też.

– A może wcale nie trzeba w to wkładać wiele siły – powiedział Piotr i podszedł do jednej z budek. – Gwoździe są poluzowane. Przynajmniej tutaj. – Pociągnął deseczkę, ale nie puściła, mimo że pojawiła się niewielka szczelina. Kiedy spróbował mocniej, gwóźdź tylko lekko się odgiął. Wreszcie, używając większej siły, zerwał deseczkę. Otwór okazał się na tyle duży, że Piotr mógł wsunąć dwa palce do środka.

Początkowo nie potrafił wyczuć niczego poza trocinami, którymi wymoszczona była budka. Dopiero kiedy jego palce dotarły do narożnika, poczuł, że coś pęka. Przedmiot ten był delikatny i bardzo kruchy, składał się teraz z dwóch części. Piotr ostrożnie wy dobył je z budki.

Na jego otwartej dłoni leżał maleńki szkielet pisklaka. Czaszka oddzielona była od mostka i kręgosłupa.

– Pozwolił ptakom się osiedlić i złożyć jaja po to, by umierały w męczarniach. Serio? – zapytała Aleks z obrzydzeniem.

Lila milczała, zastanawiając się, jak działa człowiek, który stał za porwaniem jej dziecka. Bała się jego okrucieństwa. Na samą myśl, że może być taki wobec jej dziecka, poczuła mrowienie w karku i ból promieniujący z brzucha do każdej kończyny. Lila nie wypowiedziała swoich obaw na głos. Strząsnęła z siebie tę myśl.

– Są tutaj – usłyszała ożywiony głos męża.

Piotr stał przy jednej ze ścian, był prawie niewidoczny. Kiedy Lila zrobiła dwa kroki w jego stronę, zauważyła, że Piotr trzyma w dłoni niewielki klucz zawieszony na metalowym kółku. Prawdopodobnie wy dobył go z którejś budki.

Podszedł do drzwi, dopasował klucz w zamku i obrócił go dwukrotnie. Tym razem drzwi posłusznie wpuściły ich do środka.

Unoszący się w powietrzu kurz od razu zwrócił ich uwagę. Drobinki wzbily się w powietrze, jak tylko przekroczyli próg. Stół, krzesła i jakiś mebel, kształtem przypominający komodę, okryte były białymi prześcieradłami. W stojącym przy ścianie piecyku zamontowano rurę wydechową ciężarówki, która służyła za przewód kominowy, a drewniane skrzynki na wino zamienione zostały na półki i szafki. Jako jedyne nie były osłonięte.

W centralnym punkcie pokoju stało jeszcze krzesło. Naprzeciwko zawieszono na ścianie skierowaną na nie kamerę. Zielona dioda migiała, więc kamera była włączona.

Lila znalazła przy drzwiach pstryczek i zapaliła światło. Zauważyła, że drewniane ściany pokryte są zdjęciami i wycinkami prasowymi. Jedna fotografia od razu przykuła jej uwagę. Były na niej dwie osoby – szpakowaty mężczyzna, ten sam, który pojawiał się na każdym nagraniu, i chłopiec. Miał twarz Stasia Sowińskiego – dziecka, które Lila zabiła.

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Nie mogła się na to zdobyć. Przeniosła więc wzrok na przeciwległą ścianę, która także kipiała od zdjęć. W pierwszej chwili zlały się one Lili w jeden wielokolorowy ciąg.

Ale potem na pierwszy plan wyłoniło się jedno zdjęcie. Było białoczarne, złej jakości. Przypominało screen z obrazu zarejestrowanego przez kamerę przemysłową. Najprawdopodobniej zostało zrobione ukradkiem, gdyż znajdujące się na nim osoby nie patrzyły prosto w obiektyw. Były zajęte sobą i na sobie skoncentrowane. Lila znała je obie. Znała je od lat.

Ściągnęła zdjęcie ze ściany i pokazała Piotrowi.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

Rozdział 16

wtedy / luty 2019

Tamtego poranka kolejny raz śnieg pojawił się prawie niezauważony. Pojedyncze płatki unosiły się w powietrzu. Wznosiły się, a potem opadały rozwiewane przez wiatr. Te, które osiadły na przedniej szybie, od razu znikaly niepostrzeżenie. Ogrzewanie w samochodzie ustawione było na pełną moc, a z głośników słycać było Beth Gibbons. W normalnych okolicznościach Lila jeszcze podkreślałaby głos, ale teraz utwór *Roads* drażnił ją tak samo jak nieporadne tłumaczenia siostry.

– Jest jeszcze coś, co przede mną zataiłaś?

– Niby co? – burknęła Aleks.

– Wiem już o twoim długu i dilerze, który właśnie chciał nas zabić – wymieniła Lila. Jej głos był ostry jak wbijający się w lód szpikulec. – Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa. Jest jeszcze coś?

Wskazówka prędkościomierza znów wychyliła się za osiemdziesiątkę. Lila nie odrywała wzroku od drogi, która wciąż była pusta. Wokół słycać było tylko dudniące podmuchy wiatru i szum uginających się pod jego naporem drzew. Chciała jak najprędzej pokonać tych siedem kilometrów, byle wydostać się z lasu, byle znaleźć się w pobliżu jakichś zabudowań, w razie gdyby Oliński zdecydował się zawrócić. Owca

– Pójdziemy z tym na policję – oznajmiła siostrze tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jeszcze dzisiaj. Słyszysz?

Aleks spochmurniała.

– Po moim trupie! – krzyknęła. – Obie wiemy, jak będzie. Gliny nie kiwną nawet palcem. Oleją nas, a on dalej będzie się mścił. A po tym dzisiejszym to Bóg jeden wie, co on jeszcze może zrobić. To zjeb, sama widziałaś. Chory,

zboczony zjeb! Chcę się tylko z tego wymiksować. Nic więcej. Chcę, żeby się odpiardolił.

– Na razie zamiast się wymiksować, wmieszałaś w to nas wszystkich. Dorośnij w końcu, Aleks! Mam już dosyć! – wyrzuciła Lila z siebie jednym tchem. – Dosyć sprzątania twojego syfu!

– Spłacę mu ten dług – obiecała Aleks, wciąż patrząc na siostrę, tym razem łagodnie i prosząco. – Ogarnę się. Przyrzekam. Tylko odpuśćmy gliny. On się nie przestraszy. Tacy jak on się nie boją.

– A ile warte są twoje słowa tym razem, Aleks? – Ton głosu Lili nadal był ostry i nieustępliwy. – Ile takich obietnic bez pokrycia już mi złożyłaś?

Na swoich rękach poczuła wtedy ciepło dłoni Piotra. Przesunął je szybko i zacisnął na kierownicy. Skręcił lekko w prawą stronę. Lila zorientowała się, że gdyby nie Piotr, zjechałaby na przeciwległy pas ruchu. Oblał ją zimny pot. Wciąż czuła w sobie adrenalinę. Był też strach. Jeszcze nie zelżał.

– Dajcie spokój. Nie teraz. Patrz na drogę – poinstruował Piotr Lilę. – Pogadamy o tym później, na spokojnie.

Ale emocje nie opadły, a dyktowane nimi słowa wydobyły się z ust Lili pod wpływem impulsu.

– To zaszło za daleko. Przykro mi, ale tym razem to nie ty o tym decydujesz.

– Czyli co? Doniesiesz na mnie, tak? – spytała Aleks z wyrzutem.

Lila spojrzała na wskazówkę prędkościomierza, która nadal lekko przekraczała osiemdziesiątkę, a po chwili na zamocowany w uchwycie telefon. Mapa i wytyczona trasa wskazywały, że za chwilę samochód powinien znaleźć się na terenie zabudowanym.

Zamiast patrzeć na drogę, czarną, asfaltową wstęgę, wilgotną od topniejącego śniegu, Lila obserwowała latawiec unoszący się w powietrzu, który zupełnie nie pasował do szarzyzny otaczającego ich krajobrazu. Cztery jasne neonowe kolory kontrastowały z szarością zasnutego chmurami nieba.

Na asfalcie, w odległości kilkudziesięciu metrów od pędzącego samochodu, stało dziecko. Było ubrane w zimową, pikowaną kurtkę, w biało-niebieską czapkę w paski i taki sam szalik. Na plecach miało tornister z przymocowanymi do niego odbłaskami. Było zwrócone do nich plecami, głowę zadzierało wysoko ku niebu. Zapatrzone w falujący na wietrze latawiec, nie widziało niczego wokół. Stawiało z zaciekawieniem kolejne kroki, ale nie w tę stronę, w którą powinno...

Jeden krok. Drugi.

Odblaski na małych adidaskach błysnęły odbitym w reflektorze światłem.

Trzeci. Czwarty krok.

Tyle wystarczyło, by dziecko znalazło się między dwoma pasami jezdni.

Za daleko.

Ćwierć sekundy. Maksymalnie jedna.

Tyle zajęła Lili reakcja od momentu, kiedy przeniosła wzrok z latawca na dziecko. By je wyminąć, skręciła gwałtownie, jednocześnie wciskając hamulec. Koła samochodu zatańczyły na śliskiej nawierzchni, całkowicie nieposłuszne. W powietrzu uniósł się swąd palonej gumy. A chłopczyk nadal stał tam, gdzie wcześniej, gdzie stać nie powinien.

Tylko tym razem nie wpatrywał się w unoszący się w powietrzu latawiec. Wypuścił go z ręki, zastygł w półobrocie, zaskoczony obecnością pędzącego w jego stronę samochodu. Teraz go usłyszał. Usłyszał i zobaczył. Ale nie odskoczył na bok. Nie próbował. Po prostu tam stał, zwrócony twarzą do Lili, oniemiały, a może sparaliżowany strachem i świadomością tego, co się dzieje. Tego, co nadejdzie. Za sekundę. Albo dwie. Bo czas nagle biegł jakoś inaczej, zarówno dla chłopca, jak i dla pasażerów audi.

Koła nadal tańczyły, choć wydawało się, że jednak go miną, że co najwyżej samochód znów wyrzuci na pobocze. Ale zanim to się stało, powietrze rozdarł huk. Huk gniecionej blachy i odrzucanego na pobocze ciała.

Samochód wreszcie się zatrzymał, niemal równoległe do pasa jezdni. Lila uniosła dłonie nad kierownicą. Obejrzała je z każdej strony.

Jedna sekunda. Najwyżej dwie.

Tyle zajęła jej próba wyparcia. Wyparcia istnienia rąk, ich fizycznej obecności. Chciała wierzyć, że jej dłonie zbledną, rozproszą się, a wreszcie znikną.

A potem, mniej więcej w trzeciej sekundzie, dotarł do niej prawdziwy obraz.

Był całkiem wyraźny mimo porannej szarugi i prószącego coraz intensywniej śniegu. W wąskim rowie leżało dziecko. Rączki miało odrzucone na bok. Lewa nóżka, odgięta pod nienaturalnym kątem, wyglądała na złamaną.

Lila nie zapamiętała, jak ani kiedy wypadła z auta. Nie zapamiętała też, co w tamtej chwili robili jej narzeczonzy i siostra. Nic wtedy nie istniało. Nic poza

leżącym w rowie dzieckiem. Uklęka przy chłopczyku, chwyciła jedną ręką za brodę, a drugą położyła mu na czole i delikatnie odchyliła mu głowę do tyłu.

– Sprawdź, czy oddycha – poleciła pochylającemu się nad dzieckiem Piotrowi. Bo okazało się, że nagle wszyscy się tam znaleźli. Cała trójka skupiona była wokół nieruchomego dziecka. Ich oddechy kłębiły się nad drobnym ciałem.

– Nie wiem, chyba nie – jęknął Piotr i przysunął swój policzek blisko ust dziecka.

– Spróbuj wyczuć jego oddech. Przez dziesięć sekund.

Piotr próbował znacznie dłużej, przez trzydzieści, czterdzieści sekund. Albo i więcej. Kilkanaście prób okazało się bezskutecznych.

– Kurwa, nic. Nic! – Podniósł wzrok na Lilkę, która nigdy nie widziała go takiego. Rozjuszonego i bezbronego. Lila wiedziała, że był teraz gotów podjąć każdą decyzję, także tę najgorszą.

– Przesuń się – poleciła mu i rozpięła małemu kurtkę. Poluzowała szalik. Zauważyła, że dziecko ma na sobie grubą, granatową bluzę z Batmanem. Gotowy do obrony Gotham City, waleczny superbohater wypinał umięśnioną pierś. Ale w piersi chłopczyka serce nie biło. Klatka piersiowa się nie unosiła, z ust nie wydobywał się nawet najwątleszy strumień powietrza. Była tylko krew. Lila miała ją na rękach, ciepłą i gęstą. Była wszędzie.

Lila, kierowana instynktem, nie czekała ani sekundy dłużej. Ułożyła prawą dłoń na środku piersi chłopca. Drugą umieściła na grzbiecie pierwszej. Uciskała jego klatkę piersiową w stałym rytmie. Raz, drugi, trzeci. I tak nieprzerwanie aż do trzydziestu. Nigdy wcześniej tego nie próbowała, ale wiedziała, że tak się robi. Że tak robi ktoś, kto desperacko próbuje ocalić czyjeś życie.

– Musimy go gdzieś zawieźć. Musimy go zawieźć do szpitala i zniknąć. Nie masz prawa jazdy. A ja piłem. Wiesz, co to znaczy? – Piotr wyrzucał z siebie kolejne słowa. – Nie pomożemy mu tutaj. Musimy go natychmiast zawieźć i zniknąć. – Lila poczuła, że szarpie ją za rękaw.

Zignorowała to i pochyliła się nad dzieckiem. Chłopczyk nadal nie oddychał.

– Trzeba mu przywrócić krążenie. Tutaj – powiedziała rzeczowo. I tak samo rzeczowo myślała. Działo się tak dlatego, że w podbramkowych sytuacjach, po chwili, po tej pierwszej krytycznej chwili, często odzywał się w Lili instynkt

przetrwania. W tym konkretnym przypadku to była jej walka o przetrwanie tego dziecka.

Lila zacisnęła więc nos chłopczyka palcami i przyłożyła swoje usta do jego ust. Wpompowała w nie strumień powietrza, puszczała nos po każdym oddechu, a następnie przyłożyła policzek blisko jego ust. No dalej, mały, powtarzała w myślach. Boże, nie rób mu tego...

– Jest? Słyszysz coś? – Głos Piotra dobiegał z za jej pleców. Czowała na sobie jego oddech. Aleks gdzieś nagle zniknął.

– Boże! On oddycha! – wykrzyknęła Lila jakimś obcym głosem.

Oddech faktycznie był, ale ledwie wyczuwalny, a krwi wciąż przybywało. Była już na kurteczce dziecka i jego szaliku.

– Daj, ja go przeniosę – zaproponował Piotr i ostrożnie wziął dziecko na rękę. Dotknął jego dłoni. Były zimne. Lodowate.

– Aleks, jedziemy! – zawołała Lila w stronę siostry, która krążyła wokół nich z telefonem przyciśniętym do ucha. – Z kim ona, do cholery, rozmawia? – spytała Piotra.

Nim zdążył się odezwać, Lila sama usłyszała odpowiedź.

– Tato, co mamy robić? Co robić, tato?

– Rozłącz się – poleciła Lila siostrze. – Rozłącz się. I wsiadaj! Jedziemy! Ty z przodu, a ja będę z nim z tyłu.

Nim Aleks wsiadła, ściągnęła z drogi leżący na samym środku prawego pasa latawiec. Zajęta chłopcem Lila nie zauważyła, że Aleks nie przerwała połączenia z ojcem. Antoni nadal wszystko słyszał. Wiedział, co działo się przy drodze i co się działo teraz w audi.

Kiedy chwilę później dziecko znalazło się na tylnym siedzeniu, Lila wzięła je w ramiona i przysunęła blisko piersi. Podtrzymywała mu głowę, stale sprawdzając oddech, gotowa do podjęcia kolejnej resuscytacji. Po ściągnięciu mu czapeczki znalazła miejsce, z którego tak krwawił. Z tyłu głowy, na wysokości potylicy, widoczna była głęboka rana. To ona tak obficie broczyła krwią. Lila ucisnęła ją szalikiem chłopca. Ale krew nadal wypływała. A im więcej jej było, tym bardziej chłopiec tracił kolor. Rumieńce wyparła trupią błądź. Usteczka zsiniały, zsiniały paznokcie i powieki.

– Gdzie jest najbliższy szpital? Gdzie jest ten pierdolony szpital? – Głos Lilki wciąż był obcy, ale w inny sposób. Tym razem się łamał.

– Tato mówi, że on sam go tam zawiezie – powiedziała Aleks. Bez przerwy kiwała głową, jakby była w jakimś katatonicznym stanie. – Mówi, że my nie powinniśmy, bo przecież...

– Jedź do szpitala! Piotr, słyszysz? – Lila zignorowała siostrę i szarpnęła narzeczonego za ramię.

Piotr włożył kluczyk do stacyjki, przekręcił go, wrzucił jedynekę, ale nie ruszył z miejsca.

– Ktoś jedzie z naprzeciwka – oznajmił.

Przed nimi majaczyła sylwetka samochodu. Z każdą kolejną sekundą stawała się większa i bardziej wyraźna. Dzielila ich odległość nie więcej niż dwustu metrów i malała z każdą chwilą.

– Zauważą wgniecenie. Na pewno coś zauważą. – Aleks nagle oprzytomniała. Między poboczem a krawędzią drogi leżały fragmenty potłuczonego reflektora. – Otwórz maskę. Zakryję to – poleciła Piotrowi, ignorując rozsypane na drodze pomarańczowe odłamki. W tak krótkim czasie nie zdążyłaby zatrzeć śladów.

Piotr bez zastanowienia zwolnił blokadę maski. Aleks wybiegła i zasłaniając sobą numer rejestracyjny, uniosła ją, by ukryć znajdujące się na przodzie wgniecenie.

Niewielki bus minął ich i się nie zatrzymał. Piotr nie był pewien, czy podróżujący nim ludzie zwrócili na nich uwagę. Nie chciał przyglądać się kierowcy ani pasażerom.

– Nie może się wydać, że to my – powiedział Piotr i odwrócił się do narzeczonej, kiedy bus już się oddalił. – Pójdziemy siedzieć. Wszyscy. Rozumiesz, co się stało? Rozumiesz, co zrobiliśmy? Rozumiesz, czym to grozi?

Lila go nie słuchała. Nie obchodziło jej to, co Piotr mówił. Nie przyswajała żadnych nowych informacji. Nie mogła, bo w jej głowie szumiał jednostajnie tępy syk. Powodowało go umierające na jej oczach dziecko i to, co się z nim właśnie działo.

Klatka piersiowa chłopca przestała się unosić. Z jego ust nie wydobywał się już nawet najśłabszy oddech. Nie pomagało kolejne odliczanie do trzydziestu. Nie pomagały kolejne uciski klatki piersiowej i wtłaczane w dziecko powietrze. Nie pomagały zaklęcia ani wołania do Boga, który uparcie milczał.

Nie pomagało nic. Zupełnie nic.

Rozdział 17

Lila ściągnęła zdjęcie ze ściany i wręczyła je Piotrowi.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

Na wyblakłej i nieco sfatygowanej fotografii Lila rozpoznała swój ganek, ozdobiony girlandą czerwonych lampek. Zawiesiła je tuż przed Bożym Narodzeniem. Przed otwartymi drzwiami wejściowymi jej domu stała dziewczyna, z którą Lila przez ostatnie dwa semestry codziennie jeździła na uczelnię. Marta. Jej ręka zaciśnięta była na dłoni Piotra, stojącego po drugiej stronie drzwi. Lilli trudno było odczytać emocje z twarzy męża. Z Martą poszło jej znacznie łatwiej. Dziewczyna wyglądała na rozanieloną. Może nawet rozochoconą. Cokolwiek mówiła wtedy do Piotra, z pewnością miało to cechy flirtu. Zdjęcie wyglądało na zrobione z ukrycia. Lila oceniła, że jego autor musiał zaszyć się za żywoplotem odgradzającym ich dom od posesji sąsiada.

– Ta pizda niedawno przysłała do nas pod jakimś gównianym pretekstem – próbował się tłumaczyć zaskoczony Piotr.

– To znaczy?

– Mówiła, że chce się z tobą spotkać, ale moim zdaniem miała pewność, że nie zastanie cię w domu. Byłaś na treningu zumby, o czym doskonale wiedziała. To znaczy mogła wiedzieć, przecież codziennie ze sobą rozmawialiście – uściślił. – Dostawiała się do mnie. Chwyciła mnie za rękę. Była nachalna – powiedział i skrzywił się z niesmakiem.

– Co było potem?

– Jak to co? – obruszył się Piotr. – Kazałem jej spadać. Nie wpuściłem do środka. Zatrzasnąłem drzwi przed nosem – powiedział Piotr z autentycznym oburzeniem.

– Kiedy to było?

– Kilka dni temu. Nie pamiętam dokładnie.

– I co, w ferworze przygotowań do wyjazdu zapomniałeś mi o tym wspomnieć? – spytała Lila z wyrzutem. Ale jej złość osłabła. W tych okolicznościach to zdjęcie mogło być kolejną próbą skłócenia jej z mężem.

Piotr podrapał się po brodzie.

– A co miałem ci powiedzieć?

– Że ktoś, kto podaje się za moją koleżankę, jest zwykłą zdzirą. To chyba proste.

– Ta cała Marta... – wtrąciła Aleks. – Czy to czasem nie ona namawiała cię do wzięcia udziału w tym radiowym konkursie? Czy to przypadkiem nie ona złapała wówczas swoją ulubioną radiostację? Już wtedy, jak mi o tym opowiadałaś, jakoś mi to wszystko śmierdziało. Ta cudowna wygrana – skwitowała Aleks z ironią. – Te zbiegi okoliczności.

– Marta nie miałyby forsę, żeby coś takiego zorganizować. Ani forsę, ani możliwości – powiedziała Lila, ale bez przekonania. Targały nią wątpliwości. – Niedawno zaciągnęła kredyt na mieszkanie.

– Może ktoś pomógł jej go szybciej spłacić – odezwał się milczący do tej pory Antoni. – Zamiast to teraz roztrząsać, któreś z nas powinno się tam wspinać – powiedział i wskazał pomalowaną na żółto drewnianą drabinę, która była dostawiona do ściany. Podszedł do niej.

Za jej pomocą można było przedostać się na antresolę. Z tej perspektywy, stojąc na dole, trudno było stwierdzić, co znajduje się na górze. Pomieszczenie musiało być niewielkie. Od dachu, który podpierała okrągła belka kalenicowa, podłogę antresoli dzieliła wąska przestrzeń. Mogłoby się tu zmieścić co najwyżej kilkuletnie dziecko. Dorosły musiałby się przemieszczać na klęczkach.

– Ja tam wejść – zaproponowała Aleks.

Masywna belka była jedną z wielu, które tworzyły podłogę antresoli. Piotr przystawił do niej drabinę, a Aleks szybko się po niej wspięła. To, co zastała na górze, zupełnie ją zaskoczyło.

Antresola przypominała trójkątną wnękę oświetloną przez sznur kolorowych lampek. Stało tam tylko wielkie łóżko, dosunięte do okna, nieproporcjonalnie duże na tak małej przestrzeni. Na jego środku, na żółtej, starannie wyprasowanej pościeli z aplikacją SpongeBoba, leżały kolejne wycinki prasowe i dwa zdjęcia.

Aleks przeczołgała się do łóżka i przyjrzała leżącym tam rzeczom. Zaczęła od największego zdjęcia. Dziewczyna nie rozumiała, do czego mogłoby ono

nawiazywać ani kogo mogłoby przedstawiać. Wyglądało na to, że zostało zrobione jesienią w którejś z popularnych kawiarni. Wszystkie miejsca przy stolikach były zajęte. Klienci zostali uchwyceni przez obiektyw w momencie, kiedy jedli ciastka albo pili kawę. Ot, niczym niewyróżniający się moment codzienności. Aleks przebiegła raz jeszcze wzrokiem po każdej z tych twarzy, ale wszystkie wydawały jej się tak samo obce.

Odłożyła zdjęcie na pościel i spojrzała na drugą fotografię, zrobioną tym razem na placu zabaw. Pośród kilku obcych natychmiast rozpoznała dwie osoby. Obiektyw kamery uchwycił siedzącą na ławce Lilę i bawiącego się w piaskownicy Adasia. Chłopca dzieliło od matki jakieś pięćdziesiąt metrów. Zamyślona Lila nie zauważyła, że nad jej dzieckiem pochyła się postać ubrana w czarną kangurkę. Jej twarz była dobrze ukryta pod naciągniętym na głowę kapturem.

Adaś przyglądał się temu komuś ciekawie. Na zdjęciu był niewiele młodszy niż teraz. Miał na sobie ciepłą, polarową kurtkę, którą dostał od Aleks na drugie urodziny, więc zdjęcie zostało zrobione dwa, może trzy miesiące temu.

Aleks nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. To tak, jakby porywacz już wtedy sygnalizował, że wkrótce zabierze Adasia. Kpił z nich, pokazując, że będzie to takie proste, jak ta próba zbliżenia się do niego na placu zabaw.

Rozmyślenia Aleks przerwał dobiegający z dołu głos siostry.

– Co tam jest? Co znalazłaś?

Odłożyła zdjęcie na łóżko.

– Zaraz zejść – odpowiedziała i sięgnęła po plik wycinków prasowych. Przekartkowała je, ograniczając się do czytania nagłówków i pierwszych kilku zdań artykułów, do których nagłówki się odnosiły. Aleks nie chciała się w nie teraz zagłębiać, tym bardziej że w zdecydowanej większości pamiętała ich treść. Miesiącami, począwszy od czternastego lutego dwa tysiące dziewiętnastego roku, skrupulatnie śledziła wszystko to, co dotyczyło Stasia Sowińskiego.

TRAGEDIA W DRODZE DO SZKOŁY

Wielogodzinne poszukiwania zaginionego od dwóch dni Stasia S. (†9) miały wczoraj swój najtragiczniejszy finał. Chłopczyk, uczeń trzeciej klasy szkoły podstawowej w Puszczykowie, jak zawsze o poranku wyszedł do szkoły oddalonej o kilometr od domu.

Jednak nigdy nie dotarł na miejsce. Jego ciało znalezione w przydrożnym rowie nosiło ślady licznych urazów i złamań. Przykryte było liśćmi i gałęziami. Co istotne, znaleziono je w miejscu oddalonym o kilka kilometrów od trasy prowadzącej z domu do szkoły.

Z uwagi na dobro śledztwa policja nie ujawnia dalszych szczegółów.

Niewykluczone jednak, że dziecko zostało potrącone przez samochód, a sprawca uciekł z miejsca zdarzenia, nie udzieliwszy chłopcu pomocy.

Wszystkie osoby, które dnia 14 lutego w godzinach między 6:30 a 7:30 przejeżdżały trasą B14, łączącą Puszczykowo z Rogalinkiem, i mogą pomóc w ustaleniu przebiegu wydarzeń, proszone są o kontakt z najbliższą jednostką policji.

ZABÓJCA CHŁOPCA NADAL NIEUCHWYTNY

Tym razem litery wirowały Aleks przed oczami. Miała już dość grzebania w swojej głowie, w której nadal przechowywała te wszystkie okrutne wspomnienia i nieodpokutowane winy. Z dwustronicowego tekstu wychwyciła więc tylko pojedyncze zdania.

Przeprowadzona w tym tygodniu sekcja zwłok wykazała, że znalezione na poboczu drogi dziecko zmarło wskutek krwotoku wewnętrznego. Liczne złamania kości udowej, przedramieniowej, a także złamanie podstawy czaszki dowodzą tego, że niezidentyfikowany jak dotąd pojazd wjechał w chłopca z dużą prędkością.

Aleks zacisnęła powieki, ale zmusiła się do tego, by przeczytać kolejne zdanie.

Zlokalizowano właściwe miejsce wypadku, znajdujące się na innym odcinku drogi B14.

Pracujący na miejscu ekspert traseologii zabezpieczył ślady hamowania pozostawione przez opony pojazdu należącego do domniemanego sprawcy. Przeprowadzone badania obejmą identyfikację źródła śladu, więc biegli będą w stanie ocenić, od

jakiego rodzaju, modelu i jakiej marki opon pochodzą dostarczone ślady.

Oprócz śladów hamowania na miejscu ujawniono krew ofiary, odpryski farby, a także mikroskopijne elementy stłuczonego reflektora.

POLICYJNY TROP SIĘ URYWA

Aleks przejrzała pobieżnie artykuł, zatrzymała się tylko na jednym zdaniu.

Wyniki badań eksperta traseologii nie są rozstrzygające.

Dziewczyna dobrze wiedziała, że nie były. Ani wtedy, ani później. Ani te wyniki, ani żadne inne. Ona i jej rodzina nadal nie odpowiedzieli przecież za to, co zrobili temu dziecku.



Chwilę później Aleks zeszła z antresoli ze zdjęciami i plikiem wycinków prasowych w rękę. W milczeniu przekazała je ojcu, który stał u podnóża drabiny. Lila i Piotr natychmiast wspólnie pochyliłi się nad tymi materiałami.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała, wskazując na pierwsze zdjęcie. – Poznacie to miejsce? Albo któregoś z gości?

– To kawiarnia U Kostusiakowej. – Lila zmrużyła oczy i przesunęła palcem po charakterystycznym logo umieszczonym na dachu budynku. Przedstawiało gigantycznego lwa trzymającego wafelek z lodem. – Rozpoznacie kogoś?

Piotr przyjrzał się zdjęciu w skupieniu i pokręcił głową. Twarz Antoniego pozostała nieprzenikniona. I tylko jego palce zaciskające się na krawędzi fotografii zdradzały, że ktoś na tym zdjęciu wzbudził w nim jakieś emocje. Strach albo poruszenie. Ewentualnie rozczarowanie. W przypadku Antoniego trudno było to zdefiniować.

– Tato, rozpoznajesz kogoś? – spytała Lila, zauważając zmianę w zachowaniu ojca.

– To Alina, kobieta, z którą się kiedyś spotykałem – przyznał się Antoni ze wstydem, wpatrując się w siedzącą przy stoliku blondynkę. Miała około pięćdziesiątki. Była zadbana i atrakcyjna. A przede wszystkim zmysłowa

w jakiś nienachalny sposób. Nigdy nie przedstawił tej kobiety swoim córkom. Nie zdążył, bo krótko po tym, jak ją poznał, zniknęła z jego życia.

Nie czekając, aż córki i zięć skończą przeglądać plik przyniesiony przez Aleks, Antoni odłączył się od reszty. Stanął pod zwisającą z sufitu kamerą, której diodka wciąż mrugała zielonym pulsującym światłem. Wszystko, co dotychczas powiedzieli, zostało zarejestrowane. Każdy ruch i każde słowo, które tutaj padło.

– Boże, nie zauważyłam go. Nie mam pojęcia, skąd on się tam wziął.

Słowa jego starszej córki dobiegały gdzieś z oddali. Antoni domyślał się, że Lila komentowała któreś ze zdjęć. Nie miał pojęcia, co na nim było.

– On? Czyli wiesz, kto to? Wiesz, kim był?

Tym razem głos należał do młodszej córki.

– Nie. Nie spuszczałam Adasia z oczu.

– Chyba jednak to zrobiłaś.

– Może się zamyśliłam. Jeśli tak, to tylko na chwilę.

– Jak widać, wystarczyła, żeby ktoś się do niego zbliżył. Próbował chwycić go za rękę.

– Przestań mnie ciągle osaczać i oskarżać. Przestań!

Cisza.

– Przepraszam.

Głos, dotychczas rozeźlony, teraz był pełen skruchy.

– Nie chciałem...

Głosy się zmieniały. Przenikały. Łączyły w jedno.

A w końcu zupełnie się zatarły.

Antoni nigdy nie miał podzielności uwagi, a teraz głowę zaprzętał mu tylko jeden cel. Nie odrywając wzroku od migającej diodki, usiadł na jedynym krześle, które nie było osłonięte prześcieradłem. Stało naprzeciwko kamery.

Usiadł na nim, zaciskając dłonie na jego plastikowym podłokietniku.

– Tylko ja za to odpowiadam – wyznał. Mówił głośno i wyraźnie. – Tylko ja odpowiadam za śmierć tego chłopca, Stasia Sowińskiego.

Kiedy wyznawał swoją winę, zamocowana na kamerze dioda mrugała szybciej niż dotychczas.

Rozdział 18

wtedy/luty 2019

Antoni najlepiej czuł się wtedy, gdy każdy jego dzień układał się według określonego schematu. Rutyna zapewniała mu poczucie bezpieczeństwa. Wytyczała stały rytm pracy i organizowała czas przeznaczony na odpoczynek. Zmiany i odstępstwa od normy męczyły go, szybko uszczuplając zasoby jego energii. Zbyt dużo zmarnował jej przy Edycie, której działania zawsze dyktowane były niczym nieskrępowaną wolnością. Pozwalał jej na to, wbrew sobie, aż któregoś dnia zupełnie stracił żonę. Wraz z jej odejściem systematycznie tracił też obie swoje córki, które coraz bardziej wymykały się spod jego kontroli.

Nigdy nie potrafił ich okiełznać, a w szczególności Aleks. Jego młodszej córki, tak jak jej matki, zawsze było wszędzie pełno. Notorycznie pakowała się przez to w kłopoty. Już w przedszkolu bywała nadpobudliwa i głośna. Ale ani psycholog dziecięcy, ani neurolog, ani pediatra po wielu godzinach obserwacji i szczegółowym wywiadzie nie stwierdzili u niej żadnych zaburzeń. „Żywe srebro”, określenie, które podobno definiowało Aleks, dla Antoniego było niezrozumiałe i dość męczące. Jednak taką ją akceptował. Jego córka taka już po prostu była.

Mężczyzna szybko zauważył, że Lila ma na siostrę większy wpływ niż on sam. Pozwolił jej więc, by przejęła jego wychowawcze obowiązki. Samolubnie wolał nie wiedzieć na ten temat zbyt wiele. Dbał o swoje córki tak, jak potrafił. Tym razem, od czasu odejścia żony, sam jednak potrzebował dyscyplinującej go i porządkującej jego życie rutyny, więc do tego wrócił. Dziewczynki, wspierane przez dwie ciotce i nauczycielki w szkole, jakoś sobie radziły. A przynajmniej tak mu się wydawało. Nim się spostrzegł, każda z nich dorosła i miała swoje życie, w którym mało było miejsca na ciepłe relacje

z ojcem. Od odejścia Edyty, a w zasadzie jeszcze dużo wcześniej, między nim a jego córkami coś się nieodwracalnie zmieniło. Wygasło.

Zgodnie ze stałym zwyczajem i tym razem Antoni wstał dwie godziny przed planowanym wyjściem do pracy. Tak jak zawsze wziął gorący prysznic, zjadł dwa tosty z serem i podsmażone na patelni kiełki fasoli mung. Popił je mocną, gorzką herbatą. Z parującą w rękę filiżanką usiadł w swoim ulubionym fotelu i uruchomił w telefonie aplikację randkową SeniorDate. Cenił sobie dyskrecję, jaką ta forma randkowania mu zapewniała. I w tym przypadku pewna schematyczność i porządek pozwalały mu na lepsze budowanie więzi z kobietami. Każdy z profili wpasowywał się w określone kategorie, co oszczędzało mu wiele czasu i wysiłku.

Czego szukam? Co mogę zaoferować?

Jaki bagaż doświadczenia ze sobą niosę?

Jak wyglądam? Gdzie pracuję?

Jak bardzo lubię seks? Ile razy w tygodniu?

W jakich konfiguracjach?

Kim tak naprawdę jestem?

Kim?

Antoni dobrze wiedział, że odpowiedzi na te pytania od czasu do czasu fałszowała próba przedstawienia swojej osoby w jak najlepszym świetle. Ale akceptował to, bo w pewnym sensie on też w podobny sposób prezentował siebie. Dodawał szczyptę więcej, niż w rzeczywistości miał do zaoferowania. Dotyczyło to zarówno opisu, jak i zdjęć. Tym razem w ciągu kilkunastu godzin jego profil odwiedziło dziewięć kobiet, a dwie z nich zostawiły mu prywatne wiadomości.

Przeczytał je, ale na żadną nie odpowiedział. Jeszcze nie. Kolejny raz odwiedził profil Aliny i ponownie obejrzał jej zdjęcia. Dotychczas nie kręciły go kobiety, które od razu pokazywały za dużo. Nie lubił zdjęć, na których dekolty sięgały prawie pępka, a krocze ledwie zasłaniały skąpe spódniczki. Kobiety pięćdziesięcio- i sześćdziesięcioletnie potrafiły być cholernie napalone i zdesperowane. Czasami, kiedy eksponowały w ten sposób swoje zwiotczałe albo podpuchnięte ciało, wydawało się to wręcz niesmaczne.

Ale z Aliną było inaczej. Ta kobieta wzbudzała w nim coś, co dawno było uśpione. Podniecenie. Nie czuł go od lat. Tym razem też poczuł przyjemne

pulsowanie w kroczu. Odstawił filizankę, rozpiął rozporek i wsunął dłoń, by rozładować narastające tam napięcie.

Wiem już, co masz w środku. Seksowny, inteligentny, szarmancki. A jaki jesteś poza tym wirtualnym światem? Kiedy mnie wreszcie dotkniesz? Tu i tam ;) Wszędzie...

Stygnę...

To kiedy się przekonam, jaki jesteś?

No kiedy?

Antoni przeczytał wiadomość kilkakrotnie, zawsze tak samo chłonąc znaczenie każdego ze słów.

Świntuszysz. Odpowiedział, z ręką nadal wsuniętą w spodnie. Fantazjował o tym, co mogłoby się wkrótce wydarzyć.

Może w niedzielę. Wtedy nie pracuję. Co powiesz na kawę w Czarnym Mleku? Może o siedemnastej?

Przesunął palcem nad „wyślij”. Niebieski znaczek w prawym rogu informował go, że wiadomość została dostarczona.

I wtedy, na trzy minuty przed godziną siódmą, kiedy wpatrywał się w Alinę, ubraną w kusą sukienkę, na wyświetlaczu jego telefonu pojawiło się imię jego młodszej córki i jej zdjęcie. Antoni zmarszczył brwi, bo żadna z jego dziewczynek nigdy nie dzwoniła do niego o tak wczesnej porze. Wyjątkiem były sytuacje, w których Aleks gorączkowo potrzebowała jego pomocy, a nie mogła się zwrócić do Lili. Takich sytuacji nie było w jego życiu wiele. Jedna, najwyżej dwie.

Mężczyzna wyciągnął rękę ze spodni i przesunął palcem po wyświetlaczu. Przyspieszony oddech Aleks i odgłosy, które niosły się w tle, sprawiły, że Antoni szybko oprzytomniał. Wiedział, że nie jest dobrze. Bez wątplenia wydarzyło się coś bardzo złego.

– Nie wiem, co robić, tato – usłyszał głos córki. – Chyba go zabiliśmy. Tego chłopca.

Mężczyzna poczuł galopujący w skroniach puls. Dawał zawsze o sobie znać w sytuacjach, które wymykały się spod jego kontroli. Odpowiadając córce, nie dał po sobie poznać, jak bardzo jest przerażony.

– Gdzie jesteście? – zapytał i usłyszał, że głos mu jednak zadrżał. Odchrząknął. – Nic wam nie jest? – Odzyskał dawny rezon.

– Nie słyszałeś? Nie... Co robić... – Aleks połykała słowa. – Ten... Chyba umiera.

– Uspokój się i powiedz, co się dzieje. Po kolei.

Aleks opowiedziała, chaotycznie i w skrócie, ale jej przekaz był dla niego zrozumiały. Lila prowadziła samochód bez prawa jazdy. A odciski palców Piotra, który sporo wypił tamtego wieczoru, znajdowały się nie tylko na kierownicy. Były na klamce drzwi po stronie kierowcy i na skrzyni biegów. Wszędzie. Kilka minut temu, kiedy wracali z czyjejś urodzinowej imprezy, jego starsza córka potrąciła dziecko. Na pustym poboczu przeprowadzała właśnie jego resuscytację.

– Jest przytomny? – spytał mężczyzna. – Ten chłopiec.

– Nie wiem.

– Z jaką prędkością jechaliście?

– Nie wiem, tato... – Aleks odparła ze zniecierpliwieniem. – Czy to teraz ważne? Koło setki. Kłóciłyśmy się.

– Oddycha?

Dobiegające ze słuchawki szuranie sugerowało, że Aleks właśnie gdzieś się przemieszczała. Jej urywany oddech świszczał.

– Nie wiem. Krwawi. Bardzo krwawi. Z ust też. I jest taki blady... Boże, blady jak kreda... I... Jego noga... – Aleks umilkła.

– Wszystko będzie dobrze – skłamał Antoni. – Poradzimy sobie. – Podobnymi obietnicami karmił często właścicieli swoich pacjentów. Nie chciał odbierać im nadziei. I faktycznie zawsze walczył, dopóki nie wykorzystał wszystkich dostępnych mu środków. – Tylko zabierzcie go z pobocza – dodał rzeczowo. – Natychmiast. Ktoś was tam widział?

– Nie. Nie wiem... – W słabym głosie Aleks słychać było wątpliwość. – Chyba nie.

Antoni uruchomił jedną z aplikacji w swoim telefonie. Zainstalował ją już jakiś czas temu, kiedy, zaniepokojony ciągłym znikaniem Aleks z domu w weekendy, chciał wiedzieć, gdzie jest jego córka. Za pomocą iTracka zawsze z dokładnością do dwóch, trzech metrów lokalizował miejsce jej pobytu. Aplikacja wskazywała, że w tej chwili telefon Aleks logował się w Puszczykowie, na wjeździe do miasteczka. Zakładając, że natychmiast

wsiądzie do swojego samochodu i ruszy w drogę, mógł dotrzeć na miejsce za dziesięć minut.

– Zaraz będę. Za jakieś czterysta metrów, po lewej stronie od miejsca, w którym teraz jesteście, będzie taka leśna wnęka. Czekać tam na mnie. Schowajcie się za drzewami. Z nikim nie rozmawiajcie. Nikogo innego nie proście o pomoc – polecił.

Jeśli Aleks była zdziwiona tym, skąd ojciec znał ich lokalizację, nie dała tego po sobie poznać.

– Oni się nie zgodzą – wyszeptała Aleks. – Piotr chce go zawieźć do szpitala.

W głowie Antoniego szybko przesuwały się kolejne scenariusze. Żaden z nich nie zakładał szczęśliwego rozwiązania. Były tylko te, które w ostatecznym rozrachunku wyrządzały mniejsze zło.

– Wybij im to z głowy – nakazał córce. – Wiesz, co wtedy z nimi będzie...

Aleks milczała.

– Jeśli nawet ten mały przeżyje, a policja uwierzy, że Lila nie prowadziła, to Piotr pójdzie siedzieć – kontynuował ojciec. – Przynajmniej na kilka lat. To całkiem możliwe. A jeśli uwierzą, że to ona wtedy siedziała za kierownicą bez prawa jazdy, to twojej siostrze i tak grozi kara więzienia. A jeśli to dziecko nie przeżyje, to... – Urwał. – Nie ma dobrego rozwiązania, jeśli to wyjdzie na jaw. Nie pozwól im na to!

Antoni czekał na reakcję córki. W tle słyszał zduszony głos Lili, która kazała Aleks przerwać połączenie.

– Nie rób tego! Nie rozłączaj się! – krzyknął do słuchawki. – Zmuś ich do tego, by zjechali tam, gdzie ci mówiłem. Chcę was słyszeć. Zawiozę to dziecko do szpitala. Zadbam o wszystko. Powiedz im. Zadbam o to – powtórzył ochrypłym głosem, a jego słowa brzmiały jak ponura obietnica.



Antoni włożył tylko kurtkę i buty. Z telefonem przytkniętym do ucha pośpiesznie wsiadł do samochodu. Uruchomił silnik, podłączył słuchawki i wyjechał z garażu. Momentalnie włączył się do ruchu. Trasę, która powinna mu zająć przynajmniej dziesięć minut, pokonał szybciej. W tym czasie głowę

wypełniała mu tylko jedna myśl – zrobi wszystko, byle tylko ocalić swoje dziewczynki.

Z biegiem lat coraz bardziej docierało do niego, że zawiódł. Jako ojciec i mąż. Jako mąż nie powinien był tolerować jawnego łajdaczenia się małżonki. Jej kolejnych zdrad, których notorycznie się dopuszczała, kiedy byli jeszcze razem. Nie powinien przymykać oka na jej zupełne ignorowanie dziewczynek. Oziębłość wcale nie była najgorszą krzywdą, jaką wyrządzała im ich matka. Edyta nie tylko nie przytulała swoich córek. Zamiast z nimi rozmawiać, zamiast ich słuchać albo się z nimi bawić, wydawała im komendy, a każda niesubordynacja córek kończyła się ostrą reprimendą. Właściwie już od samego początku Edyta wydawała się znużona rolą matki. Antoni nie powinien znosić jej wiecznych ucieczek z domu – do koleżanek, kochanków, na zakupy. Robiła to, byle tylko z nimi nie być. Nienawidził tego w swojej żonie, a jednak jako ojciec popełnił dokładnie ten sam błąd. Uciekł, stale znikał, choć w zupełnie inny sposób niż jego żona.

Opuścił swoje córki. Urywał się do lecznicy. Celowo ciągle brał nadgodziny. Tłumaczenia o konieczności łatania w ten sposób domowego budżetu zawsze były wierutnym kłamstwem. Zostawił dziewczynki na pastwę losu. W tym, co liczyło się dla nich najbardziej – w codzienności i pojawiających się w niej sukcesach i porażkach – były same. Same w dylematach i nadziejach, w dokonywanych samodzielnie wyborach. Tym razem mógł się wykazać. Tym razem, pędząc na złamanie karku do tego umierającego dziecka, wreszcie mógł spłacić zaległy dług.



Samochód Piotra stał w wyznaczonym miejscu, ukryty między starą, uschniętą kaliną a sosnami. Kilkadziesiąt sekund wcześniej, mijając miejsce wypadku, Antoni widział już, że nie będzie mu łatwo usunąć pozostawione na miejscu wypadku dowody. Ślady hamowania, stłuczony reflektor, krzepnąca na asfalcie krew wciąż jeszcze były widoczne. Liczył jednak na to, że na tej dość rzadko uczęszczanej trasie ślady potrącenia przez jakiś czas pozostaną niezauważone.

Naprawdę wierzył, że wciąż jeszcze będzie szansa, by ocalić to dziecko. Ale kiedy zaparkował swój wóz obok samochodu Piotra i spojrzął przez szybę, stracił wszelką nadzieję.

Obawiał się, że chłopczyk już nie żyje.

Antoni wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi audi.

Aleks i Piotr byli wpatrzeni nieruchomo w jeden punkt – w siedmioletnie, może ośmioletnie dziecko o drobnej budowie. Z ich twarzy zupełnie odpłynęła krew. Lila na tylnym siedzeniu pochylała się nad chłopczykiem, który nie dawał żadnych oznak życia. Jej beżowa kurtka była umazana krwią. Zresztą Lila cała była nią ubrudzona.

– Co z nim? – zwrócił się do Lili.

– Nie czuję pulsu. Ale to nie musi nic znaczyć. Przecież już raz mi się udało... – starała się usilnie przekonać ojca, że to możliwe.

Lila kurczowo trzymała chłopca, jakby bała się go upuścić. Albo raczej oddać śmierci.

– Wiem, dziecko. Dlatego go zawiozę. Tylko mi go oddaj – poprosił Antoni i wyciągnął ręce po malca.

Lila odwróciła głowę w stronę ojca.

– Dokąd chcesz go zabrać? – Otarła mokry policzek wierzchem dłoni.

– Do szpitala – skłamał gładko. – Wiesz dobrze, że nie możecie się tam pojawić. Wracajcie prosto do domu – powiedział bardziej stanowczo. – Potem ustalimy, co dalej. A teraz ja się wszystkim zajmę.

– Tam na miejscu zostały ślady – burknął Piotr. Przeniósł wzrok na ojca Lili, a potem na wyłaniającą się zza drzew drogę. – Po prostu stamtąd odjechaliśmy.

– Mówiłem już. Wszystkim się zajmę – powtórzył Antoni jeszcze dosadniej.
– Daj mi go, dziecko – zwrócił się do córki jeszcze raz.

Lila spojrzała ojcu w oczy.

– Przysięgasz, że to zrobisz? Że go tam zawieziesz?

I wtedy Antoni skłamał po raz drugi. Zrobił to, bo miał do spłacenia swój dług. Tej myśli kurczowo się trzymał. Mniejsze zło. Wyższy cel. Tym tłumaczył swoją decyzję. Inaczej nie byłby w stanie zrobić nawet jednego kroku.



Od zawsze wolał działać w pojedynkę. Między innymi dlatego wybrał zawód weterynarza. Nie dość, że minimalizował on jego interakcje z ludźmi, to jeszcze pozwalał na całkowitą autonomię.

Dlatego i tym razem, kiedy prowadził samochód, a na tylnym siedzeniu leżał martwy chłopiec, Antoni wolał być sam.

Staś Sowiński – chwilę wcześniej mężczyzna odczytał to imię i nazwisko z przyklejonego do tornistra identyfikatora. Zapisane starannie na kartoniku słowa całą drogę pojawiały mu się przed oczami na przemian z twarzą dziecka. I choć chłopczyk miał zamknięte oczy, był na niej wypisany ledwie zauważalny grymas. Niepokój albo przerażenie. A najpewniej jedno i drugie.

Nim skierował się w przeciwną do szpitala stronę, sprawdził raz jeszcze, czy mały na pewno nie żyje. Ale dokładne oględziny tylko potwierdziły najgorsze, więc bez dalszej zwłoki Antoni ruszył w drogę. Ruch na trasie się wzmógł, ale tylko nieznacznie. Po drodze minęły go dwa samochody.

Ponownie zatrzymał się pięć minut później. Może upłynęło ich więcej. Czas inaczej się wtedy odmierzał. Antoni zaparkował na tej samej drodze biegnącej przez las, tylko na zupełnie innym odcinku, oddalonym od miejsca wypadku o kilka kilometrów. Upewniwszy się, że w zasięgu jego wzroku nie ma nikogo, zostawił swój samochód między drzewami, nie zjechał jednak z wybetonowanego podjazdu. Zatrzymał się naprzeciwko opuszczonego szlabanu służb leśnych.

Kiedy wynosił dziecko z samochodu, po policzkach płynęły mu łzy. Wiedział, że w najlepszym razie ocali swoje córki przed odsiadką i prawnymi konsekwencjami. Ale nawet jeśli miało się to udać, nic nigdy nie będzie już takie samo.

Zgubią ich wyrzuty sumienia. Zupełnie zniszczą. Tak jak śmierć tego dziecka zniszczy życie jakiejś rodziny, dla której Staś był całym światem.

Mniejsze zło. Wybierasz mniejsze zło, upomniał się w myślach, kiedy stawiał kolejne kroki, idąc do celu, który sobie obrał, ale jednocześnie okrutnie się go brzydził.

Śnieg przestał prószyc, a ten, który spadł niedawno, błyskawicznie topniał. Choć to jedno mu sprzyjało. Dzięki temu Antoni miał szansę uniknąć pozostawienia śladów opon i swoich butów.

Najgłębiej, jak mógł, ułożył chłopca w najbliższym rowie, a obok umieścił jego tornister. Cały czas był gotów schować się w swoim samochodzie, gdyby ktoś nadjechał. Droga nadal była pusta.

Ukrył dziecko pod zebranymi naprędce gałęziami i liśćmi, nie patrząc na znikającą pod nimi twarz. Działał jak w transie. Nad martwym dzieckiem liści

wciąż przybywało. Antoni rozgarniał je dłońmi, nabierał i upuszczał, stojąc nad krawędzią rowu. Powtórzył tę czynność kilkunastokrotnie, aż ciało Stasia Sowińskiego zupełnie zniknęło pod warstwą suchych liści.

Nawet codzienny kontakt ze śmiercią w najmniejszym stopniu nie oswoił go z tym widokiem.

W zasadzie Antoni nie wierzył, że policja kupi tę na poczekaniu spreparowaną wersję. Ale chciał zmylić trop. Próbował odwrócić uwagę od prawdziwego miejsca wypadku i zyskać trochę czasu. Tylko tyle. Na jakikolwiek drobiazgowy plan było już za późno.

Kiedy wsiadał z powrotem do samochodu, pomyślał, że okoliczności jednak mu sprzyjały. Śnieg zupełnie stopniał, a on pozostał przez nikogo niezauważony.

Był tylko ten głęboki rów i leżące w nim dziecko.

Rozdział 19

Winę wyznali pod czujnym okiem kamery. W tych okolicznościach wyznania brzmiały jeszcze gorzej.

Siadali na tym krześle po kolei. Po Antonim Piotr, potem Lila. A na końcu Aleks. Padające z ich ust słowa były bolesne, ale szczere, po raz pierwszy od dawna. Od trzech lat. Dotkliwie uzmysłowili sobie, że zawsze zasłaniali się jakimiś wymówkami. Nigdy nie zdobyli się na to, by odpowiedzieć za swoje czyny. Nawet wtedy, gdy lokalna telewizja wciąż nadawała błagalne apele rodziców szukających swojego synka. Milczeli, wiedząc, że Staś leży w tamtym rowie. A kiedy go w końcu znaleziono, także nie zdobyli się na to, by wyznać prawdę.

Tchórzostwo? Krycie najbliższych? Lęk przed więzieniem? Przed społecznym ostracyzmem? Czy to nimi kierowało wtedy i później?

Zawsze.

I do wszystkiego się przyznali, siedząc na tym krześle ze wzrokiem utkwionym w obiektyw kamery.



Kilka godzin później.

...Dwa tygodnie po wypadku pojechałem na komisariat z zamiarem złożenia zeznań. Chciałem się przyznać. Zdecydowałem się wziąć odpowiedzialność na siebie, w końcu to ja namówiłem wtedy Lilę, by prowadziła. Krążyłem kilkanaście minut przed budynkiem komisariatu, układając sobie tekst zeznania i zbierając się, żeby tam w ogóle wejść. I zrobiłem to, cholera, zrobiłem! Wszedłem do środka, usiadłem w poczekalni,

czekałem już na rozmowę z funkcjonariuszem. Byłem gotów... Byłem o krok... Ale powstrzymał mnie telefon.

To była Lila. Nalegała na spotkanie. Od tamtych kilkunastu dni było z nią źle. Do tego stopnia, że obawiałem się najgorszego. Brałem pod uwagę nawet to, że mogła sobie coś zrobić. Pojechałem więc do niej, ale miałem zamiar wrócić tu jeszcze tego samego dnia i złożyć zeznania.

Kiedy wróciłem do domu, moja narzeczona stała w otwartych drzwiach. Było jej zupełnie obojętne to, czy ktoś nas usłyszy albo zobaczy. Wręczyła mi test ciążowy. Powiedziała, że będziemy mieli dziecko i chce mi o tym powiedzieć, zanim zgłosi się na komisariat. Ta informacja w jednej chwili wszystko przewartościowała. Nie mogłem się przyznać i w tej sytuacji zostawić jej samej. A przede wszystkim nie mogłem dopuścić, żeby pogrążyła samą siebie...

Chociaż o nich powinienem wtedy zadbać... Tak mi się przynajmniej wydawało. Ale znów życie zweryfikowało wszystko. Myślałem, że to bierność mnie dobija, ale to zawsze było poczucie winy.

...Wciąż widziałam jego zakrwawioną twarz. Była wszędzie, odklejona od jego ciała – na butelce z sokiem, na ścianie, w parku i za oknem. Nawet na płytach chodnikowych. I na klatce schodowej. Pojawiała się tam jak powidok. Tylko że ona nigdy nie znikwała. Przemieszczała się razem ze mną. Czasem przybierała postać żyjącego Stasia z latawcem w ręku i tornistrem na plecach. Szliśmy wtedy ramię w ramię, krok w krok.

W kontekście jego śmierci myśl o aborcji wydała mi się tylko obrzydliwym potwierdzeniem tego, że jednak jestem morderczynią. Byłam nią i znów miałam nią zostać.

W którymś momencie, niezależnie od tragedii, podjęłam decyzję, że nie usunę ciąży. Chciałam je urodzić i zapewnić mu bezpieczne życie, nawet gdyby mnie mogło przy nim zabraknąć. Przecież sama tak dorastałam, bez matki. Chociaż to życie mogłam ocalić.

Piotr odwiódł mnie od przyznania się do zabicia Stasia. Zgodziłam się. Podjęliśmy złą decyzję. Teraz to wiem. Właściwie zawsze wiedziałam. Stchórzyliśmy, wierząc, że jakoś zbudujemy życie we troje. Ale nigdy temu nie podołaliśmy. Nawet Adaś nigdy nie połączył tego, co rozpadło się między nami te trzy lata temu...

...Ja jestem wszystkiemu winna. Przepraszam. Boże, przepraszam. Teraz to brzmi żałośnie, ale nie wiem, co innego mogłabym zrobić. Chcę tylko ochronić Adasia. On niczemu nie jest winien.

Zaczęło się od tego pierdolonego roweru i permanentnego wkurwu. Wkurw w pewnym momencie stał się pragnieniem, żeby uprzykrzyć życie swojej siostrze. Byłam samolubną, niedojrzałą zdzirą. Wszystko, co robiłam, robiłam na złość Lili. Na opak. Pała z matmy, zagrożenia z czterech przedmiotów na parę miesięcy przed maturą, ciągle zrywki z domu, szemrane typy, z którymi się bzykałam bez żadnej przyjemności, byle tylko ona zwracała na mnie uwagę. Kradłam jej sobą czas. Egoistka. Jeszcze to powinnam o sobie powiedzieć.

Może chciałam wymusić na siostrze, by była taka jak nasza matka. Obojętna i zimna. By mnie wreszcie zostawiła i wykrzyczała, że jestem dla niej tylko balastem. Przeczytałam to kiedyś o sobie w liście, który matka wysłała do ojca. Przy mojej matce faktycznie czułam się nikim. Ale na przekór wszystkiemu Lila udawadniała mi, że jestem dla niej ważna. Sprzątała te moje brudy. Dbała o mnie. Kochała mnie.

Winę za śmierć Stasia ponosi tylko ten, kto zapoczątkował to wszystko.

A to byłam ja.

Tylko ja...

Świt przyszedł niepostrzeżenie. Kobieta siedząca w niewielkim, ukrytym pod ziemią pomieszczeniu nie mogła sama zobaczyć budzącego się dnia. Pomocą służył jej mały tablet, na którym wyświetlał się obraz z kilkunastu kamer zlokalizowanych na zewnątrz i wewnątrz domu. Dzień zapowiadał się piękny, słoneczny, choć lekko mroźny. Idealny jako zapowiedź nadchodzącej śmierci.

Kobieta nie wiadomo który już raz oglądała fragmenty nagrań. Kilka godzin wcześniej zapisała je w chmurze. Straciła już rachubę, bo odtwarzała je w kółko niemal przez całą noc. Wracała do początku i uruchamiała je ponownie, karmiąc się słowami przeprosin i próśb. Czuła niesmak.

Po przesłuchaniu wyznań Antoniego, Piotra, Lili i Aleks kobieta podzieliła widok okienek, a potem uruchomiła je synchronicznie na czterech kanałach. Zeznania całej rodziny, ich nakładające się na siebie głosy zlały się w jeden drażniący uszy dźwięk. Taki sam wydają skrobiące tablicę paznokcie.

I tym w istocie były dla niej ich słowa. Zgrzytem. Bezsensowną paplaniną. Nieporadną próbą wyjaśnień. Aktem desperacji. W pewnym momencie myślała, że może zdoła ich zrozumieć albo częściowo im wybaczyć, ale nie potrafiła. Nigdy nie mogłaby się na to zdobyć. Gardziła nimi tak bardzo jak tymi niekompetentnymi policjantami, którzy nie potrafili nawet wytypować potencjalnych sprawców.

Odłożyła tabletki na metalowy stolik, na którym leżała złożona na pół kartka papieru i stały różne medykamenty. Leki i środki ochronne rozmieszczone były na metalowej tacce z wielką starannością. Z pietyzmem. Kobieta już taka była, skrupulatna i drobiazgową. Porządek obowiązywał nawet w tym mikroskopijnym pomieszczeniu o białych ścianach.

Pośród zgromadzonych tam przedmiotów były dwie strzykawki i igły. Był też wenflon, gaziki jałowe, płyn do dezynfekcji i jednorazowe rękawiczki. A przede wszystkim strzykawka z propofolem, po którą teraz sięgnęła. Podanie tego leku w formie iniekcji dożylną nie było przypadkowe. Chodziło o osiągnięcie jak najwyższego stężenia we krwi w jak najkrótszym czasie. Dziecko od kilkunastu godzin leżało na łóżku w tej samej pozycji. Było nieprzytomne.

Kobieta spojrzała na Adasia, szukając w nim podobieństw do dziecka, które kochała nad życie. Dziecka, dla którego sama była gotowa swoje życie oddać. Chłopcy byli jednak od siebie zupełnie różni. Staś był dzieckiem delikatnym, zarówno pod względem fizycznym, jak i charakterologicznym. Miał w sobie łagodność i pokłady empatii większe niż niejeden dorosły człowiek. Przeżywał krzywdę każdego najmniejszego nawet stworzenia. Ratował je i opiekował się nimi, tak jak jego dziadek. Był jednak wycofany i lękliwy. Kobieta nieraz bała się, czy delikatny chłopczyk poradzi sobie w tym brutalnym świecie. Adaś był pod tym względem zupełnie inny. Zanim kobieta skończyła opracowywać swój plan, długimi miesiącami obserwowała chłopczyka. Raz nawet udało się jej do niego zbliżyć. Zdążyła się zorientować, że mały jest bardzo ufny, a przy tym niepokorny i odważny, nad wyraz samodzielny, tak jak jego matka.

Poza propofolem kobieta planowała podać dziecku lidokainę. Ale znalezienie małej żyły i tym razem nie było łatwe. W miejscu niedawnych wkłuć pojawiał się granatowoczerwony krwiak. Od śmierci Stasia nic już nie przychodziło jej z taką samą łatwością jak wcześniej. A w szczególności zadania wymagające skupienia i precyzji.

Jednak druga próba zakończyła się sukcesem. Igła trafiła we właściwe miejsce. I tym razem podając dziecku podtrzymujący środek sedacyjny, kobieta wykorzystwała pulsoksymetr, by stale monitorować jego wydolność krążeniową.

Już niedługo.

– Już niedługo to się skończy – powiedziała do dziecka, gładząc jego główkę. Staś miał równie miękkie i aksamitne włosy jak Adaś. Kobieta wplotła w nie dłonie i zaczęła przesuwać po głowie chłopca. Najpierw delikatnie, a potem coraz szybciej i bardziej gwałtownie. Naciskała główkę dziecka, aż wreszcie trafiła na to miejsce. Dokładnie tu trzy lata temu na głowie Stasia było pęknięcie wywołane silnym urazem. Widziała je na własne oczy.

To było w Zakładzie Medycyny Sądowej w Poznaniu. Trzymała się kurczowo jakiejś metalowej poręczy, na wpół przytomna, tak zupełnie niegotowa na identyfikację Stasia. Wyobrażała go sobie samego, z pękniętą czaszką, umierającego w bólu i cierpieniach. Zostawionego na pastwę losu. Rozpacz stała się wtedy jeszcze większa.



Kilka minut później wydarzyło się to, na co kobieta czekała przez całą noc. Wszyscy czworo wyszli z domu i rozpierzchli się po działce. Dopiero wtedy nieco ochłonęła. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że na ekranie tabletu wyglądają jak mrówki umykające spod buta oprawcy. Kobieta wzięła dziecko na rękę i kolejny już raz pokonała kilkanaście schodów. Teraz było jej trudniej niż poprzednio.

Razem z nią po schodach stapała bowiem śmierć. Niemal czuła na sobie jej zimny oddech.

Potem zrealizowała kolejny punkt swojego drobiazgowo opracowanego planu. A kiedy już to zrobiła, wróciła tą samą drogą, którą szła przed chwilą. Zejście ze schodów okazało się dużo łatwiejsze.

Co czuła teraz, na chwilę przed tym, kiedy to ona miała zdecydować za Śmierć? Paradoksalnie czuła spokój. A poza tym miała poczucie wymierzonej właściwie sprawiedliwości. Raz jeszcze wzięła tablet do ręki i spojrzała na poruszające się pod bramą wjazdową sylwetki. Wiedziała, że po kolejnym kroku, który zaplanowała, życie, jakie tamci znali, bezpowrotnie się dla nich skończy. Jeśli przez ostatnie trzy lata przytłaczały ich wyrzuty sumienia, teraz już nigdy nie odzyskają równowagi.

Nim przeszła do ostatniego zadania, raz jeszcze wybrała obraz z kamery oznaczonej dziewiątką. Wykonany z metalu przedmiot tkwił bezpiecznie na swoim miejscu na murze.

Nienaruszony.

Wytarła o bluzkę wilgotne ręce i kolejny raz wprowadziła igłę pod skórę. Natychmiast przycisnęła tłok. Czy miała wyrzuty sumienia? Choćby przez chwilę? Czy żałowała?

Zbyt długo organizowała ten dzień, by mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Tak, była tego pewna.

Pokiwała głową, chcąc jeszcze bardziej przekonać samą siebie.

Tym razem ręka nawet jej nie drgnęła. Na to, co zaplanowała, musiała jednak poczekać. Śmierć nie zjawiała się od razu. Ale kiedy wreszcie nadeszła po kilkunastu długich minutach, nie przyniosła ze sobą bólu.

Serce przestało bić. Po prostu w którymś momencie się zatrzymało.

Rozdział 20

Sprzęt, za pomocą którego porywacz się z nimi komunikował, zniknął najprawdopodobniej wtedy, kiedy oni byli w domku na drzewie. Szafraniec i Antoni z młodszą córką bezskutecznie czekali kilka godzin na obiecany im powrót Adasia albo choć na jakikolwiek znak od porywacza, a kiedy wrócili do domu, jedynym śladem po ekranie projektora była tylko wąska szczelina. Najprawdopodobniej tu wsunął się ekran.

Wspólna decyzja w sprawie tego, co dalej, zapadła jednomyślnie, ale bez większego przekonania. Ustalili, że po zmierzchu kolejna próba przeszukiwania terenu źródłiska jest pozbawiona sensu. Jednak by zająć czymś produktywnym głowę, podjęli decyzję, że ponownie przeszukają dom, zanim zdecydują, co robić dalej. Zajrzeli do każdej książki, otworzyli każde drzwi, nie pominęli żadnej szpary. Sprawdzili wszystkie miejsca, nawet te, które wydawały się całkiem bez sensu.

W tym czasie noc wyparła dzień. I tylko niebo mieniło się miliardami maleńkich punkcików. Lila stanęła przy jednym z okien i, oparta dłońmi o szybę, wodziła wzrokiem za punktem, który niespiesznie przesuwał się do przodu. Ten oddalony o setki kilometrów samolot był jedynym znakiem toczącego się gdzieś w oddali życia. I w tej jednej chwili pomyślała, że nigdy już nie wróci do tego odległego świata i do życia, które zostawiła za tym płotem.

Wraz z nadejściem świtu nic się nie zmieniło. Ekran był nadal wsunięty w otwór, nie nadszedł żaden nowy komunikat, a Adasia nadal nigdzie nie było. Dotychczas nikt z rodziny nie natrafił na żaden ślad ani wskazówkę, która mogłaby do niego zaprowadzić. Miotali się między kolejnymi zakamarkami i piętrami, które pokonali już przynajmniej kilkanaście razy. Żadne z nich otwarcie nie przyznawało się do myśli, która coraz częściej pojawiała się w ich głowach.

Adaś nie żyje.

Kolejna decyzja zapadła, kiedy minęła siódma. Umysł, wycieńczony wielogodzinnymi poszukiwaniami i po nieprzespanej nocy, pracował coraz gorzej. Dotyczyło to wszystkich, a Piotra w szczególności. Ale to on wyszedł z propozycją sforsowania bramy i sprowadzenia pomocy. Tylko to przyszło mu do głowy.

– Nie widzę już innego rozwiązania. – Tymi słowami zakończył przedstawienie swojego planu.

Teść spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Naprawdę myślisz, że to się uda?

– A czego się boisz, tato? – Piotr przeniósł wzrok na swoją prawą rękę i zdarł z niej smartwatcha. Rzucił go na ławę. – Tego, że te pieprzone opaski zasygnalizują komuś, że nie gramy według jego zasad? One już od dawna nie obowiązują.

– Nie tego się boję – odparł Antoni. – Ale na mój gust stare audi faktycznie ledwie draśnię tę stalową bramę.

– Pora się przekonać – stwierdził Piotr kategorycznie. – Nie będę tu stał bezczynnie.

– Zróbmy to – zawtórowała Lila mężowi. – Spróbujmy.

W jasnym świetle, które wpadało do salonu, czarne cienie pod jej oczami stały się jeszcze bardziej widoczne.

– Jestem za – zgodziła się Aleks.

Nie czekając na aprobatę teścia, Piotr włożył kurtkę, z lewej kieszeni wydobył kluczyki od samochodu. Zacisnął je w dłoni. Swoje kroki skierował w stronę zaparkowanego na kamiennym podjeździe audi. Chwilę później dołączyli do niego Antoni i Lila bez Aleks.

Od bramy nadal dzieliła ją spora odległość. Uwagę dziewczyny zwrócił poruszający się za nią punkt. Był dość dobrze widoczny, bo jego kolor odróżniał się od monotonnego tła szarości i zieleni. Aleks widziała go już wcześniej, ten sam szpetny odcień wściekłego rózu. Lakierowany materiał połyskiwał na czyichś zgarbionych plecach. I tym razem wolno przemieszczał się za bramą.

– Proszę zaczekać! – wykrzyknęła, biegnąc. Kiedy dopadła do bramy, postać w różowej pelerynie jeszcze tam była. Stała nieruchomo z niewielką wiązką

chrustu na plecach, oddalona od Aleks o kilkanaście metrów. Przypatrywała się jej. Gdyby nie cukierkowa peleryna, którą ta kobieta nosiła, wyglądałaby jak upiór. Jej cera była ziemista, a policzki zapadnięte, powleczone woskową warstwą zwiotczącej skóry.

– Potrzebujemy pomocy. Ktoś nas tu przetrzymuje. Ktoś, kto porwał dziecko. Mojego siostrzeńca. Proszę nam pomóc – mówiła błagalnym tonem.

Tym razem Aleks była gotowa zrobić wszystko, absolutnie wszystko, byle tylko zatrzymać tę ukrytą pod peleryną staruszkę. Byle tylko nakłonić ją do pomocy.

Kobieta ruszyła powoli w jej stronę. Zważywszy na jej kruchą posturę, wydawała się zadziwiająco krzepka. Pod jej sięgającymi kolan kaloszami głośno szeleściły liście, pękały kolejne gałązki. Kiedy zbliżyła się na tyle, by Aleks widziała jej twarz, w oczach, które ostatnio wydały jej się martwe, zobaczyła żywe emocje. Ale były nieco inne, niż się spodziewała. Poza zwykłym zaciekawieniem Aleks dostrzegła w twarzy kobiety rozbawienie i ekscytację.

Im bliżej bramy była staruszka, tym bardziej widoczny stawał się szpiczasty garb wyrastający z jej pleców. Był umiejscowiony w okolicy lewej łopatki. Staruszka zatrzymała się przy jednym z kamiennych filarów, zachowując dystans kilku metrów.

– Proszę podejść. Proszę – zwróciła się do niej Aleks zachęcająco. Wyciągnęła z kieszeni telefon i trzymając go w zaciśniętej dłoni, przecisnęła go przez stalowe sztachety. Jej czujność nagle gdzieś się ulotniła. – Tutaj nie ma zasięgu. Nie możemy go nigdzie złapać. Proszę spróbować. Proszę zadzwonić pod numer alarmowy. Ja go wybiorę i pokażę, jak ponowić połączenie, jeśli nie uda się od razu. Wystarczy, że powie pani, że jesteśmy tutaj zamknięci. I że porwano dziecko. Dwuletniego chłopczyka. Rozumie pani?

Nim staruszka zareagowała, Aleks usłyszała za swoimi plecami przyspieszone kroki pozostałych. Kiedy się odwróciła, byli już tuż za nią. Uniesioną dłonią zasygnalizowała im jednak, że mają się wycofać i dać jej prowadzić tę rozmowę. Piotr wyrywał się jednak do przodu.

– Co się dzieje? – zwrócił się do Aleks.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Daj mi chwilę.

Piotr niechętnie zamilkł. Staruszka zrobiła kilka kolejnych kroków w stronę bramy, ale zamiast odpowiedzieć dziewczynie, uniosła obie dłonie i zaznaczyła nimi w powietrzu okręgi. Potem przecięła je palcem i kilkakrotnie ponowiła ten gest. Na jej twarzy pojawiło się skupienie, ale nie zniknął tamten nieznośny grymas. Z bliska wyglądała jeszcze gorzej. Rysując kolejne okręgi, wyginała usta, jakby próbowała coś powiedzieć, ale nie padły żadne słowa. Rozdarte w dwóch miejscach szare dresy miała niewprawnie zacerowane i brudne od mchu i ziemi. Płamy były zaschnięte, wgryzały się w materiał, wyglądały na stare.

– Ona jest głucha albo słabo słyszy – stwierdził Antoni.

– Czy pani mnie słyszy? – dopytywała się Aleks.

Wpatrująca się w nią kobieta wyglądała na speszoną. Zrobiła krok do tyłu i uważnie patrzyła na usta Aleks, która powtórzyła wolniej i jeszcze wyraźniej.

– Czy pani mnie słyszy?

Kobieta pokręciła głową. Potem spuściła wzrok. Aleks cofnęła wtedy dłoń i w okienko wiadomości swojego telefonu wpisała kilka słów.

Jesteśmy uwięzieni. Porwano dziecko. Nie ma tutaj zasięgu. Proszę zadzwonić pod numer alarmowy 112. Tu jesteśmy. Swarożyce 23.

Aleks ponownie przesunęła telefon przez sztachety. Kobieta podniosła wzrok i spojrzała bezmyślnie na wyświetlacz. Nawet nie próbowała odczytać wiadomości. A może nie potrafiła. Jej martwe spojrzenie utkwione było w jednym punkcie.

Wtedy do sztachet podeszła Lila. Oplotła je palcami i zwróciła się do kobiety. Mówiła bardzo głośno i wyraźnie.

– Wybiorę numer alarmowy. Proszę się połączyć, dobrze? Proszę dać komuś telefon i przekazać to, co mówiliśmy.

W twarzy kobiety coś wtedy drgnęło, przebiegł przez nią ledwie zauważalny cień. Kiwnęła głową i wysunęła rękę po telefon.

– Aleks, zostaw. Dam jej swój. – Lila chwyciła siostrę za rękę, chcąc, by cofnęła dłoń.

Aleks ściągnęła brwi.

– Przecież to nie ma sensu. Jak ona ma kogokolwiek zaalarmować przy użyciu telefonu?

– Zaufaj mi. Zresztą bateria zaraz ci padnie.

Lila wskazała na czerwoną ikonkę.

I choć Aleks nie rozumiała toku myślenia siostry, nie protestowała. Lila przesunęła rękę, wstukała numer alarmowy i położyła telefon na otwartej dłoni staruszki. Kiedy ich ręce się spotkały, Lila poczuła, jak bardzo szorstka i spękana jest skóra tej kobiety. Kiedy starowinka przechwyciła telefon, szybko cofnęła rękę.

– Czy jest gdzieś tutaj inny dom? – zapytał Piotr, stukając z impetem w sztachety. Chciał w ten sposób zwrócić na siebie uwagę staruszki. – W tym lesie, gdzieś w pobliżu?

Kobieta zrobiła krok do tyłu i wolną dłonią wykonała ten sam gest. Przynajmniej kilka razy narysowała w powietrzu okrąg.

– Czy w okolicy jest inny dom? – powtórzyła Aleks. Teraz kobieta na nią przeniosła swój wzrok.

Kiwnęła głową. Wskazała pozostałości po bunkrze, zasypane wejście i pokruszoną żelbetonową konstrukcję.

– To gruzowisko? – spytała Aleks, krzywiąc się. – Chodzi o zamieszkaną dom. Rozumie pani? O najbliższych sąsiadów. Czy może pani pójść do nich i tam poprosić o pomoc?

Na twarz staruszki wpełzł ten sam co poprzednio grymas. Przebijała przez niego satysfakcja albo ekscytacja. Tym razem jej usta wygięły się w mdłym uśmiechu. Zastygł na chwilę, a potem zgasł, i znów się pojawił, zupełnie jakby nie wywoływały go emocje, tylko niekontrolowany tik. Aleks poczuła wtedy przeszywający ją dreszcz.

Staruszka odwróciła się, wepchnęła telefon do kieszeni peleryny i odeszła. Z każdym kolejnym krokiem coraz szybciej oddalała się od bramy.

– O co ci chodziło? Przecież oddanie twojego telefonu zupełnie nie miało sensu. – Aleks spojrzała na siostrę z wyrzutem. – Jeśli faktycznie będzie chciała pomóc, to kogoś zaalarmuje, policję albo kogoś ze swoich sąsiadów. Ale nie wiem, odnoszę wrażenie, że z nią jest coś nie tak. Że ona wcale nie chce nam pomóc.

– Nie musi – powiedziała Lila. – Byle tylko nie wyłączyła telefonu.

Piotr rzucił żonie pytające spojrzenie.

– O czym ty mówisz?

– Wpisałam wiadomość i wysłałam ją do Magdy. – Lila przeniosła wzrok na siostrę. – Napisałam, że potrzebujemy natychmiast pomocy. Dodałam pinezkę z naszą dokładną lokalizacją. Jeśli staruszka choćby na chwilę złapie zasięg, wiadomość sama powinna zostać wysłana.



Mimo wszystko Piotr podjął próbę sforsowania bramy. Zgodnie z przewidywaniami teścia próba okazała się nieskuteczna. Zderzak audi pękł w kilku miejscach i cały się odkształcił, a brama pozostała nietknięta. Porzucili więc samochód i wrócili do domu, układając naprędce jakiś plan, byle tylko zająć czymś produktywnym głowę.

Od wejścia powitał ich pewien zapach. Unosząca się w salonie ledwie wyczuwalna nuta bergamotki. Aleks, Lila i Piotr mogliby jej w zasadzie nie wychwycić, ale Antoni natychmiast ją rozpoznał. Był wyczulony na ten zapach, bo przywodził mu na myśl pewne wspomnienia.

Nosiła go na sobie kobieta, którą kiedyś kochał. Wolał myśleć, że tylko zniknęła. Ale ściśle mówiąc, kobieta, którą przypomniał mu ten zapach, nie żyła od ponad pół roku.

Do tej pory nie potrafił się z tym pogodzić i zamiast zaakceptować jej śmierć, wolał myśleć, że wyjechała, a Antoniego zostawiła w stanie pewnego zawieszenia i z nadzieją, że kiedyś będzie można wznowić to, co się między nimi rodziło. Aż do teraz, kiedy wspomnienie o niej wraz z tym zapachem znów wdarło się do jego życia.

Rozdział 21

lipiec 2022

W miesiącach letnich, a szczególnie w weekendy, kawiarnia U Kostusiakowej przeżywała prawdziwe oblężenie. Nie inaczej wyglądało to dzisiaj. Wszystkie stoliki były zajęte. Rozpoczynająca się przy ladzie kolejka kończyła się zawijaszem na chodniku, kilkanaście metrów dalej.

Kobieta wybrała to miejsce celowo. Od jakiegoś czasu, który wymusiły na niej okoliczności, czyli śmierć dwóch najbliższych jej osób, jeszcze bardziej lubiła igrać z ogniem. Nie miała już nic do stracenia, a adrenalina związana z ryzykownymi zachowaniami zawsze ją nakręcała. W zasadzie to tylko ona trzymała ją jeszcze przy życiu. Szantaż, którego lada moment chciała się dopuścić, miał mieć miejsce tutaj, wśród tych wszystkich roześmianych i wyluzowanych ludzi.

Od razu zauważyła siedzącą przy stoliku zadbaną blondynkę. Podeszła bliżej i stanęła tuż za nią. Zajrzała jej przez ramię, zupełnie przez nią niezauważona. Nigdy nie lubiła kobiet takich jak ta. Kolejne operacje plastyczne, które miały im przywrócić młodość i podarować urodę, kryły samouwielbienie i duże kompleksy. Blondynka miała na sobie rozkloszowaną kremową sukienkę w kwiaty. Była zwiewna, w pełni zsynchronizowana z kokieteryjnymi ruchami swojej właścicielki. To akurat musiała przyznać – blondynka emanowała jakąś naturalną zmysłowością, której ona nigdy nie miała.

Kobieta przyglądała się jej jeszcze przez chwilę. Zauważyła, jak blondynka odblokowuje ekran swojego telefonu. Dostępu do jego zawartości broniło najbardziej trywialne hasło – cztery jedyńki.

Mając na sumieniu takie grzeszki jak tamta, ustawiłabym bardziej skomplikowany szyfr, pomyślała kobieta, a następnie zrobiła blondynce zdjęcie. Poza jej półprofilem sfotografowała także fragment kawiarni i siedzących

w niej gości. Przed tym też nie miała już żadnych oporów. Nie bała się tego, że ktoś podejdzie i powie, że nie życzy sobie, by kierowała na niego swój obiektyw.

Zrobiła zdjęcie, schowała telefon do torebki i zajęła jedyne wolne miejsce. Alina Słowikowska, bo tak nazywała się blondynka, spojrzała na gwałtownie odsuwające się obok niej krzesło i zajmującą je kobietę. Mogła być w jej wieku, po pięćdziesiątce. Jej srebrne włosy były proste i błyszczące, sięgały za ucho. Była ubrana schludnie, ale zachowawczo. Zapięta pod szyję biała koszula ze starannie uprasowanym kołnierzykiem nie kleiła się Alinie z wyobrażeniem tej nieznanym osoby, która chciała ją pogryźć. Spodziewała się raczej kogoś, kto byłby ucieleśnieniem bezwzględnej hetery, a z tej kobiety emanowała niepasująca do kontekstu tego spotkania łagodność.

I smutek.

– Czego chcesz? – zapytała Alina bez ogródek. Zdjęła okulary. Na jej twarzy malowały się złość i niepokój.

– Ubić interes. Korzystny dla nas obu – odparła kobieta. Położyła dłonie na stół i splotła je ze sobą. Były zadbane, ale nie wyrażały nic ponad schludną zachowawczość. Nie nosiła biżuterii, paznokcie miała krótko przycięte i niepolakierowane.

– Nie robię interesów z ludźmi, którzy mi grożą.

Kobieta palcem zebrała rozsiane na stole ziarenka cukru. Osypała je na spodek, na którym stała opróżniona do połowy filiżanka herbaty, którą Alina piła.

– Tym razem jednak powinnaś. Jesteś agentem ubezpieczeniowym, prawda?

Alina milczała, patrząc na kobietę z coraz większą pogardą.

– W zawodzie, jaki uprawiasz, lojalność i uczciwość stawiane są na pierwszym miejscu. Podobno. – Zaśmiała się drwiąco. – Czym więc były te wszystkie portale randkowe? Małym skokiem w bok od nudnej, ciepłej posadki? Czy prawdziwym źródłem utrzymania?

– Nie będę tego dłużej słuchać. – Alina usiłowała poderwać się z krzesła, ale kobieta ją powstrzymała. Ich zachowanie przyciągnęło kilka zaciekawionych spojrzeń. – Mów, czego chcesz. I kończmy tę farsę.

– Sprawdziłam cię. Twój profil. – Kobieta nachyliła się nad Aliną. – Naprawdę chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, na przykład ten twój obecny

kochaś, Antoni Pohl, bo chyba tak ten nieszczęśnik się nazywa – szepnęła jej do ucha.

Alina wciąż czuła na sobie spojrzenia. Chciała się zapaść pod ziemię. Od tej niekomfortowej sytuacji piekły ją policzki, a serce tłukło się w piersiach. Ostatnio niemal każda stresogenna sytuacja do tego doprowadzała.

– Jesteśmy w normalnym, szczęśliwym związku. I nic ci do tego.

Kobieta zaśmiała się kolejny raz, głośno i zgrzytliwie.

– I dlatego tutaj przyszłaś? Tylko po to, żeby powiedzieć obcej kobiecie, jakie masz czyste sumienie i szczęśliwe życie?

Policzki zapiekły Alinę jeszcze bardziej. Zdenerwowanie czuła także w czubkach palców. Schowała dłonie pod stół, by nikt nie zauważył, że drżą.

– Obiektyw Google to taka prosta aplikacja – ciągnęła kobieta. – Każdy może ją pobrać. Jak myślisz, czego się dzięki niej dowiedziałam?

Alina nie słyszała o tej aplikacji, ale faktycznie przyszła tu, bo miała swoje skrzętnie ukrywane grzeszki. Jedyne, czego teraz chciała, to jak najszybciej stąd wyjść. Ale nie mogła, dopóki nie przekona się, że zna zamiary tej kobiety, i nie nabierze pewności, że nie stanowi ona dla niej zagrożenia. Słuchała w milczeniu, czekając, aż jej rozmówczyni odstłoni wszystkie karty.

– Wyglądasz na zdziwioną. Wyłumaczę ci więc, na czym polega jej działanie. Załóżmy, że masz zdjęcie przedstawiające jakąś dowolną, interesującą cię rzecz. Załadowujesz je do tej apki, a ona porównuje je z dziesiątkami albo nawet setkami tysięcy podobnych do twojego przedmiotów, których zdjęcia zgromadzone są w galerii Google. Sama używałam jej kiedyś, szukając odpowiednika starego porcelanowego dzbanka, który mi się stłukł. Nie mam pojęcia, jaki algorytm się za tym wszystkim kryje, ale przekonałam się, że ta aplikacja tak samo skuteczna jest w identyfikacji osób. Przepuściłam twoje zdjęcie przez filtr tej aplikacji i jak myślisz, co się okazało?

Alina nie odpowiedziała. Kobieta widziała, jak wyciąga ręce spod stolika i nerwowo grzebie w torebce w poszukiwaniu gotówki. W pewnej chwili, kiedy Alina wreszcie wydobyła zmięty dwudziestozłotowy banknot, z torebki wysunęło się napoczęte opakowanie preductalu, leku nasercowego. Kobieta wiedziała, jakie ten lek ma działanie. Farmacja, a w zasadzie szeroko pojęta chemia, od lat była dziedziną, w której swobodnie się poruszała.

– Okazało się, że masz kilkanaście imion – powiedziała z satysfakcją, nie odrywając wzroku od leku. Wkrótce kartonik zniknął we wnętrzu torebki. –

Przybierałaś nowe imiona, a wraz z nimi nowe tożsamości, równie chętnie jak nowych kochasiów. Naliczyłam siedem działających niezależnie od siebie portali randkowych, na których byłaś. Czasem pod różnymi imionami publikowałaś to samo zdjęcie, tylko ze zmienionym tłem albo nałożonym na fotografię filtrem. Ciekawy zbieg okoliczności. Wyjaśnisz mi to?

Alina niczego nie chciała wyjaśniać. Wystarczyło, że tamta wie dostatecznie dużo, by jej zaszkodzić.

– Ile chcesz? Ile chcesz za to, żeby zniknąć? – zapytała i na spodku położyła banknot, płacąc za swoją kawę.

– Nie jestem łasą na forszę suką. Nie jestem taka jak ty. – Te słowa padły z ust kobiety wbrew niej samej, gorzkie i nieplanowane. Przychodząc tutaj, ze ściśle opracowanym planem działania, obiecała sobie, że będzie trzymała nerwy na wodzy. A jednak to zrobiła. Nie zapanowała nad sobą. Takie epizody przed śmiercią bliskich nigdy jej się nie zdarzały.

Alina odsunęła krzesło i wstała. Szybkim krokiem zaczęła się oddalać w kierunku zaparkowanego po drugiej stronie ulicy srebrnego citroëna berlingo. Nie mogła przemieszczać się tak szybko, jak by tego chciała. Serce nadal niespokojnie biło w piersi. Musiała nieco zwolnić, by wyrównać oddech.

– Wystarczy mi jedno – usłyszała Alina za swoimi plecami. Głos nieznajomej kobiety wślizgiwał się jej do ucha jak jadowity wąż. – Zostaw go. Dobrze ci radzę. Zostaw tego faceta w spokoju, a ja zapomnę. Nie prześlę informacji o twoich gierkach do pracodawcy, nie ośmieszę cię przed twoim kochaniem ani znajomymi, którym się nim tak chętnie chwalisz. Znajdziesz sobie kolejnego. Sprawnie ci to wychodzi. Werbowanie i rolowanie facetów. Całymi latami to robiłaś.

Alina odwróciła się, odblokowując pilotem samochód. Nie miała odwagi spojrzeć kobiecie w oczy. Czuła, że dłonie nadal jej drżą. Jedną wsunęła w otwartą torebkę.

– Nie zostawię go. – Nadal uciekała wzrokiem, ale w jej głosie słychać było determinację. – A jeśli nie przestaniesz mnie nękać, to wykorzystam to nagranie, by cię pogrążyć.

Z otwartej torebki Alina wydobyła telefon i pokazała go kobiecie. Na jego wyświetlaczu pojawiła się ikonka dyktafonu, pod którą migąło czerwone światełko. Kobieta zauważyła, że dyktafon zarejestrował ostatnie jedenaście minut.

Kurwa.

Tego kobieta też nigdy nie robiła. Nie uciekała się do tak niskich pobudek jak szantaż, nie klęła. Ale załoba wszystko zmienia, zwłaszcza jeśli towarzyszy jej paląca żądza zemsty i tęsknota. To najgorsze z możliwych połączeń.

– Jeszcze nie wiesz, do czego jestem zdolna – wysyczała.

– Ja? – Alina pierwszy raz zdobyła się na nieśmiały uśmiech. – Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Że cię nie rozpoznałam?

Alina otworzyła drzwi, uderzając nimi stojącą na krawężniku kobietę. Trafiła ją chyba w ramię, ale nie mogła być tego pewna, bo wszystko działo się zbyt szybko.

Nie czekając na jej reakcję, Alina włączyła się do ruchu. Mijała kolejne skrzyżowania, pokonywała kolejne ulice, dystansując się coraz bardziej od tego feralnego spotkania. Ale jeszcze długo nie mogła dojść do siebie.

Od jakiegoś czasu była zdana na łaskę i niełaskę swojego organizmu, który zaczął szwankować. Wystarczyło, że ktoś wytrącił ją z równowagi, a natychmiast dawała o sobie znać arytmia, na którą Alina się leczyła już od ponad dwóch lat. To także z tego powodu postanowiła nieco przystopować.

By się uspokoić, Alina starała się wytłumaczyć sobie, że ta kobieta nie mogła mieć żadnych dowodów poza zdjęciami i imionami. A to było niewystarczające, by Alinę pogrążyć. W ciągu ostatnich kilku lat faktycznie zmieniała tożsamość w zależności od tego, na którym z portali randkowych zakładała konto. Zdjęcia były jedyną prawdziwą informacją, którą o sobie podawała. Reszta była fikcją, próbą jej kreatywności, zwykle bardzo udaną.

W dużej mierze ta kobieta miała rację. Alina spotykała się z mężczyznami, kierując się tym, jak bardzo dany kandydat wydawał się jej majątny. Nie szukała sponsorów. Uwodzenie mężczyzn traktowała bardziej jak sport niż stałe źródło utrzymania. Nigdy nie odważyła się na żaden spektakularny przekręt, który ustawiłby ją na kilka ładnych lat. Spotykała się z mężczyznami, pozwalała im kupować prezenty, głównie nie takie znowu drogie błyskotki albo perfumy. Miała też swój ulubiony zapach – różę z bergamotką. Nigdy się z nim nie rozstawiała. Był jak jej druga skóra.

Z czasem, kiedy mężczyzna obdarzał ją większym zaufaniem, z jego grubego portfela wyciągała po kilka, kilkanaście banknotów, głównie stówek. Potrzebowała ich po to, by się udoskonalać. Nie czuła się dobrze w swojej

skórze, a z marnej pensji agenta ubezpieczeniowego nie mogła nic odłożyć. A kiedy osiągnęła swój cel, zawsze w porę się ewakuowała.

Nie obyło się oczywiście bez pewnych perturbacji. Pewnemu antykwariuszowi, z którym była zadziwiająco długo, ponad trzy tygodnie, udało się ją rozszyfrować. I choć w porę mu się wymknęła, musiała zmienić miejsce zamieszkania, miasto i imię. Tak na wszelki wypadek. W tamtym wcieleniu, piątym, była Eleną. Przez jakiś czas po przeprowadzce do Poznania odczuwała lęk. Ale skończyło się tylko na strachu, który przy Antonim coraz bardziej słabł, aż wreszcie zupełnie zniknął. Jako Alina czuła się bezpieczna. I dla jakiejś mściwej suki nie miała zamiaru zrezygnować z tego, co wreszcie osiągnęła.

Z nim wszystko było zupełnie inne. Lepsze. Łatwiejsze. Początkowo w ogóle się nim nie zainteresowała. Nie pasował do jej targetu – pustych krezusów i podtatusiałych bawidamków. Był zwyczajny, na pierwszy rzut oka nawet trochę smętny. Ale coś ich połączyło. Kiedy zaczęli do siebie pisać, Antoni wydawał się równie pogubiony jak ona. Ją skrzywdził kiedyś facet, jej własny toksyczny ojciec, który latami odzierał Alinę z poczucia wartości. To w zasadzie on zniechęcił ją do mężczyzn, których zaczęła traktować przedmiotowo. Antoniego zniszczyła kobieta. Jego własna żona. Alina polubiła tę szorstką powierzchowność Antoniego i pragmatyzm. Zapewniały jej poczucie bezpieczeństwa, którego nigdy nie знаła.

A potem było tylko lepiej. Antoni odkrył przed nią swoje inne ciekawsze oblicze i systematycznie ją zaskakiwał. Na nowo obudziło się w niej pożądanie. Nie mogła stracić tej relacji. Jedyнным rozwiązaniem, jakie widziała w tej sytuacji, było zdobycie się przed nim na szczerść. On też miał swoje koszmarki, którymi się z nią wcześniej podzielił.

Musiała mu o sobie powiedzieć.

I wkrótce to zrobiła.



Minęły dwa tygodnie, wszystko przebiegło całkowicie wbrew oczekiwaniom kobiety. Związek Aliny i Antoniego nie tylko się nie rozpadł, ale wydawał się kwitnąć, w jakiś niezrozumiały sposób podsycony tamtym spotkaniem w kawiarni. Cokolwiek wydarzyło się między kochankami w tym czasie, tylko wzmocniło ich więź.

W mniemaniu kobiety Alina nie była już wyłącznie przeszkodą. W ostatnim czasie stała się zagrożeniem, które radykalnie należało wyeliminować. Na cotygodniowych sesjach u psychoterapeuty, który pomagał jej uporać się z żałobą i pogłębiającą się depresją, kobieta musiała się solidnie natrudzić, by nie wspomnieć ani o Szafrzańskich, ani o Antonim Pohlu i jego młodszej córce, ani o tym, co planowała od ponad tygodnia. Z każdym kolejnym dniem te jej działania podparte były coraz większym przekonaniem.

I oto, gdzie ją one zaprowadziły. Kobieta dotarła do Kiekrza, niewielkiej podpoznańskiej miejscowości położonej nad Jeziorem Kierskim. Na skraju przylegającej do lasu szutrowej drogi stał dom, w którym mieszkała Alina. Trudno było nazwać go atrakcyjnym albo chociaż przyzwoitym. Niski bungalow, z którego elewacji farba odpadała płatami, nie był remontowany od lat. Alina musiała go wynajmować za jakieś wszawe pieniądze.

Kobieta była tutaj każdego dnia minionego tygodnia, ukryta w zacisznym miejscu, na zadrzewionym parkingu znajdującym się tuż przy jeziorze. Obserwacja pozwoliła jej poznać codzienne rytuały Aliny, która okazała się bardzo schematyczna w planowaniu swojego dnia. Kończyła pracę o piętnastej, a wracała do domu pół godziny później. Nie gotowała. Na jej ganku, na pół godziny przed powrotem, firma cateringowa codziennie zostawiała papierową torebkę z trzema dietetycznymi posiłkami. Kobieta i to sprawdziła. Ta sama dziewczyna, ubrana w zielony kombinezon, także dziś pojawiła się pod bramą domu Aliny i jak zwykle dostała się do środka za pomocą przycisku zwalniającego mechanizm furtki. Znajdował się po drugiej stronie murka.

Kiedy dziewczyna odeszła, zatrzasnąwszy za sobą bramę, kobieta zacisnęła w dłoniach lniany woreczek wypełniony sproszkowaną substancją. Był nią jad z nasion owoców cisu, zebrany z okrytych czerwoną osnówką żółto-brązowych ziarenek. Paradoksalnie mógł tak samo efektywnie leczyć, jak zabijać. Toksyczne właściwości cisu to wynik zawartości alkaloidów taksynowych. U osoby, która spożyła jad, dochodzi do zaburzenia pracy rytmu serca. Po zażyciu śmiertelnej dawki taksyn zgon najczęściej następuje już po dwóch godzinach z powodu zawału serca.

Kobieta miała nadzieję, że taksyny wykończą cierpiącą na arytmie Alinę szybciej niż po tych prognozowanych dwóch godzinach. Teraz, kiedy z naciągniętym na głowę kapturem miała wejść na teren posesji, poczuła się podle. Zaskoczyło ją to, bo przecież od dłuższego czasu była znieczulona na wszystko, na każdą ludzką krzywdę.

Ten zakradający się nagle wyrzut sumienia był jednak zbyt słaby, by odwieść ją od pierwotnego planu. Kobieta nacisnęła przycisk po drugiej stronie murka, a wąska wybrukowana ścieżka zaprowadziła ją wprost na ganek. Papierowa torba stała pod drzwiami. I tym razem była po obu bokach zabezpieczona zszywkami, ale kobiecie udało się dostać do środka bez jej rozrywania. Jej szczupła dłoń w lateksowej rękawiczce z łatwością wsunęła się do środka. Kobieta odgięła wieczko jednego pudełka i wsypała trzy łyżki stołowe trucizny, dokładnie tyle, ile potrzebne było, by wywołać rozległy zawał. Zamieszała łyżką ciepłe jeszcze danie.

Wychodząc, rzuciła okiem na przeszklone drzwi prowadzące na taras. Dotychczas każdego dnia, bez wyjątku, Alina wypuszczała do ogrodu kota, pręgowanego dachowca. Kobieta liczyła, że i tym razem tak będzie. Bez tego jej plan nie miał szans powodzenia. Po drodze mogło wydarzyć się mnóstwo rzeczy, które mogły się nie udać. Jeśli coś poszłoby nie tak, ryzykowała zdemaskowaniem. Po raz kolejny uzmysłowiła sobie, że lubi igrać z ogniem.

Minuty oczekiwania wlokły się w nieskończoność, a kobieta stawała się coraz bardziej niecierpliwa. Obawiała się, że dojdzie do głosu druga strona jej osobowości, ta ciepła i łagodna, i zmusi ją, by wyszła z samochodu i usunęła z ganku zatrute danie. Dwukrotnie w trakcie oczekiwania była skłonna to zrobić, ale w porę się powstrzymała.

Alina nareszcie pojawiła się na podjeździe. Wróciła nieco później niż zwykle, rozpromieniona, ze słuchawką przytkniętą do ucha.



W normalnych okolicznościach Alina nigdy nie rozmawiała przez telefon, prowadząc. Ale właśnie zadzwonił Antoni, a ona nie miała włączonego zestawu głośnomówiącego. Fantazjowali o tym, co będą robić dzisiejszego wieczoru, tuż po kolacji, na którą miała przyjechać za trzy godziny. Alina zaraz po pracy pojechała do galerii handlowej i specjalnie na tę okazję kupiła najbardziej seksowną bieliznę, jaka akurat była dostępna. Czerwony, koronkowy push-up, dopasowane do niego skąpe majtki i podwiązki szybko powinny rozbudzić w Antonim pożądanie.

- Tylko się nie spóźnij – usłyszała w słuchawce głos swojego partnera.
- Stęskniłeś się?

– Kocham cię – powiedział to zupełnie naturalnie. Od jakiegoś czasu chętnie tak mówił.

Alina czuła opór przed odwzajemnieniem się. Ale ostatecznie to zrobiła. Po raz pierwszy.

– Ja ciebie też. Ja ciebie też kocham – wyszeptała.

– Chciałbym następnym razem zaprosić dziewczynki. Co ty na to? – zaproponował niepewnie.

Alina się skrzywiła. Dobrze, że Antoni nie mógł jej teraz zobaczyć, skwaszonej i autentycznie niechętniej jego pomysłowi.

– Mówiłeś, że niespecjalnie za mną przepadają... – odpowiedziała najłagodniej, jak potrafiła. Do tej pory nie poznała żadnej z córek Antoniego, ale wiedziała od niego, że Lila i Aleks nie są przychylnie ich związkowi.

– Nie o ciebie chodzi. Mają do mnie żal, zresztą całkiem słusznie. Chciałbym to zmienić. Chciałbym, żebyśmy stworzyli rodzinę. Normalną rodzinę – powtórzył ostrożnie.

– Jasne – powiedziała Alina z udawanym entuzjazmem i rozłączyła się.

Poczuła przyjemne łaskotanie w brzuchu. Jej dobre samopoczucie po części wynikało też z tego, że niedawno przyznała się Antoniemu do swoich dotychczasowych relacji z mężczyznami i do tego, że ich wykorzystywała. Dostosowała tę wersję do własnych potrzeb, usunęła bardziej pikantne kawałki, mogące ją postawić w złym świetle. Ale Antoni ją zrozumiał. Jego stosunek się nie zmienił. Wręcz przeciwnie, odtąd stali się sobie bliżsi.

Alina zamknęła samochód i objuczona torbami weszła na ganek. Podniosła pozostawioną tam papierową torbę i otworzyła drzwi. Od progu powitał ją Rudi, kot przybłęda, który rok temu sporadycznie pojawiał się w jej ogrodzie, a pewnego dnia po prostu z nią został. Alina wypełniła jego miseczkę karmą, a do drugiej nalała wody. Kocur stałym zwyczajem kręcił się jej pod nogami.

Alina odłożyła zakupy i nastawiła swoją ulubioną płytę. Caroline Henderson od lat towarzyszyła jej w chwilach dobrych i złych. Dlatego miała do niej szczególny sentyment. Potem zajrzała do stojącej na stole papierowej torby. W zasadzie nie była głodna, ale pewnie powinna jeszcze coś zjeść przed kolacją u Antoniego. Podgrzała gulasz, zjadła pół porcji i zagryzła ją orkiszową bułką.

Kojący głos Caroline Henderson rozchodził się po całym domu wraz z przyjemnym, choć słabnącym już aromatem podgrzanego dania. Alina była

w trakcie wybierania ciuchów na dzisiejszy wieczór. Najpierw włożyła bieliznę, tę, którą obiecała Antoniemu, a potem zdecydowała się na czerwoną, atłasową mini z dekoltem w kształcie litery V.

Mój trud włożony w zabiegi jednak się opłacił, pomyślała, prężąc się przed lustrem.

Gdy weszła do salonu, Rudi skrobał w drzwi wychodzące na taras. Ogród dawał mu poczucie wolności, dlatego go wypuszczała. Ufała mu i wiedziała, że kot nie wyjdzie już poza ten teren. I tym razem otworzyła więc drzwi. Zostawiła je uchylone.

Kilka chwil później ogarnęła ją senność. W tym tygodniu Alina wstawała przed szóstą, a po południu jej organizm zwykle dopominał się krótkiej drzemki. Spojrzała na stojący w przeszklonej witrynie zegar. Wciąż miała jeszcze dwie i pół godziny do wyjazdu. Położyła się na sofie i przykryła kocem. Szybko odpłynęła.

Obudziły ją drgawki. Początkowo była zdezorientowana, myślała, że może przez sen zrzuciła koc i że dlatego jest jej tak zimno, ale kiedy nieco oprzytomniała, zorientowała się, że pokój wiruje jej przed oczami. Oblał ją zimny pot. Żaden mebel nie wyglądał jak zawsze. Szafa, adapter, lustro i stół. Były zupełnie inne, rozmazane, lewitujące i momentami półprzezroczyste. Totalnie nierzeczywiste. Nawet głos Caroline Henderson stał się jakiś obcy, kłujący i ostry.

Serce w jej piersiach wystukiwało szalony rytm. Stuk, stuk, chwila przerwy, a potem trzy szybkie uderzenia. Ale poza tym znanym już symptomem pojawił się jeszcze jeden, znacznie gorszy. Był nim palący ból w klatce piersiowej, tak silny, że mogłaby go porównać do żarzących się w sercu węgielków. Wiedziała, że nie może dłużej zwlekać.

Podniosła się z sofy i podpierając się o nią, ruszyła w stronę szklanego stolika, na którym zostawiła telefon.

999

Te trzy cyfry uparcie odtwarzała w swojej głowie. Pod ten numer musiała zadzwonić. Nie czuła się ani odrobinę lepiej, wręcz przeciwnie. Najbardziej bała się tego, że jest sama, zdana tylko na siebie, a jej samopoczucie pogarsza się szybko, zbyt szybko. Ból w klatce piersiowej promieniował teraz do lewej ręki, której nie mogła już swobodnie unieść. Niemal po omacku dotarła do swojego ulubionego fotela. Jedną ręką chwyciła się oparcia, a drugą dłoń

położyła na piersiach. Poza bólem czuła wywołujący duszność ucisk. Przypominał betonowy blok, który dosłownie miażdżył jej klatkę piersiową. Nie mogła złapać oddechu, a pokój coraz bardziej rozmazywał się jej przed oczami. Meble wirowały jak w kalejdoskopie. Momentami nie była nawet w stanie stwierdzić, na co patrzy ani gdzie jest.

Dlatego kiedy go zobaczyła, tego znajdującego się naprzeciwko niej człowieka, początkowo wzięła go za któryś z mebli. Ale potem obraz wyostrzył się i zdała sobie sprawę, że do jej domu wdarł się intruz. Musiał to być intruz, bo nikogo o tej porze się nie spodziewała.

Alina nie widziała jednak nic poza czarnym człękkształtnym i lekko wydłużonym konturem. Włamywacz, wywnioskowała resztką sił, a potem zwymiotowała. Paląca żółć zalegała jej w gardle. Była coraz bardziej żrąca, ale nie mogła jej już z siebie wyrzucić.

W pewnym momencie zabrakło jej oddechu.

– Pomóż mi. Pomóż mi, proszę – wydusiła z siebie resztką sił, nadal przytrzymując się oparcia fotelu. Wyciągnęła rękę w stronę intruza. A potem runęła na dywan. I już się z niego nie podniosła. Jej serce przestało bić kilka chwil później.



Kobieta była zaniepokojona tym, że od dłuższego czasu nie wiedziała, co się dzieje w środku. Snuła więc różne domysły. Była w tym dobra, w wizualizowaniu czarnych myśli. Bała się, że Alina, wyczuwając pogarszające się samopoczucie, mogła zadzwonić po pogotowie albo zaalarmować Antoniego. Żadna z tych możliwości nie była kobiecie na rękę, zważywszy na to, że musiała się dostać do środka. W mieszkaniu nadal znajdował się kompromitujący ją dowód.

Odczekała półtorej godziny i postanowiła działać. Ponieważ nie dojrzała Aliny w żadnym z okien od strony ulicy, zdecydowała się wejść na teren posesji.

Wszystko wskazywało na to, że drzwi na taras są otwarte. W obawie przed ewentualnym zdemaskowaniem kobieta przeszła ostrożnie wzdłuż ściany, kucając przy każdym mijanym oknie. Dotarła tą drogą do ogrodu. W przeciwieństwie do nieciekawego budynku był zadziwiająco zadbane. Na trzech wypielęgnowanych rabatach rosły kwiaty i okazałe warzywa. Zza

uchylonych drzwi wychodzących na taras wydobywała się muzyka. Jakiś ambitny, refleksyjny utwór. Zupełnie nie pasował jej on do Aliny.

Kobieta zauważyła ją przez przeszklone drzwi tarasu. Moment wydawał się odpowiedni i to dodało jej odwagi. Pchnęła je i natychmiast znalazła się w środku. Alina leżała na sofie. Oczy miała zamknięte. Nie obudziła się. Kiedy kobieta do niej podeszła, zauważyła pierwsze oznaki zatrucia. Alina przewracała się niespokojnie z boku na bok. Jej twarz była blada, a czoło zroszone kropelkami potu. Ale po półtorej godziny, jaka minęła od spożycia jadu, Alina powinna być już w stanie agonalnym.

W głowie kobiety pojawiły się czarne myśli – może Alina zjadła później albo nie zjadła w ogóle. Jednak wcześniejsze obserwacje wskazywały, że kobieta siadała do obiadu nie później niż piętnaście minut po powrocie do domu. Zawsze, bez wyjątków. Pozostawała jeszcze trzecia możliwość. Dawka trucizny mogła być zbyt mała. Kobieta odsunęła od siebie te myśli. Miała zadanie do wypełnienia. Przeszukała leżącą na krześle torebkę Aliny, chcąc wyjąć jej telefon. Zakłęła pod nosem, kiedy go nie znalazła. Rozejrzała się nerwowo po salonie. Telefon leżał na szklanym stoliku tuż obok opróżnionego do połowy naczynia z gulaszem. Wciąż tkwił w nim plastikowy widelec.

Kobieta poczuła, że jej palce wilgotnieją. Po plecach spłynęła jej strużka potu, a w nogach poczuła znajome drżenie. Drżały tylko wtedy, gdy kobieta odczuwała euforię albo wyjątkowo silny niepokój. Tym razem chodziło o to drugie. Wzięła telefon do ręki i przesunęła po nim palcem. Lateksowe rękawiczki jej to utrudniały. Okienko, w które należało wpisać kod, wyświetliło się dopiero za trzecią próbą. Kobieta kilkakrotnie męczyła się też z wstukaniem kodu. Ale w pewnym momencie telefon się odblokował. Ikonka dyktafonu znajdowała się na dole ekranu. Dwukrotnie stuknęła w nią palcem i usunęła wszystkie zapisane tam pliki, tak na wszelki wypadek.

Trzymając telefon w ręku, usłyszała cichy jęk. Dobiegał z sofy. Kobieta pewnie powinna była uciec, ale stała w miejscu. Tkwiła tak zupełnie niewzruszona.

– Pomóż mi. Pomóż mi, proszę – wyszeptała Alina błagalnie, kiedy chwilę później dowiekła się do fotela. Wysunęła w jej stronę rękę.

Kobieta nie zareagowała. Nie zdążyłaby tego zrobić, nawet gdyby chciała. Alina runęła na dywan, uderzając głową o podłogę. Dopiero wtedy coś w kobiecie drgnęło. Pochyliła się nad Aliną i sprawdziła jej puls.

Potem wstała i wyszła.

Już dawno nie czuła się tak dobrze jak w tej chwili.

Rozdział 22

Antoni nie przyznał się rodzinie, że wyczuł w salonie zapach, którego używała Alina. Znał dobrze jego słodką woń. Tak pachniały perfumy i balsam, którego używała po kąpieli. Wielokrotnie scałowywał go z jej ciała.

Ale tym razem musiał się pomylić. Po tym wszystkim, przez co przeszedł, prawdopodobnie mogły mu szwankować zmysły. Był wycieńczony. Właśnie zdał sobie sprawę, że od kilkunastu godzin niczego nie pił i nie jadł. Nie zmrużył oka nawet na chwilę. Ledwie trzymał się na nogach, tak jak wszyscy. Gdyby zapach w salonie faktycznie się zmienił, zauważyłby to ktoś jeszcze. Chciał tę wątpliwość zgłosić dziewczynom i Piotrowi, tak dla świętego spokoju, ale teraz obserwował młodszą córkę. Kątem oka zauważył, że Lila i Piotr stali w przejściu. Dyskutowali na jakiś temat, ale byli od Antoniego zbyt daleko, by mógł słyszeć, o czym rozmawiają. Zresztą nie to go teraz interesowało.

Aleks opierała się o szklane atrium. Wzrok utkwiała w podłodze. Do wnętrza konstrukcji, przez uchylony świetlik, wpadało naturalne światło. Kładło się na jej twarzy, przytulonej do szyby. Antoni przeszedł przez salon i stanął obok córki. Od razu zauważył to, czemu Aleks przyglądała się z taką uwagą.

– Ktoś tu był – odezwała się, nie odwracając wzroku od żwiru pokrywającego płytki, jakby bała się, że ślad zniknie. – Też to widzisz, tato? – zapytała z nadzieją, że nie miesza się jej w głowie. I ona odczuwała skrajne zmęczenie. Co jakiś czas ćmiło się jej przed oczami, a w ostatnich godzinach refleks miała coraz słabszy. Wiedziała, że będzie tylko gorzej.

Żwir pokrywał płytki równomiernie. Wszystkie poza jedną w lewym, górnym narożniku atrium. Rozsypane na boki kamyki tworzyły jasny, zygzakowaty szlaczek.

– Masz na myśli ten prześwit?

Aleks pokiwała głową.

– Wygląda jak smuga pozostawiona przez czyjąś nieuważną stopę.

Antoni westchnął z powątpiewaniem.

– Albo raczej jak rozsunięta płytką, z której osypał się żwir.

– Tak czy inaczej, ktoś tutaj przed chwilą był. Odsuńcie się – nakazał Piotr, stojący po drugiej stronie atrium. I on zauważył ten ślad czyjejś obecności. Chwycił krzesło, największe, jakie stało w salonie. Miało masywne, rzeźbione oparcie, a spod siedziska wystawały grube sprężyny. Piotr cofnął się jeszcze kilka kroków, uniósł krzesło nad głowę i wziął zamach. Z determinacją i nową nadzieją.

Aleks i Antoni natychmiast się odsunęli. Piotr wycelował w środek szklanej tafli, ale po zderzeniu z krzesłem szyba nawet nie drgnęła. Nie było na niej żadnej rysy.

– Tamten facet, Mrowiński, wspominał, że to szkło jest nietłukące. – Antoni podszedł do szklanej ściany i przyglądał się jej gładkiej tafli. Kiedy przyłożył do niej dłoń, poczuł przyjemny chłód bijący z wnętrza konstrukcji. Obszedł atrium, zatrzymywał się przy każdym łączeniu szklanych tafli. Przesunął palcem po krawędziach, przez które przedostawało się powietrze. Zauważył wtedy pewną prawidłowość – w wyższych partiach, na wysokości linii wzroku, powietrze ogrzewało się i wznosiło, wykorzystując podciśnienie wyczuwalne w dolnej strefie.

– Podobno to jakaś innowacyjna technologia. Wygląda na to, że temperaturę w środku atrium reguluje system wentylacji.

Do szyb podeszła Lila, schowana wcześniej za plecami męża. Stała obok ojca i podobnie jak on uważnie przyjrzała się ścianom.

– Tylko co nam daje ta informacja? To tylko system naturalnego chłodzenia, który ma zapewne stworzyć idealne warunki mikroklimatyczne dla drzewa. Wciąż nie wiemy najważniejszego. Jak ktoś się tam dostał? Może ściany się rozsuwają? – Przyjrzała się ostro zakończonym krawędziom i wsunęła między nie palce.

– A jeśli on wcale nie przedostał się przez ściany? – wtrąciła Aleks. W jej zmęczonych oczach nagle pojawił się błysk.

– Na pewno nie mógł się przedostać górą. To wykluczone. – Antoni zadarł głowę. Szklana ściana miała wysokość przynajmniej kilku metrów.

– Nie chodzi mi o świetlik, choć hipotetycznie ktoś mógłby przez otwór zrzucić linę i zsunąć się po niej. Nie wiemy, na ile można rozchylić szybę i czy ktoś mógłby się w takim otworze zmieścić – zastanawiała się głośno. –

Obstawiałabym raczej, że wszedł przez piwnicę. To szybsza i mniej skomplikowana droga niż wspinaczka na dach po szklanej ścianie. – Błysk nie zniknął z jej oczu. Entuzjizm Aleks stawał się coraz bardziej wyczuwalny. Ale na razie nikt go nie podzielał. – Mamy tylko dostęp do pomieszczenia gospodarczego i pokoju gier, a to przecież nie jest nawet połowa metrażu górnych kondygnacji.

Lila chciała nadać za tokiem rozumowania siostry, ale nie potrafiła.

– Nawet jeśli tak jest, sprawdziliśmy to dokładnie. To tylko mury – powiedziała, rzucając Aleks sceptyczne spojrzenie. – Sprawdziliśmy każdy kamień, każdą pieprzoną spoinę. Nie natrafiliśmy na żadne drzwi ani skrytkę, które mogłyby prowadzić na górę. Na żaden schron, który mógłby być tam ukryty.

– Okej, ale Aleks ma po części rację – odezwał się Piotr. – Faktycznie ograniczamy się do pewnego schematu myślenia, który każe nam szukać wewnątrz budynku albo ewentualnie na terenie posesji.

– Chyba wiem, do czego zmierzacie. Chodzi wam o tamten bunkier, który wskazywała staruszka? – przypomniała sobie Lila. – Ale to tylko gruzowisko pozbawione wejścia – westchnęła.

Aleks przytaknęła skinieniem głowy.

– Jasne, ale może wciąż bierzemy wszystko zbyt dosłownie. Może nie o to jej wtedy chodziło. Na tym terenie znajduje się przecież mnóstwo pozostałości po niemieckich fortyfikacjach. A jeśli to nie był bunkier?

– Tylko co?

– Na przykład jedno z wejść do podziemnych korytarzy.

– Nawet gdyby tak było, to i tak nie przedostaniemy się przez mur – upierała się Lila. – Nie dostaniemy się do bunkra. – W myślach strofowała się za ten sceptycyzm. Chciała wierzyć, że wreszcie ruszą naprzód.

– Może wcale nie będzie trzeba tego robić. – Aleks nie chciała ustąpić.

Ruszyła w stronę wyjścia.



– Schrony typu tunelowego zwykle budowano pod wzniesieniami terenu, z wejściami u podnóży zbocza, i to by się zgadzało – stwierdził Antoni. Po raz pierwszy przychyłał się do koncepcji młodszej córki. Stali przy stalowej bramie, skąd widok na dawny bunkier był najlepszy. Przyglądali się pozostałościom żelbetonowej konstrukcji po drugiej stronie.

– Tylko co z tego? Co to nam daje? – niecierpliwie zwróciła się Aleks do ojca.

– Spójrzcie dalej, na kąt nachylenia terenu – odparł Antoni, wskazując palcem na pagórek opadający stromo przy szutrowej drodze. – Zbocze, na którym jest ten schron, ciągnie się jeszcze kilkanaście metrów w głąb parceli, prawie dokładnie w naszą stronę. – Wskazał na fragment muru odgradzającego posiadłość od lasu. – Załóżmy, że na tej samej linii pod ziemią biegłby korytarz. Dokąd by prowadził, gdyby przeciął linię działki? – zadał sobie sam pytanie. Na razie nie znał odpowiedzi. Mrużąc oczy, spojrzał na znajdującą się za jego plecami parcelę. To samo zrobiła reszta.

– Chyba do tamtego brzozowego lasu i zarośli. – Aleks skrzywiła się, nie widząc sensu w przeszukiwaniu tego miejsca. Już tam wcześniej była.

– Nie tylko – odezwała się Lila, robiąc kilka kroków w lewo. Wychyliła głowę. – Teraz zasłaniają ją drzewa, ale dalej, w linii prostej, znajduje się przecież drewniana chata, w której odparowuje się sok klonowy. Na dobrą sprawę nigdy dokładnie jej nie przeszukaliśmy.



Kiedy ponownie weszli do środka, para już się ulotniła. Jediną pozostałością były zamglone szybki i lepki, słodkawy posmak syropu unoszący się w powietrzu. Osiadał na ich włosach, na skórze i w ustach. Bez tej wypełniającej wewnątrz szarej mgiełki pomieszczenie wyglądało zupełnie inaczej. Było zadziwiająco schludne i dobrze zorganizowane. Pod jedną ze ścian leżały drewniane szczapy ułożone na wysokość jakichś dwóch metrów. Musiały zalegać tam od dawna. Część była zmurszała, część zapleśniała. Piotr stanął na palcach i zrzuciwszy kolejne polana, zburzył fragment konstrukcji. Aleks i Lila od razu się do niego przyłączyły, dzięki czemu kolejne piętra drewna zniknęły w mgnieniu oka. Antoni zajął się czymś innym. Zniknął za drzwiami schowka, który on i Piotr wcześniej przejrzyli tylko pobieżnie, ponieważ skoncentrowali się głównie na stole i nożach do patroszenia zwierzyny.

Kilka chwil później szczapy leżały rozsypane na ziemi. Jednak zburzenie tej konstrukcji przyniosło Piotrowi rozczarowanie. Ściana za nią wyglądała tak samo jak trzy pozostałe. Nic się tam nie kryło, żadne przejście ani drzwi.

Szlichta, betonowa posadzka zupełnie niepasująca do charakteru chatki, wylana była i w tym miejscu.

– *La cabane à sucre* – odczytała Lila z zawieszonej na ścianie zardzewiałej tabliczki. Co to znaczy?

– Klonowa chatka – odpowiedziała Aleks.

Przebiegła wzrokiem po szkieletach czterech głównych ścian. Ale ani tam, ani pomiędzy opartymi o stół fragmentami blachy falistej nic się nie kryło. Powoli kończyły im się pomysły.

– To kolejny fałszywy trop – stwierdził rozczarowany Piotr.

Nadal rozglądał się wokół z nadzieją dostrzeżenia czegoś, co mogli przeoczyć, ale brakowało już miejsc, do których mogliby zajrzeć.

W drzwiach schowka pojawił się Antoni. Był przygarbiony, wyglądał na poruszonego. Włosy miał potargane, pokryte pajęczynami.

– Chodźcie. – W jego głosie wyczuwalna była wyraźna zmiana. Lila ruszyła za ojcem pierwsza.

W schowku panowały zaduch i ciasnota. Rozmieszczone tam narzędzia wyglądały podobnie jak wszystko inne w chacie – były porzewiałe i zniszczone upływem czasu i brakiem odpowiedniej konserwacji. Pokrywająca podłogę brezentowa płachta była zmięta i lekko odchylona. Początkowo tylko tyle zobaczyła Lila.

Kolejne kroki zaprowadziły ją nad krawędź otworu zakończonego metalową ramą. Wmontowane w nią zawiasy były ciężkie i masywne. Kwadratowa pokrywa, znajdująca się tuż obok, miała wpiętą w obejmę kłódkę. Lila zajrzała do środka, oświetlony otwór latarką. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wejście prowadzi w głąb jakiegoś wyrobiska albo podziemnego korytarza. Lila nie widziała, jak bardzo jest głęboki. Oceniła, że mógł się tam zmieścić tylko ktoś drobnej postury. Czyli ktoś taki jak ona.

– Cokolwiek jest na drugim końcu, cały czas tego szukaliśmy. – Lila oblizła spierzchnięte wargi i postawiła stopę na pierwszym szczebelku metalowej drabinki. Czuliła, że jest już blisko swojego dziecka. Na samą myśl serce zatrzępotało jej w piersiach. Na to cały czas czekała. Jednak jej radosną ekscytację tłumiał paraliżujący strach.

– Dlatego nie zejdziemy tam wszyscy. – Ojciec powstrzymał ją gwałtownym szarpnięciem za ramię. – To byłoby nierozważne. Przynajmniej dwoje z nas powinno zostać na górze. Idę z tobą!

Lila powoli zaczęła schodzić na dół. Działała jak w transie, głucha na wszelkie przestrogi parła naprzód. Cienka wiązka światła drgała w jej dłoniach. Ale na razie widziała tylko skorodowany metal, ziemię i ruchome światło. Krok za krokiem przemieszczała się coraz niżej.

– Zostańcie. – Lila słyszała, jak ojciec zwraca się do Aleks i Piotra. – Idziemy tylko my, Lila i ja. Tak będzie bezpieczniej.

Nie wiedziała, czy Piotr i jej siostra wypełnili polecenie. Po chwili, kilkanaście stopni dalej, jej stopy wreszcie zetknęły się z twardym podłożem.

Panujący pod ziemią chłód i duża wilgotność powietrza przywiodły jej na myśl mikroklimat panujący w jaskiniach. Lila pokonała kilka kolejnych metrów. By nie upaść, trzymała się niewielkich wnęk w ścianach. Okazały się porowate i pokryte wilgotnym nalotem. W końcu dotarła do czegoś, co wyglądało jak wejście do innego pomieszczenia. Wywnioskowała to, kiedy zauważyła gwałtownie zwężające się przejście.

– Zatrzymaj się. – Ojciec zdecydowanie chwycił ją za ramię. – Pójdę pierwszy. Przepuść mnie.

– Jest za wąsko, a przede mną miejsca jest jeszcze mniej.

– W takim razie wróćmy na górę i tam zamieńmy się miejscami. Równie dobrze to może być pułapka.

– Dlaczego tak myślisz? – spytała Lila. Od kolejnego przejścia dzieliło ją najwyżej kilka metrów. Tym razem było znacznie szersze i wyższe niż poprzednie.

– Kłódka nie była zapięta. A zsunięta płachta nie była wcześniej tak ułożona. Gdyby tak było, już za pierwszym razem zwróciłbym na to uwagę.

– I co z tego?

– Ktoś chciał, abyśmy tu weszli. I jest jeszcze coś... Stój, do cholery!

Dopiero wtedy Lila przystanęła.

– Coś? Co to znaczy?

Odwróciła się i przeraziła tym, co zobaczyła przed sobą. Oświetlona latarką twarz ojca wyglądała jak maska ze światła i cienia, ułożonych w najgorszych możliwych proporcjach. Jego zmarszczki przypominały głębokie nacięcia

w skórze, a oczy były węższe i ciemniejsze niż zazwyczaj. Lila ledwie go poznała. Pod ziemią wszystko wydawało się straszniejsze. Nie tylko jej własny ojciec.

– Porywacz pachniał tak samo jak Alina. Chodzi o jej perfumy. I balsam do ciała – wyjaśnił Antoni.

– Sugerujesz, że porywacz jest kobietą?

– Nie tylko to mam na myśli. Alina indywidualnie dobierała kompozycję, która składała się na ten konkretny zapach. Takich personalizowanych perfumerii jest tylko kilka w całej Polsce. Nie wierzę, że zapach tych perfum to był przypadek.

– Alina? Ale jak ona może się z tym wiązać? Przecież nie żyje od ponad pół roku.

– Ja też tego nie rozumiem. Ale cokolwiek to znaczy, ma coś wspólnego ze mną – odparł Antoni i wykorzystując chwilowe zamyślenie córki, wyminął ją. Zrobił to w ostatnim momencie i w najbardziej dogodnym dla siebie miejscu. Kilka metrów dalej wszystko wyglądało już zupełnie inaczej.



Miejsce połączenia starego korytarza z jego współczesnym przedłużeniem wyglądało surrealistycznie. Zawilgocony sufit podniszczonej żelbetonowej konstrukcji kończył się wraz z pojawieniem się przeszklonych drzwi, zza których biło jasne światło. Drzwi otwierał zamontowany w ścianie przycisk. Wiedząc, co działo się na parceli do tej pory, Antoni także na tym etapie obawiał się komplikacji. Przycisk mógł na przykład działać tylko na odcisk palca lub w ogóle się nie uruchomić. Jego obawy okazały się jednak niesłuszne. Przycisk od razu zareagował, a drzwi rozsunęły się z cichym szmerem. Po drugiej stronie był zupełnie inny świat – sterylny i nowoczesny, a przy tym zupełnie bezosobowy. Wprawiał zmysły w osłupienie. Częściowo pokryte kamiennymi panelami bielone ściany wydawały się zanikać gdzieś w próżni.

Pierwszym, co uderzyło Antoniego po wejściu do tej części korytarza, był silny szpitalny zapach antyseptyków i ostre światło. Było tak drażniące, że aby iść dalej, musiał zmrużyć oczy. Nad jego głową z betonowej wnęki zwisały nagie żarówki zabezpieczone prymitywną metalową kratą. Poprzedni około trzystumetrowy odcinek biegł w linii prostej, a ten zaskakiwał gwałtownymi odbiciami w lewo i prawo. Momentami droga przypominała im labirynt. Po

kilkudziesięciu metrach szybkiego marszu błędnik Antoniego zupełnie zwariował. Nie tylko on stracił orientację. Tak samo zagubiona była jego córka.

– Czy my w ogóle jesteśmy jeszcze na terenie źródłiska? – zapytała Lila, oglądając się za siebie. Wydawało się, że białe ściany, wzdłuż których szli, nie mają końca.

– Jesteśmy wciąż na tym samym poziomie. Chociaż tyle wiemy. – Antoni otarł z czoła kropelki potu i rozpiął kurtkę. Na ostatnim odcinku temperatura wyraźnie wzrosła. – Jesteśmy już blisko celu. Czuję to.

– Tato? – Lila delikatnie chwyciła ojca za ramię. Zdziwiło ją to, że odniósł się do swojego przecucia. Zawsze przecież wszystko racjonalizował.

Antoni zatrzymał się i odwrócił w stronę córki. Lila zobaczyła w jego oczach dawno nieobecną czułość. I lęk.

– Bądź ostrożny – powiedziała łagodnie. Dłoń wciąż trzymała na ramieniu ojca. Odpowiedział jej skinieniem głowy i ruszyli w dalszą drogę.

Pierwszym zwiastunem zbliżania się do końca były widoczne już z oddali dwa rzędy halogenowych świateł. Zwisały z sufitu zawieszzone na czymś, co przypominało półmetrowe żyłki. Przy wejściu do podziemi temperatura spadła do kilku stopni, teraz wynosiła na pewno ponad dwadzieścia i nadal rosła. Dostępu do kolejnego pomieszczenia broniły przeszklone drzwi. Były podobne do tych, przez które przechodzili kilka minut wcześniej. Otwierały się tak samo jak pierwsze.

Niewielki pokój podzielony był na pół białą ścianką. I choć Lila nie od razu spostrzegła, co znajduje się po drugiej stronie, wyczuła ją tutaj.

Śmierć.

Dobrze ją przecież znała. Instynktownie potrafiła rozpoznać jej obecność. Tak samo reagował jej organizm – drgawkami i gwałtownym skurczem żołądka.

Uwagę Lili przykuł najpierw duży cyfrowy wyświetlacz ze zmieniającymi się na nim wartościami. Stał na metalowym stoliku. Nie wskazywał godziny, tylko odmierzał czas. Trzydzieści pięć minut i osiemnaście sekund. Tyle czasu pozostało.

Ale do czego?, przebiegło Lili przez myśl.

W pomieszczeniu panowała złowieszcza cisza. Lila i ojciec stanęli mniej więcej w tym miejscu, w którym poprzedniego dnia obiektyw kamery

zarejestrował śpiącego Adasia. Wszystko się zgadzało – identyczny stolik, łóżko i ostre światło.

Teraz na metalowym łóżku leżała kobieta. Jej srebrne, starannie uczesane włosy spięte były w ciasny kucyk. Miała na sobie kremowe jegginsy i zapiętą pod szyję elegancką lnianą koszulę. Twarz miała pogodną, sprawiała wrażenie kogoś, kto śni jakiś spokojny sen.

Ale to wszystko były tylko pozory.

Rozpoznali ją oboje. Natychmiast. Helena pojawiła się w życiu Antoniego kilka miesięcy temu, kiedy wciąż jeszcze nie otrząsnął się po stracie Aliny. Niechętnie wpuścił ją do swojego życia, ale paradoksalnie to dzięki niej powoli stanął na nogi. Nie mógłby jeszcze powiedzieć, że ją kocha, ale coś się już między nimi rodziło. Coś na kształt uczucia albo przywiązania. Połączyła ich żaloba – ona straciła swojego ukochanego męża.

Helena nie leżała na łóżku sama.

Kocyk, ten sam, którym na wczorajszym nagraniu przykryty był Adaś, był zakleszczony jej dłońmi. Wypukły kształt sugerował, że w środku jest małe dziecko.

Lila upadła na kolana i wydała z siebie skowyt. Wraz z tym strasznym okrzykiem wyrzuciła z siebie całą rozpacz utraconej właśnie nadziei.

Wreszcie dźwignęła się z kolan i zataczając się, resztką sił podeszła do kobiety. Wydarła jej kocyk z rąk. Dłonie Heleny były zimne. Martwe. Nie stawiały żadnego oporu.

Lila stała na środku pokoju i czuła, jak otaczają ją cienie, jak wypełzają z tych sterylnych ścian i tańczą przed nią, jak są coraz bliżej, aż wreszcie próbują otrzeć się o jej skórę. Chciała, by to zrobiły. Chciała, by ją wchłonęły. Chciała, by i dla niej to już nareszcie się skończyło. Pragnęła tego najbardziej na świecie.

Ale w rzeczywistości to nie cienie, tylko ręce ojca próbowały ostrożnie odebrać jej zawiniątko. Jednak i ten dotyk wkrótce zniknął.

Kiedy Antoni dostrzegł wystającą spod kocyka nieruchomą rączkę i fragment piżamki w stegozaury, on też się poddał.

Wycofał się.

Tym razem nawet on nie podołał.

Rozdział 23

wrzesień 2022

Zanim Helena przeszła do realizacji kolejnej części swojego planu, odczekała trzy miesiące. Naprawdę przez ten cały czas ciągle wyobrażała sobie, że otwiera skrzynkę na listy i znajduje w niej wezwanie na komisariat. A jeszcze częściej wizualizowała sobie moment swojego aresztowania. Chłód metalowych kajdanek i ich głośny szcęk, kiedy obejmą zaciskają się jej na nadgarstkach. Zasługiwała na to tak samo, jak Staś zasługiwał na sprawiedliwość. Ale sprawiedliwości nie stało się zadość. Helena czuła się więc upoważniona, by sprawiedliwość wymierzyć samodzielnie, dla Stasia rzecz jasna.

– Spike, co ci znów dolega, maluszku?

Recepcjonistka pogłaskała grzbiet psa. Była młodą, energiczną dziewczyną, która zawsze w ten sam sposób, pieszczotami i szerokim uśmiechem, witała teriera Heleny. Dla niej samej nigdy nie miała nawet cienia uśmiechu. Helena zastanawiała się, czy to dlatego, że jest tak zdeterminowana, że jej intencje stały się oczywiste dla przypadkowych ludzi, jak ta dziewczyna.

A może recepcjonistkę zastanawiała częstotliwość tych wizyt. W zeszłym miesiącu było ich aż pięć. Helena westchnęła i nakazała sobie większą czujność. Zwykle umiała podchodzić ludzi. Ale zmiany, które w niej ostatnio zaszły, dla niej samej były zagadką. Niemal zupełnie wyzbyła się uczuć do ludzi. Ze zgrozą stwierdziła, że ma je tylko dla swojej córki i psa.

– Jestem umówiona do doktora na czternastą. Helena Ciosańska – przedstawiła się.

– I Spike. Oczywiście. – Recepcjonistka znów wytarosiła grzywę pieska. – Proszę spocząć. – Wskazała rząd plastikowych krzeseł pod gabinetem. –

Doktor ma jeszcze jednego pacjenta, ale zaraz przyjmie Spike'a – dodała i wróciła do stukania w klawiaturę.

Helena skinęła głową i usiadła. Odświeżona niedawno poczekalnia wydała się jej bezosobowa. Owszem, jasne kolory i imponujące akwarium zajmujące niemalże całą ścianę sprawiały wrażenie przytulności i wyciszały przed wizytą, ale nic nie mówiły Helenie o Antonim. Jej wiedza na jego temat po tych kilku wizytach wciąż była mniej niż fragmentaryczna.

Parę minut później na sąsiednim krześle usiadła kobieta z yorkiem i zaczęła coś do niej mówić, ale Helenę nic to nie obchodziło. Skoncentrowana na swoim celu, nie miała zamiaru niczym się rozpraszać. Potakiwała tylko, a na koniec chyba nawet coś odburknęła. Wkrótce drzwi gabinetu otworzyły się i Helena weszła do środka.

– Kąpałam go w tym szamponie, tak jak pan zalecił – wyjaśniła, kiedy położyła psa na metalowym stole. – Ale wolę się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Moment, w którym Antoni Pohl wkładał lateksowe rękawiczki, Helena wykorzystała, by raz jeszcze rozejrzeć się po gabinecie. Na ścianach wisiały dyplomy potwierdzające liczne zagraniczne kursy, jakie doktor odbył. Ale w najbardziej eksponowanych miejscach powieszono podziękowania właścicieli i zdjęcia czworonożnych pacjentów, których leczył w ciągu ostatnich lat.

– Nie znam chyba nikogo, kto tak dba o swojego psiaka.

Jego uśmiech wzięła za dobrą monetę. Zwykle ograniczał się do lakonicznych informacji. Stawiał diagnozę i omawiał przebieg dalszego leczenia.

– Dobre wieści są takie, że nie ma śladów po malassezii – ocenił, przyglądając się uważnie łapkom psa.

– Świetnie. – Helena jedną ręką przytrzymała Spike'a, a drugą oparła się o biurko. Ustawione na nim zdjęcia stały zwrócone tyłem. Jednak dzięki poprzednim wizytom wiedziała, że w pierwszej ramce jest fotografia Aliny i Antoniego. Pamiątka jakiejś wspólnej wycieczki w góry.

Helena przesunęła ręką po drewnianym blacie i uderzyła w ramkę wierzchem dłoni. Tak jak chciała, zdjęcie od razu się przewróciło.

– Najmocniej przepraszam – powiedziała, odstawiając ramkę na miejsce. Nie była pewna, czy Antoni nie wyczuł nuty fałszu w jej głosie. – Na szczęście

się nie zbiła.

Zwrócone na fotografię oczy Antoniego zaszyły łzami. Helena widziała w nich niewyobrażalny smutek.

– Mam na myśli szybkę. – Spojrzała na Antoniego przepraszająco. Ale nie przerywała. – Mój mąż i ja też lubiliśmy takie wspólne wypadki we dwoje. Kiedy jeszcze żył – dodała po chwili. – Od zawsze kochał przyrodę. Ponad wszystko. Zresztą to z nią związał swoje zawodowe życie. – Tym razem w głosie Heleny nie było nuty fałszu. Antoni usłyszał w nim tylko tęsknotę. Taką samą jak jego własna.

Ale nie podchwycił żadnej z myśli Heleny. Właściwie nie odezwał się do niej ani słowem, nie licząc zaleceń, jakie dał co do pielęgnacji łapek psa. Kiedy wstukiwał do komputera informacje dotyczące wizyty, na podłodze w jego gabinecie Helena położyła swój pen z insuliną. Niczym nie ryzykowała. Był zapasowy. Ten, którego używała codziennie, zawsze nosiła w torebce.

Jej plan był szyty tak grubymi nićmi, że Helena nie wierzyła, że to się uda. Ale miała już dosyć czekania na lepszą sposobność.



Antoni zauważył leżący na podłodze pen dopiero po dziewiętnastej, kiedy z gabinetu wyszedł ostatni pacjent, a on zaczął zamiatać. Nie zatrudniał sprzątaczkę tylko dlatego, że starał się opóźnić swój powrót do domu. Nikt tam na niego nie czekał.

Na zatyczce pena znajdowała się czarna naklejka z nazwiskiem.

H. Ciosańska

Od razu skojarzył kobietę, z której emanowała nerwowość maskowana uprzejmością i próbą zachowania spokoju. W ostatnim miesiącu była u niego już kilka razy, choć psu nie dolegało nic poważnego. Momentami Antoniemu wydawało się nawet, że w jakiś niezgrabny sposób próbuje z nim flirtować. Zdziwiło go też to, że do tej pory nie wróciła po swoją własność. Przecież jeśli chorowała na cukrzycę, musiała brać insulinę codziennie.

W swojej bazie danych szybko znalazł numer telefonu Heleny Ciosańskiej. Zadzwoił do niej i powiadomił o tym, że znalazł jej zgubę. Kiedy zakomunikowała mu, że nie może wyjść z domu, Antoni zaproponował, że pen odwiezie. Pół godziny później zaparkował pod jej domem. Kiedy Helena mu

otworzyła, zauważył, że zniknęła z niej szarość, z którą ją zawsze do tej pory kojarzył. Helena miała na sobie oliwkowy kardigan, a pod nim czarny top, który ciasno przylegał do jej ciała.

– Wejdzie pan na kawę? – zaproponowała, otwierając szerzej drzwi.

– Nie, dziękuję. Już późno – odparł, wręczając jej pen.

– Faktycznie. – Helena spojrzała na zegarek. – Dochodzi dwudziesta, więc to nie pora na kawę. Ale może w takim razie na herbatę? Właśnie zaparzyłam. – Otworzyła drzwi na oścież i stanęła z boku, zachęcając go, by wszedł.

– Dziękuję, ale nie. – Zrobił krok do tyłu. – Nie chcę sprawić kłopotu – dodał po chwili.

W tym ostatnim zdaniu Helena dostrzegła szansę. Jeszcze jedną możliwość.

– Żaden kłopot. Naprawdę, jeśli nie pozwoli się pan zaprosić, będę miała poczucie winy. Fatygował się pan wieczorem. Proszę nie dać mi się dłużej prosić.

– Ale dosłownie na kwadransik – powiedział Antoni z pewnym wahaniem i zrobił krok do przodu.

Po chwili wszedł do środka i został znacznie dłużej. A potem bywał dość regularnie. Z czasem złapał się na tym, że ta kobieta w żadnym stopniu nie pociąga go fizycznie. Ale była kimś, kogo na tamym etapie potrzebował. Potrafiła go słuchać. I choć odrobinę zagłuszyć jego samotność.

Gdyby nie Helena, Antoni dalej spędzałby wieczory w ciszy, samotny jak pies. Nie mógł oczekiwać, że córki wypełnią mu tę pustkę. Nie po tym, co im zrobił. Wtedy, na szosie, i wcześniej, latami pozostawiając je same.

Z Heleną wieczory zaczęły mijać mu szybciej, a ból, który dotychczas odczuwał, stał się mniej dotkliwy. Oboje kogoś stracili. I tak naprawdę to ich połączyło.

Ból po stracie, który nie zniknął, a który tylko łagodzili wzajemną obecnością.

Rozdział 24

Mimo problemów, jakich nastęczał jej zaawansowany wiek i życie w leśnej głuszy, Leokadia Kokocińska chciała pozostać niezależna. Po śmierci męża przywykła do niezależności i latami jakoś sama dawała sobie radę. Ale ostatnio, kiedy wzrok zaczął się jej bardziej psuć, a pamięć szwankowała już tak mocno, że Leokadii zdarzało się zgubić drogę albo bez celu wałęsać się po lesie, wnuk wymusił na niej to, by mieć z nią kontakt. W tym celu kupił najprostszy model komórki wyposażony w kamerkę i ekran dotykowy. Leokadia długo nie mogła się przyzwycząić, ale w końcu opanowała najprostsze funkcje, takie jak dzwonienie i odbieranie połączeń. W telefonie miała zapisane tylko trzy numery. Michaś zapisany był pod jedyneką. Poza wnukiem nie miała nikogo innego, komu by na niej zależało. Właściwie tylko do niego dzwoniła, i tylko od siebie z domu, bo nigdzie indziej zasięgu nie było.

Wróciła do swojej drewnianej chaty, którą przed pięćdziesięciu laty wzniosła razem z mężem, ściągnęła pelerynę i odłożyła zebrany w lesie chrust. W palenisku wciąż wesoło huczał ogień. Jego pomarańczowe jęzory pochłaniały kolejne, czerniejące drwa. Leokadia lubiła ten organiczny zapach lasu i dymu. Zaciągając się nim, uzupełniła stos drewna o gałęzie, które zebrała w lesie. Na stół odłożyła komórkę, dużo bardziej nowoczesną niż jej własna. Należała do tamtych ludzi. Leokadia nie wiedziała, co o nich myśleć.

Czy, jak twierdziła Helena, powinna ich zignorować, bo byli tylko elementem gry, której sama nie rozumiała? Ona i jej stężyły umysł. Czy może autentycznie potrzebowali jej pomocy?

Michaś musiał wiedzieć. Michaś musiał to rozsądzić.

Tylko jemu ufała.

Z półki, na której piętrzyły się leki, a ostatnio brała je całymi garściami, staruszka ściągnęła swoją komórkę. Przeszła z nią pod okno, w miejsce, gdzie zasięg był najlepszy. Leokadia usiadła na znajdującym się tam bujanym fotelu

i wybrała „jedynekę”. Po chwili wnuk odebrał połączenie. A kiedy się pojawił na ekranie, rozpromieniła się, jak zawsze, kiedy się ze sobą łączyli.

W pierwszej chwili, gdy obraz dwukrotnie zastygł, Leokadia przestraszyła się, że słaby zasięg znów uniemożliwi im rozmowę, ale po początkowych problemach było już tylko lepiej. Wkrótce jakość połączenia znacząco się poprawiła, a przynajmniej na tyle, by mogła zobaczyć Michasia wyraźnie.

Jej wnuk, zadbany mężczyzna po czterdziestce, siedział w skórzanym fotelu, w biurze tak sterylnym i obcym, jak to życie, które prowadził w dużym mieście.

Michaś zawsze mówił powoli i wyraźnie, więc Leokadia bez trudu czytała z ruchu jego warg. Nie inaczej było i tym razem.

– Co słyhać, babciu? – zapytał, przekładając papiery na biurku. – Wszystko w porządku?

– Nie wiem – odpowiedziała.

Poza jej słowami coś jeszcze musiało go zaniepokoić, bo natychmiast wyprostował się na fotelu i ściągnął brwi.

– Dobrze się czujesz? – Odsunął dokumenty i skoncentrował się wyłącznie na babci.

Za jego plecami Leokadia zobaczyła młodą kobietę, którą wyprosił szybkim skinieniem ręki. Dziewczyna wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

– Chodzi o dom sąsiadki – zakomunikowała staruszka.

Mężczyzna kiwnął głową, nieco uspokojony.

– Co z tym domem?

– Helena mówiła mi, żebym się tym nie martwiła.

– Czym? – ponaglił ją wnuk.

– Mówiła, że w ten weekend będzie tam ktoś obcy, kto być może będzie wołał o pomoc. Wynajęła komuś ten dom na trzy dni. Chodziło o grę z nagrodą. Podchody. – Staruszka pstryknęła palcami. – Chyba tak to nazwała.

– Babciu, mówiłem ci, żebyś unikała tej kobiety – powiedział z ciężkim westchnieniem. – Z nią jest coś nie tak.

– Straciła męża i wnuka – odpowiedziała Leokadia.

Starła się tłumaczyć sąsiadkę, która istotnie dziwaczała. Przyjeżdżała coraz rzadziej. Była coraz chudsza i coraz bardziej zaniedbana.

– Córki nie było u niej chyba od dawna. Jest po prostu samotna – dodała.

– Samotny człowiek nie zastawia pułapek na zwierzęta – odparł jej wnuk. – I nie czerpie satysfakcji z wydobywania z nich okaleczonego truchła. Oboje widzieliśmy przecież, jak to robi. I jak nieporadnie się z tego tłumaczy. Tylko chory człowiek tak postępuje. Co z ludźmi, których tam widziałaś?

– Dali mi telefon. Zapisali w nim wiadomość, ale nie widziałam jej dokładnie. – Staruszka spojrzała na wnuka przepraszająco. – Litery były takie małe. Wyglądali na przerażonych. – Kiwnęła sugestywnie głową. – Twierdzili, że potrzebują pomocy.

– Nadal masz ten telefon?

Staruszka przytaknęła i dźwignęła się z fotela. Po chwili wróciła ze smartfonem Lili w ręku. Podniosła z parapetu swój aparat i pokazała się wnukowi.

– Wiesz, jak go odblokować? – zapytał wnuk, luzując sztywny kołnierzyk, który wpijał mu się w szyję.

Na widok telefonu jego spojrzenie stało się bardziej czujne. Był zaniepokojony. Przywykł już do telefonów babki, które niepotrzebnie stawiały go w stan gotowości. Ale przed sobą miał teraz dowód, że w domu nad źródłiskiem faktycznie dzieje się coś niepokojącego.

Leokadia potrząsnęła głową.

– Z boku, po prawej stronie, powinien być przycisk. Przytrzymaj go krótko, sekundę, najwyżej dwie. To powinno wystarczyć, o ile nie ma hasła. Albo innej blokady.

Staruszka wypełniła polecenie wnuka i ku zdziwieniu ich obojga czarny ekran błyskawicznie się rozświetlił. Na środku widoczna była wiadomość wpisana przez Lilę. Ikonka wskazywała, że esemes został wysłany. Jego odbiorcą była jakaś Magdalena. Mężczyzna nie mógł odczytać jej nazwiska, które tylko mignęło mu przed oczami.

– Możesz przybliżyć wyświetlacz? I postaraj się nie ruszać dłonią, dobrze? – dodał łagodniej, bardziej zachęcająco. Wiedział, że nie może tego wymagać od babki. Kobieta uspokoiła jednak rękę na tyle, że w którymś momencie udało mu się odczytać wiadomość.

*Jesteśmy uwięzieni. Porwano dziecko. Nie ma tutaj zasięgu.
Proszę zadzwonić pod numer alarmowy. Swarożyce 23.*

Tu jesteśmy.

– Babciu? – zwrócił się do babki, kiedy ponownie uniosła telefon. Kiwnęła głową, że czeka na jakiś jego znak. – Zostań w domu. Ja się tym zajmę. Tylko zostań w domu, dobrze? – polecił.

Leokadia Kokocińska zrozumiała wtedy, że jej obawy nie były bezpodstawne. Michaś zawsze pomagał jej decydować, nawet wtedy, a może w szczególności wtedy, kiedy jej osąd był zaburzony. Coraz częściej gubiła się w swoich myślach. Chwilami wszystko jej się plątało. Zdarzało się, że świeży chleb lądował w lodówce, a nieupraną bieliznę znajdowała upchniętą w skrzynce pocztowej. Kilka miesięcy temu, po wyjeździe Michasia, zdarzało się to coraz częściej. Wnuk oddalony od niej o kilka tysięcy kilometrów tak naprawdę ze swojego paryskiego biura niewiele mógł zdziałać.

Niewiele ponad jeden telefon, który musiał teraz wykonać.

Natychmiast.

Rozdział 25

wtedy / luty 2023

Stało się.

Wszystko przebiegło dokładnie tak, jak zamierzała.

Szafrańscy i Antoni Pohl wraz z młodszą córką znaleźli się w jej pułapce. Cała piątka. Cztery osoby, każda w równym stopniu odpowiedzialna za śmierć jej wnuka. I to dziecko, które przyszło na świat kilka miesięcy po tym, jak życie jej wnuka się skończyło.

Oczywiście nie od razu Helena zorientowała się, kim byli mordercy Stasia. I to nie z jej inicjatywy udało się ustalić, kto spowodował wypadek. To działania męża w końcu doprowadziły ją do sprawców. I ostatecznie właśnie to go zabiło – poszukiwania winnego, pod koniec jego życia niemal graniczące z obłędem. Obsesja w parze ze zgryzotą po stracie ukochanego wnuka stały się jego cichym zabójcą.

Cezary zmarł równo pół roku po Stasiu na skutek rozległego zawału serca. Wtedy Helena była już w posiadaniu wszystkich dowodów pogrążających tamtych ludzi. Kluczowy dowód jej mąż uzyskał tuż przed śmiercią od zaprzyjaźnionego z ich rodziną leśniczego. Jedna z leśnych fotopułapek umieszczona tuż przy drodze rejestrowała również wszystkie auta na szosie, także tam, gdzie doszło do wypadku. Na nagraniu pojawiły się oba samochody – Antoniego i Szafrańskich z widocznym wgnieceniem na masce i wyraźną tablicą rejestracyjną – oraz zdjęcia twarzy sprawców. To właśnie nagranie było dla Cezarego niepodważalnym dowodem.

Wymógł na leśniczym, by ten nie przekazywał kopii policji, która i tak nie kwapiła się, żeby rozwiązać sprawę. Cezary bał się, że nawet jeśli śledczy otrzymają nagranie, tamci i tak wyłgają się i dostaną jakiś krótki wyrok, zupełnie niewspółmierny do ich winy. A potem wrócą do normalnego życia.

Dalej zbierał więc dowody na własną rękę. Na ich podstawie chciał sam wymierzyć sprawiedliwość. Miał zadać sprawcom taki sam cios, jaki oni wymierzili jemu. Był gotów na największe nawet okrucieństwo.

Wet za wet.

Z na wskroś prawego i łagodnego na co dzień człowieka stał się kimś, kto nie tylko regularnie powtarzał „wet za wet”, lecz także postanowił wcielić tę zasadę w życie.

Na tamtym etapie to Helena była tą osobą, która starała się tonować jego żądzę zemsty. W rzeczywistości cierpiała nie mniej niż on, ale chciała go chronić przed obłądem. Wtedy Cezary był naprawdę bliski szaleństwa. Jednak kiedy umarł, również i ona osunęła się w ciemność, w której od dawna tkwił jej mąż. Chciała dokończyć to, co on zaczął. Tylko tym mogła się ratować, by przeżyć. Mrokiem, smutkiem i coraz bardziej zawłaszczającą jej duszę żądzą zemsty.

W zasadzie, kiedy jej córka Ania wyjechała z kraju, Helena pragnęła już tylko tego. Była przeraźliwie samotna. Anna nie mogła z nią zostać, ani w rodzinnym domu, ani w żadnym miejscu, które przypominałoby jej o utraconym synku. Zniknęła, a do matki odzywała się sporadycznie, z wielu miejsc, które odwiedzała, by jakoś odbudować własny spokój. W pewnym stopniu, poza mężem i wnukiem, Helena utraciła więc również ją.

Została sama ze swoimi myślami, śmiercią najbliższych i kruchymi wspomnieniami. Odwiedzała codziennie miejsce, w którym spoczywali. Ale ból nie mijał, wypełniająca jej życie ciemność nie cofała się nawet o milimetr. Z ukrycia Helena prowadziła też zupełnie inne, równoległe do tamtego życie. Patrzyła, jak ciało zabójczyni jej wnuka się zmienia. Jak rośnie w niej nowe istnienie. Czasem Helena łapała się nawet na tym, że w tym mającym się narodzić dziecku wyobrażała sobie Stasia. To nie tak, że wierzyła w reinkarnację. Ale bardzo chciała wierzyć w cokolwiek, byle przybliżyło ją to do jej małego chłopczyka. Byle w jakiś sposób, choćby ten najbardziej iluzoryczny, pomogło przywrócić mu życie.

Zemsta, którą przygotowała, była kontynuacją planu męża. Potrafiła wcielić ten zamiar w życie, bo, poza oczywistą emocjonalną więzią, łączyły ich też podobne umiejętności. Helena i Cezary poznali się dwadzieścia sześć lat temu na konferencji dotyczącej bioniki, oboje byli wtedy prelegentami, choć w zupełnie innych dziedzinach. Prezentacja Cezarego dotyczyła potencjału supermateriałów czerpiących z bioniki, która miała wspierać generowanie

pomysłów opartych na poszukiwaniu analogii. Ich źródłem w architekturze miała być przyroda – zachodzące w niej procesy i rozwiązania wykorzystywane przez naturę.

Ona też próbowała porzucić utarte ścieżki i odejść od schematów. Była chemikiem wizjonerem. Na konferencji prezentowała potencjał farb ekologicznych, których wytwarzaniem od niedawna się zajmowała. Jej produkty miały być przyjazne dla środowiska, począwszy od wydobycia surowców, poprzez cały proces produkcyjny, aż do ostatecznej ich utylizacji. Zaiskrzyło między nimi wtedy od razu. Cezary ujął ją swoją pasją, szczyptą geniuszu i odwagą. Wydawało jej się, że on dostrzegł w niej to samo.

Do odurzenia sprawców śmierci jej wnuka Helena użyła czegoś, po co z dużym prawdopodobieństwem sięgnąłby jej mąż – leków nasennych z grupy benzodiazepin, używanych także w leczeniu zaburzeń nerwicowych, dysocjacyjnych, adaptacyjnych i lękowych. Te leki każdego zwaliłyby z nóg. Upewniwszy się, że nie mają smaku, Helena rozpuściła je w wodzie ze źródlika, którą zostawiła swoim gościom w kuchni. Ale w obawie, że jednak jej nie wypiją, skaziła także wodę w czajniku, dodała również lek do zamocowanego przy kranie filtra wodnego. Nie mieli wyboru, w którymś momencie musieli go zażyć.

Kiedy pierwszej nocy Helena wtargnęła do domu o trzeciej nad ranem, wszyscy już od dawna spali kamiennym snem. Wchodziła do ich pokoiów po kolei, krążyła między nimi, słuchając ich ciężkich oddechów. Kilkukrotnie kusilo ją, by wziąć nóż z kuchennej szuflady i załatwić sprawę szybko. Poderżnąć każdemu gardło. Tylko tyle. Ale to byłoby zbyt proste.

Ze względu na pewne swoje fizyczne ograniczenia nie ze wszystkim Helena poradziłaby sobie sama. Mrowiński, oddany jej mężowi i współpracujący z nim wiele lat, pomógł jej w sytuacjach wymagających zwinności i tężyzny fizycznej. Helena nie mogła być pewna, czy mężczyzna uwierzył w jej zapewnienia, że poszczególne zadania są tylko elementem pewnej gry.

Mrowiński nie zadawał też pytań, kiedy Helena dwukrotnie prosiła go o uwolnienie zdechłego zwierzęcia z zasieki i przeniesienie go do drewnianego domku. Z najmniejszym jelonkiem, tym pierwszym, którego kości Helena umieściła w kotle znajdującym się w drewnianym domku, poradziła sobie sama. Patroszenie zwierzyny nie było dla niej pierwszą. Potrafiła o wiele więcej. Zawieszona w salonie poroże było spreparowane jej rękami. Helena umiała fachowo oddzielać zuchwę od czaszki. Wiedziała, jak długo należy

gotować wstępnie oczyszczone kości, by uniknąć rozmiękczenia spojeń i szwów. Nie brzydziło jej ani usuwanie mózgu zwierzęcia, ani jego gałek ocznych, ani nawet bielenie czaszki. Nie było już niczego, co byłoby ją w stanie poruszyć.

Absolutnie niczego.

Przed laty ojciec zabierał ją na polowania. Jako wrażliwa i krucha dziewczynka, bo taką w istocie była mniej więcej do czternastego roku życia, straszliwie przeżywała każdą taką bezpośrednią styczność ze śmiercią. Ale mała Helena nigdy z nikim się tym nie dzieliła. Ani swoim lękiem, ani koszmarami, jakie po tych polowaniach miewała. Milczała, bo wyprawy były tak naprawdę jedynymi chwilami, które mogła spędzić z ojcem. Udawała przed nim entuzjazm i uczestniczyła we wszystkim, co następowało potem. Ojciec nauczył ją wszystkich podstaw łowiectwa.

Kiedy patrzyła teraz na schwyte w zasieki zwierzęta, nie widziała już cierpienia. Przechodziła nad nim do porządku dziennego. Podczas tych wielu lat udało jej się całkowicie znieczulić. A kiedy otaczała się cierpieniem, które dotykało innych, łatwiej jej było choć przez chwilę znosić własne.

Dlatego w przypadku rodziny Antoniego Pohla nie tylko o wymierzenie sprawiedliwości chodziło. Helena chciała, żeby znaleźli się w takiej samej matni, w jakiej i ona wcześniej się znalazła. Klaustrofobiczna przestrzeń i dom, nad którym nie potrafili zapanować, miały tylko potęgować odczucie całkowitej bezradności.

Kiedy zrealizowała swoje pierwsze założenie, kiedy upewniła się, że podejrzenia padną na Lilę, wszystko poszło dość łatwo. Helena, zachęcona pierwszym sukcesem, nie miała zamiaru się zatrzymać. Zanurzone w źródłisku ubranka Adasia wyglądały przerażająco, dokładnie tak, jak tego chciała.

Później użyła perfum Aliny. Pragnęła sprawić Antoniemu jak najdotkliwszy ból.

Mimo wszystko, chociaż zapewniła sobie przewagę, nie skazała ich od razu na przegraną. Po części autentycznie chciała dać im szansę na rehabilitację. Na współdziałanie, które miało ich zaprowadzić do celu – do ocalenia wartości nadrzędnej, jaką było życie dziecka, które wszyscy tak kochali. W tej rodzinie więzy od lat ulegały stopniowej degradacji, a od wypadku i śmierci Stasia jej skala była jeszcze większa, degradacja następowała coraz szybciej. Helena przekonała się o tym, kiedy zbliżyła się z Antonim. Aby skutecznie opracować i wcielić w życie swój plan, musiała być blisko tej rodziny. Od tego zaczęła.

W tym celu musiała też przeciągnąć na swoją stronę jedną z koleżanek Lili. Padło na Martę, która tonęła w długach. Pieniądze zawsze wszystko ułatwiały i otwierały wiele drzwi. Helena wiedziała o tym dobrze, choć swojego majątku praktycznie nigdy wcześniej nie wykorzystywała do osiągnięcia jakiegoś celu.

Do czasu...

W przypadku negocjacji z koleżanką Lili pieniądze okazały się właściwym kluczem. Audycja radiowa i zasady konkursu były oczywiście fejkami, który łatwo było Helenie spreparować. Marta wypełniła to zadanie wraz z kolejnym, które jeszcze bardziej miało nadwyrężyć relacje Lilki i Piotra.

Helena obawiała się, czy benzodiazepiny nie zaszkodzą Adasiowi. W końcu do przygotowania mleka dla małego Lila wykorzystywała najprawdopodobniej skażoną wodę. Ale chłopczykowi nic nie było. Kiedy Helena wyciągała go z łóżeczka, mały dość szybko się obudził i zaczął grymasić.

W jakimś pierwszym, tęsknym odruchu Helena chciała się tym dzieckiem zaopiekować. Tylko na chwilę i wyłącznie dlatego, by zaspokoić swoje potrzeby. By zabić tę palącą tęsknotę. Szybko jednak zrozumiała, że nic nie wypełni ziejącej pustki, którą miała w środku. Nie czuła niczego, kiedy gładziła Adasia po głowie. To obce dziecko pachniało zupełnie inaczej niż jej własny wnuk. Chłopczyk był całkiem inny niż Staś. Wyrывał się, zanosił płaczem i uparcie chciał do matki. Nie poznawał jej. Z oczywistych względów nie mógł.

To, że jej nie akceptował, wiele ułatwiało.

Nawiązanie więzi z chłopcem mogłoby pogłębić jej wyrzuty sumienia bądź, nie daj Boże, odwieść ją od pierwotnego planu. Od samego początku Helena sukcesywnie odurzała więc Adasia silnymi dawkami leków stosowanych dożylnie przy znieczuleniu. Powtarzała jak mantrę trzy zdania, które miały wryć się w jej świadomość i zadziałać, w razie gdyby w którymś momencie odezwało się jej sumienie.

Ma umrzeć.

Musi umrzeć.

Taki jest nadrzędny cel.

Kiedy powtarzając te słowa, wprowadzała pod swoją skórę śmiertelną dawkę insuliny, chłopczyk jeszcze żył. Najprawdopodobniej, bo wtedy go już z nią nie było, a Helena nie mogła wykluczyć, że i jego czas już się skończył.

W podziemnych korytarzach i miejscu, w którym na samym końcu ukryła Adasia, umieściła śmiertcionośną pułapkę. Miała się aktywować o odpowiedniej porze.

Helena ceniła sobie dyskretny urok chemii i niezliczonych możliwości, jakie ta dziedzina ze sobą niosła. Odpowiednie proporcje, nawet śladowe ilości związków chemicznych, ich właściwy dobór, mogły doprowadzić nawet do masowej anihilacji. Tym razem Helena postawiła na prostotę.

Zdobycie kwasu siarkowego było proste. Potrzebowała zaledwie czterech miarek tej oleistej cieczy, każda o pojemności sześciu mililitrów. Dokładnie tyle umieściła w czterech plastikowych naczyniach, które zawiesiła w kilku różnych miejscach: na terenie posesji, w domu i w ciągnących się pod nim podziemiach.

Zaczęła od szklanego atrium, w zasadzie to nastęczyło jej najwięcej problemów. O tę jedną rzecz nie mogła prosić Mrowińskiego, by nie ryzykować zdemaskowania. Dotarcie na szczyt budynku wymagało sporego wysiłku, ale udało się. Z rozmieszczeniem pułapek wewnątrz podziemnego korytarza poszło jej znacznie łatwiej. Umieściła je w zamocowanej nad żarówkami niewielkiej wnęce, która wyglądała jak część sklepienia. Helena zakładała, że wszyscy czworo przejdą tamtędy, jak tylko odkryją podziemny korytarz. Umożliwiła im to, odsłaniając właz prowadzący do podziemi. Wyobrażała sobie czwórkę desperatów przemierzających korytarze i zachowujących się jak nierozważne myszy, nieświadome czyhającej na nie pułapki.

Kwas solny, choć w dużym stężeniu drażniący, w tej ilości nie był ani toksyczny, ani nawet specjalnie szkodliwy. Mogła to zmienić jedynie reakcja chemiczna, którą w odpowiednim momencie należało wywołać. Do tego celu Helena wybrała siarczek wapnia. Substancję tę należało umieścić w metalowym naczyniu, osadzonym wewnątrz plastikowego pojemnika, w którym znajdował się kwas siarkowy.

Jako związek chemiczny z grupy kwasów beztlenowych kwas siarkowy rozpuszcza większość metali. Ale by to zrobić, potrzebuje czasu. Można to było obliczyć na podstawie masy substancji i metalowego naczynia, w którym siarczek wapnia się znajdował.

Co do tego Helena nie miała jednak stuprocentowej pewności. Nie wiedziała, ile czasu faktycznie musiało upłynąć, by kwas solny przeżarł metalowe dno naczynia i wszedł w reakcję z siarczkiem wapnia. Stoper pozostawiony na stoliku w tym niewielkim podziemnym pomieszczeniu

wskazywał jedynie szacunkowy czas, jaki powinien upłynąć do połączenia się obu składników. Helena nie wykluczała, że to może wydarzyć się kilka, może nawet kilkanaście minut wcześniej albo później, niż zakładała.

Musiała to zaakceptować.

Tym bardziej że potraktowała to jako podarowaną im szansę.

Wywołana w ten sposób reakcja miała doprowadzić do wytworzenia siarkowodoru. To bezbarwny, sprężony i śmiertelny gaz. Jeśli jego stężenie w powietrzu przekroczy sześć miligramów, a taki scenariusz Helena zakładała, siarkowodor stawał się niebezpieczny dla życia człowieka. Wystarczyłby jeden oddech, by osoba przebywająca w skażonym pomieszczeniu zatrzymała się jego oparami. Dochodziło wtedy do porażenia układu oddechowego, a w konsekwencji do zatrzymania akcji serca wskutek odcięcia tlenu. W zamkniętych pomieszczeniach, a właśnie w takich Helena rozmieściła pułapki, uwolniony w wysokim stężeniu gaz musiał zabić.

Musiał.

To, co chciała osiągnąć, Helena dostała już od sprawców wraz z ich przyznaniem się do winy. Przez brak zasięgu nie mogła wysłać nagrań mailem, ale zabezpieczyła się w zupełnie inny sposób, który dawał jej gwarancję, że filmiki trafią na czas we właściwe ręce. Poza chmurą skopiowała je na pendrive, który włożyła do brązowej koperty. A ją umieściła w skrzynce pocztowej na frontowej bramie. Kurier miał ją stamtąd odebrać następnego dnia.

Dotychczasowy plan się powiódł, więc Helena była spokojna, kiedy wprowadzała igłę pod skórę. Nie czuła strachu ani wyrzutów sumienia. Była wreszcie prawdziwie wolna. Wyzwolona.

Dotąd zawsze było jej źle. Musiała się zmuszać do wykonywania najprostszych czynności, do wstania z łóżka, do zjedzenia posiłku. Motywował ją tylko i wyłącznie wytyczony cel. A skoro właśnie go osiągnęła, nie zostało jej już nic więcej do zrobienia.

Tam, po drugiej stronie, miało być lepiej. Helena nigdy nie wierzyła w życie pozagrobowe, w anielską świątę, krainę wiecznego szczęścia i inne tego rodzaju bzdety. Całe życie stąpała twardo po ziemi. Wraz z rozchodzącą się w jej organizmie śmiertelną dawką insuliny spływał na nią spokój. Po raz pierwszy od wielu miesięcy spokój był błogi.

Zamknęła oczy i czekała. Pod powiekami przesuwały się jej obrazy roześmianego wnuka bawiącego się nad źródliskiem. Słyszała głośne rozpryski wody i ciche bulgotanie pod jej powierzchnią. Maszerujący w żółtych kaloszach Staś, cały umazany błotem. Zapach jego skóry, rozwiane przez wiatr włosy. Ich ulubiona wyliczanka, kiedy razem bawili się nad źródliskiem. W ten sposób Staś wybierał, które z nich ma się ukryć w gęstych zaroślach, skoczyć z mostku, wspiąć się na drzewo. Jego pomysłowość nie miała granic.

Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc!

Melodia głosu i słów rozbawionego Stasia wlewała się do uszu Heleny, koła ją. Wraz z nadejściem tych wspomnień poczuła kolejną falę spokoju. Jej serce spowolniło swój rytm, a twarde dotychczas łóżko przeobraziło się w miękką i bezpieczną przestrzeń.

Kiedy kolejne obrazy zaczęły się na siebie nakładać, a potem szybko zacierać, Helena zdołała dotrzeć do jeszcze tylko jednej w pełni trzeźwej myśli.

Niczego nie żałowała. Żadnej z tych śmierci, tej, którą zadała, i kolejnych, które miały nastąpić.

Ścisnęła w rękach zawiniątko i czekała. Czas płynął, a ona nadal była w błogim stanie niebytu. W którymś momencie wśród kolejnych rozmytych klisz wspomnień jej serce po prostu przestało bić.

Rozdział 26

Aleks i Piotr jednomyślnie ustalili, że się rozdzielą. Uznali, że najlepiej będzie, jeśli jedno z nich zostanie na czatach, przy wejściu do podziemnych korytarzy, a drugie zaczeka w domu, do którego przejście mogło prowadzić. Aleks zaoferowała, że wróci do domu, Piotr nie protestował.

Skierowała swoje kroki prosto do miejsca, które wciąż wydawało jej się kluczowe. Obeszła szklane atrium, raz jeszcze dokładnie przyglądając się jego ścianom. Kiedy przesunęła po nich dłonią, ściany okazały się wilgotne i śliskie, ale nie bardziej niż poprzednio. Aleks zdawało się jednak, że tym razem ze szczelin, które znajdują się między łączeniem szyb, wydostaje się jakiś chemiczny zapach. Zaciągnęła się nim kilkukrotnie. Był ledwie wyczuwalny, ale jednak wyostrzyła czujność.

Rozsypany na płycie żwir, widziany teraz w zupełnie innym, bo jaśniejszym świetle, wyraźnie wskazywał na czyjaś obecność w tym miejscu. Aleks nie miała co do tego wątpliwości. By móc zobaczyć więcej, a przynajmniej by spróbować więcej dostrzec, zmieniła perspektywę. Kucnęła przy jednej z szyb i zadarła głowę do góry. W pierwszej chwili oślepiła ją łuna rozproszonego światła, ale zaraz potem, kiedy słońce zniknęło za chmurą, Aleks zobaczyła wszystko wyraźnie. To, że atrium wieńczyło sklepienie z niedomkniętym, lekko uchylonym lufcikiem, dziewczyna wiedziała już wcześniej. Tym razem dostrzegła coś jeszcze. Wydawało jej się, że pod szklanym sklepieniem zawieszono jakieś niewielkie naczynie lub pudełko. Była od niego zbyt oddalona, by z całą pewnością móc je rozpoznać. Miało lekko zaokrąglone boki i wyglądało, jakby zawisło w próżni. Przypuszczalnie podwieszono je na żyłce. Nie była w stanie stwierdzić, czy wisiało tam od samego początku, czy ktoś umieścił je później. Nigdy wcześniej nie spoglądała na atrium z tej perspektywy.

Kolejny raz zmieniła punkt obserwacyjny, by lepiej przyjrzeć się znalezisku. Ale w jakiegokolwiek pozycji stanęła, naczynie wciąż wyglądało tak samo. Aleks widziała tylko jego szare dno, nic więcej. Szybko zrozumiała, że od ostatniego razu w atrium zmieniło się coś jeszcze. I cały czas miała to na linii wzroku.

Stojące w centralnym miejscu drzewo oliwne nadal przeczyło jakimkolwiek prawom logiki. Skórzaste liście oliwki zachwycały swoją jasnozieloną barwą. Ich spód pokryty był meshkiem i delikatnymi włoskami, które służyły za najlepszy dowód na to, że drzewo ma się świetnie. Z kątów liści zaczynały wyrastać wiechowate kwiatostany. Za to w pustym, wydrążonym pniu nie było niczego, co wskazywałoby, że drzewko oliwne jednak żyje. Żadnych ściekających z niego soków, tylko pusta jama powleczone twardą, spękaną skorupą.

Tylko że tym razem pień nie był do końca pusty. W środku coś się znajdowało. Z całą pewnością Aleks nie widziała tego wcześniej. To coś było wciśnięte w głąb rozwarstwiającego się środka. Zwróciła uwagę na upchnięty tam skrawek materiału tylko dlatego, że wyróżniał się kolorystycznie na tle reszty. Miał najwyżej kilka centymetrów i był jaskrawopomarańczowy.

Kiedy to do niej dotarło, Aleks pod stopami wyczuła lekkie drżenie. Jedna z płytek, sąsiadująca z tą, na której nierównomiernie rozsypał się żwir, właśnie się przesunęła. W ciągu kilku kolejnych sekund w tym poszerzającym się otworze pojawiła się najpierw czyjaś ręka, a potem głowa.

Rozdział 27

– Uspokój się. To tylko lalka. Tylko lalka. Nic więcej. – Antoni zacisnął ręce na ramionach Lili i odciągnął ją na bok.

Powoli wyjął z jej rąk silikonową lalkę łudzaco podobną do żywego dziecka. Była ubrana w piżamkę Adasia, nieco przydługą jak na jej wielkość. Jej ciało wykonano z miękkiego, silikonowego odlewu, a realistyczna buzia wyglądała na wymodelowaną ręcznie. Przypominała Antoniemu Stasia, tylko znacznie młodszego. Szklane oczy lalki były równie porażająco realne, co jej pojedynczo wpinane włosy. Kiedy Antoni ją chwycił, wyczuł, że tułów ma wypełniony twardym granulatem. To dlatego lalka przelewała mu się w dłoniach jak prawdziwe śpiące niemowlę.

Antonim targały sprzeczne uczucia. W środku wciąż jeszcze cały się trząsał, podświadomie nadal obawiał się, że widzi ciało swojego wnuka. Był niemal pewien, że kocykiem owinięty jest Adaś. Że wraz z chwilą, w której wydrze go z rąk Heleny, nastąpi jego własny koniec. Nie mógłby żyć bez wnuka. Był dla niego gotów poświęcić własne życie. W tym wszystkim, w tym całym spektrum najstraszniejszych emocji, była też martwa Helena i to, co on do niej w tej chwili czuł. To była nienawiść tak samo silna jak miłość, a także żal i smutek. Antoni chciał podejść do Heleny, dotknąć jej dłoni, wyczuć puls, którego już dawno nie było. Równie mocno pragnął, by Helena okazała się jednak martwa.

– Po co ona to zrobiła? – spytała Lila. Wciśnięta w kąt pokoju, rozglądała się w poszukiwaniu śladów obecności swojego dziecka. Gorączkowo starała się znaleźć jakieś nowe tropy.

– Mówiła mi kiedyś o tej lalce. – Antoni potrząsnął bobasem. – W Stanach i w Anglii takie lalki *reborn* produkuje się na dużą skalę. Warte są krocie i kupowane są głównie przez kolekcjonerów. Helena przyznała mi się do tego, że też sobie taką zamówiła. Ale nie wspominała, że chodzi o zmarłe dziecko, że w jakikolwiek sposób się z nim wiąże.

– Myślisz, że on był jej? – Lila ostrożnie podeszła do Heleny, zachowując bezpieczny dystans. Kobieta naprawdę wyglądała, jakby tylko ucięła sobie drzemkę. Jej twarz była łagodna. Spokojna. Tylko dłonie zwisały z łóżka, zakłócając tę dziwną harmonię. – Że Staś mógł być z nią spokrewniony?

Antoni niechętnie przytaknął.

– To mógł być jej wnuk.

– Skąd wiesz?

– Kiedy opowiadała mi o swoim mieszkającym w Holandii wnuczku, a robiła to często, mówiła mi, jak bardzo za nim tęskni. Miał mieć jedenaście lat, czyli dokładnie tyle samo, ile Staś miałby teraz. Podobno, żeby ukoić trochę tęsknotę za nim, zleciła wykonanie artystce lalki *reborn* na podstawie zdjęcia Szymka, swojego wnuka. Myślę, że Szymek nigdy nie istniał. Tak naprawdę to był Staś.

– Wiedziałaś?

– Czy wiedziałem? Ale o czym?

– O tym, że ta kobieta jest nie zrównoważona.

Lila powiodła wzrokiem po pomieszczeniu, w którym się znajdowali. Na chwilę zatrzymała spojrzenie na niedomkniętej metalowej szafce. W wąskiej szczelinie widoczny był jakiś biały materiał. Wyobraźnia podyktowała jej najokrutniejszy obraz. Było nim ukryte w zawinięte prześcieradło ciało jej dziecka.

– Nie, nie miałem pojęcia. – Antoni potrząsnął stanowczo głową. Wiedziałem o normalnej żałobie po mężu i o tęsknocie za wnuczkiem, ale nie było w tym niczego niepokojącego. Nigdy nie wspominała o Stasiu. W jej mieszkaniu nie było żadnych zdjęć. Nic nie wskazywało, że jest w jakikolwiek sposób z nim powiązana. Nie zbliżyłbym się przecież do niej – zarzekł się.

Lila podeszła do metalowej szafki. Wstrzymując oddech, pociągnęła za drzwiczki. Poza upchniętym tam zmiętym fartuchem niczego nie znalazła. Wnętrze szafki okazało się puste. Lila odetchnęła z ulgą, ale przeszukała wszystko dokładnie.

Byli w matni. Z pokoju, w którym się znajdowali, nie widzieli przejścia do innego pomieszczenia. Lila usiadła w kącie, jak najdalej od Heleny.

– Co ona z nim zrobiła, tato?

– Nie wiem. – Z rozpaczą westchnął jej ojciec.

– Czy mogła...?

– Nie wiem – odparł Antoni. Nie mógł kłamać. A potem powiedział coś, czego Lila zupełnie się nie spodziewała. – Gdybym kiedykolwiek musiał dokonać wyboru, ja albo wy, zawsze wybrałbym ciebie. Ciebie, Adasia albo Aleks. – Spojrzał swojej córce w oczy.

– Dlaczego mi to mówisz, tato?

Wtedy, nie doczekawszy się odpowiedzi ojca, Lila zauważyła coś przy ścianie, do której przysunięte było łóżko.

– Tam jest jakaś drabinka – powiedziała i wskazała na długi, metalowy przedmiot. Opierał się o ścianę i wydawał zespolony z łóżkiem. Miał zresztą identyczną długość. – Musiała jej do czegoś służyć.

– Zauważyłem ją wcześniej – potwierdził Antoni. – Ale to chyba po prostu metalowa rama łóżka. – Nie podszedł bliżej, by to sprawdzić. Musiałby wtedy dotknąć ciała Heleny, a nie mógł się teraz na to zdobyć.

– Tak wygląda. Ale nią nie jest – upierała się Lila.

Podeszła do łóżka i powoli odsunęła je od ściany. Ciało Heleny nieco się wtedy przemieściło. Oparty o ścianę przedmiot zsunął się na podłogę. Była nim długa, dwumetrowa drabina. Wszystko wskazywało na to, że jej długość można było regulować. Lila poczuła skok adrenaliny.

– Ustawmy ją w pionie – nakazała i energicznie chwyciła ją z jednej strony. – Na moje oko powinna sięgać sufitu.

Antoni pomógł córce podnieść drabinę. Faktycznie okazała się rozsuwana, po maksymalnym rozciągnięciu była nawet dłuższa niż wysokość pomieszczenia.

– Nie rozumiem. – Skrzywił się. – Skoro miała tutaj czemuś służyć, powinna prowadzić do pomieszczenia na wyższym poziomie. – Zadarł głowę i uważnie przyjrzał się sklepieniu. – A nic na to nie wskazuje.

– Nie zapominaj, gdzie jesteśmy. W inteligentnym domu.

– Do czego zmierzasz?

– Dokładnie nie wiem. Ale u góry albo na dole musi być jakieś ukryte przejście. Tylko wtedy to ma sens.

Lila popatrzyła na znajdujące się nad ich głową kamienne płytki, które wpasowywały się tu kolorystycznie. Miały nieregularny kształt, były w ciepłym odcieniu jasnego beżu. W tym samym tonie zachowano także fugi.

Lila raz jeszcze uważnie im się przyjrzała. Wtedy nasza ją pewna myśl, niewyraźna, jak nadzieja, która w nią w tej chwili wstąpiła.

– Przypatrz się im, tato. – Wskazała na płytki. – Ten kształt widziałam już wcześniej. Oboje go widzieliśmy.

– Jeśli nawiązujesz do domu, do układu pomieszczeń i podłóg, to wszystkie płytki są nieregularne – przypomniał ojciec.

– To prawda – zgodziła się Lila. – Ale biorę też pod uwagę wielkość pomieszczeń. Powierzchnia szklanego atrium odpowiadałaby, mniej więcej, powierzchni tego pomieszczenia – oceniła.

Antoni milczał, w skupieniu analizując różne możliwości, na razie nie dzielił się tym z córką.

– Jeśli tak faktycznie jest, jeśli w jakiś sposób można tędy przedostać się na górę, to zastanawiam się nad tym, jak można by to sforsować? – głowił się, a po chwili wskazał na sufit.

– Niczego nie trzeba otwierać siłowo. Na pewno nie o to chodzi. – Lila kiwnęła głową z przekonaniem. – Wszystkim tutaj można sterować za pomocą elektroniki.

– Nasze smartwatche przecież nie działają. – Antoni nadal pozostawał sceptyczny.

– Może ona wciąż ma przy sobie jakieś urządzenie, które wykorzystywała przez cały ten czas.

Lila podeszła do Heleny. W tej chwili nie miała już żadnych oporów przed dotknięciem tej kobiety. Chodziło o jej dziecko. Zrobiłaby dla niego wszystko, przekroczyłaby każdą granicę.

Lila wsunęła dłoń w kieszonki na piersiach kobiety i przeszukała je, najpierw jedną, a potem drugą. Były puste. Odsunęła rękę Heleny i przetrząsnęła kieszenie jej spodni. Po chwili pomógł jej ojciec. I choć nie zdobył się na to, by dotknąć Heleny, sprawdził materac, na którym leżała, rozejrzał się też pod łóżkiem. Nagle z fałdy koca, którym okryty był materac, wysunął się niewielki przedmiot i uderzył o podłogę. Był czarny i podłużny. Na jego panelu znajdowały się cztery kolorowe przyciski.

Serce Lili zabiło mocniej. Podniosła przedmiot z ziemi i po kolei wcisnęła guziki. Po każdej takiej próbie odczekała chwilę. Nic się jednak nie wydarzyło.

– Spróbuj zrobić tak, jak mówił Mrowiński – poinstruował ją ojciec.

– Czyli jak? – Lila spojrzała na niego wyczekująco. Nie miała bladego pojęcia, co ma robić. Do głosu dochodziły teraz tylko nerwy, które plątały jej myśli i powodowały drzenie rąk. Nie potrafiła go opanować. Wcisnęła więc urządzenie w dłoń ojca. Lila poczuła, że jego ręce są tak samo rozdygotane i przeraźliwie lodowate.

– Nie pamiętam dokładnie – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Ale wiesz, co on wtedy mówił? Cztery przyciski na panelu naściennym w salonie obsługiwały cały dom. Po przejściu w tryb danego koloru, czyli którejś z funkcji, można było dowolnie regulować jej wybraną wartość.

– Ale tutaj nie ma przycisków bocznych, a tylko nimi można było to zrobić.

– Daj mi chwilę. – Ojciec ściągnął brwi i nerwowo obracał urządzenie w dłoniach. Nad czymś się zastanawiał. Spróbował kilku kombinacji, wszystkie wybrane były na chybił trafił. Biały guzik w połączeniu z czerwonym, zielony z niebieskim. Niebieski z białym. Jednak niczego to nie zmieniło.

– Spróbuj wszystkich jednocześnie – podpowiedziała mu Lila.

Zgodnie z sugestią córki uruchomił wszystkie przyciski naraz. I kiedy spodziewał się kolejnego rozczarowania, jedna ze znajdujących się nad ich głową płytek, najbardziej skrajna, łącząca sufit z boczną ścianą, najpierw tylko drgnęła, a potem zaczęła się powoli rozsuwać. Nad ich głowami wkrótce pojawiło się przejście na wyższy poziom.



Lila pierwsza wspięła się po metalowych szczeblach drabiny. Kwadratowy otwór zajmował powierzchnię jednej płytki i był na tyle duży, że mogli kolejno przedostać się wyżej. Z pomieszczenia, do którego się skierowali, wydobywał się ledwie wyczuwalny zapach chemikaliów. Momentami wydawał się im ostry, a potem znów zupełnie się ulatniał. Na razie służył im za jedyną wskazówkę. Może to jednak nie była domowa szklarnia, tylko pracownia właściciela albo laboratorium? Pralnia? Składzik? Takie myśli przebiegały przez głowę Lili, pokonującej kolejne szczeble drabinki. Po przejściu wyżej poczuła przenikliwy ziąb i przeszywające podmuchy powietrza. Powietrze cyrkulowało, rozprawdzając chłód po całym pomieszczeniu, z tą samą intensywnością na górze jak i na dole. Im wyżej Lila była, tym bardziej spadała temperatura. Wydawało się, że na górze mogła wynosić kilka stopni. W tej

chwili, kiedy wszystkie zmysły Lili zaczęły szwankować, trudno jej było to obiektywnie ocenić.

Za kolejną wskazówkę posłużyła jej podłoga gęsto wyłożona zwirem i wyrastające z masywnej donicy drzewo. Lila miała je teraz na linii swojego wzroku. Zorientowała się wtedy, że faktycznie znalazła się w narożniku szklanego atrium.

Z podjęciem kolejnej decyzji nie czekała na ojca. Nie mogła. Po drugiej stronie atrium zauważyła bowiem swoją siostrę, tłukącą pięściami w szyby. Usta Aleks otwierały się i zamykały, ale Lila nic nie słyszała. Atrium okazało się dźwiękoszczelne. Szła w stronę siostry, żwir pod jej stopami rozsypywał się na boki, a buty ślizgały na płytkach.

Kiedy Lila znalazła się naprzeciwko siostry, Aleks przyłożyła do szyby telefon, żywo gestykułując. Nadal coś gorączkowo tłumaczyła, ale Lila nie potrafiła niczego odczytać z ruchu jej warg. Na wyświetlaczu było zdjęcie. Tylko tyle zdążyła zauważyć. Nie widziała szczegółów, bo ręka siostry niespokojnie poruszała się w górę i w dół.

– Nie ruszaj ręką. Przybliź telefon – powiedziała do siostry, jednak Aleks także jej nie słyszała.

Wreszcie spokojnie przyłożyła telefon do szklanej ściany. Na wyświetlaczu Lila zobaczyła wnętrze atrium. Ale było inne niż w rzeczywistości, zasnuć mgłą. Wszystko było zbyt zamazane, by Lila mogła dostrzec szczegóły.

– Nie rozumiem – powiedziała do siostry, starannie rozdzielając sylaby. – Napisz mi to. – Lila pociągnęła dłonią w powietrzu. Miała nadzieję, że Aleks właściwie odczyta ten komunikat.

Najwyraźniej tak właśnie się stało, bo oderwała telefon od szyby, wstukała jakąś wiadomość i z powrotem przyłożyła go do szyby. Tym razem pojawiające się na wyświetlaczu litery były wystarczająco wyraźne.

Tam u góry są jakieś dwa naczynia. Źle mi to wygląda. I coś jest w pniu drzewa.

A poniżej, oddzieloną dwoma wersami, napisała kolejną wiadomość.

Spadajcie stamtąd, jak tylko sprawdzicie to drzewo.

Kiedy Lila odwróciła głowę, zobaczyła ojca, gramolącego się na górę. Nie czytał przecież wiadomości od młodszej córki, a jednak kiedy znalazł się na

górze, skierował się prosto w stronę drzewa. Lila zauważyła to, na co patrzył teraz jej ojciec, a co było także w wiadomości od Aleks.

Ze środka rozwarstwiającego się pnia wystawał skrawek odblaskowego materiału. Ów przedmiot nie znajdował się na dole rozłupanego pnia, tylko znacznie wyżej, mniej więcej w jego połowie. Wyglądał, jakby pośpiesznie wciśnięto go do znajdującej się tam wnęki.

Ślizgając się na płytkach, Lila dołączyła do ojca. A kiedy to zrobiła, wszystko potem działo się jak w zwolnionym tempie na przesuwających się powoli klatkach filmowych. Co dziwne, nie przesuwały się w porządku chronologicznym. Były fragmentaryczne i porozrywane, niekompletne. Właśnie tak widziała je Lila.

Pierwszy kadr dotarł do niej, kiedy ojciec włożył ręce do środka pnia drzewa oliwnego, a kolejny, gdy już coś z niego wydobywał. Było to coś sporego, luźno owiniętego w gruby, pomarańczowy materiał. Lili zajęło chwilę, by rozpoznać dziecięcą bluzę, spod której wystawały małe rączki i nóżki. Na następnym kadrze wciąż znajdował się jej ojciec. Niespokojnie wydostawał coś ze środka bluzy. Pomarańczowy materiał falował jej przed oczami, unosił się i opadał, ukazując małe, nagie ciało.

Adaś leżał w ramionach jej ojca, który, podobnie jak jej siostra przed chwilą, otwierał i zamykał usta. Łapał powietrze i chyba coś krzyczał, tak to wyglądało. I tym razem Lili wydawało się, że z jego ust nie padają żadne słowa, ale w końcu w jej głowie coś się odblokowało. Fonia nagle powróciła.

– Oddycha! Słyszysz? – Lila poznała głos ojca.

Z jego twarzy zniknęła udręka. Jej miejsce zajęła ulga.

Dotknęła nóżek dziecka, a potem jego zaciśniętych piąstek. Każdy jej ruch był ewidentnie opóźnionym przedłużeniem myśli. Głowa Lili z jakiegoś powodu nie współpracowała z ciałem, jakby jeszcze nie dopuszczała do świadomości myśli, że jednak się im udało.

Stópki Adasia były zimne, rączki też, synek wydawał się przeraźliwie blady, ale oddychał, oddychał. Wyraźnie było widać unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Antoni owinał dziecko szczelniej bluzą. Poza pieluszką mały nic na sobie nie miał. Widać było fioletowawe nakłucia w zgięciach jego rączek.

Lila odebrała synka ojcu. Kiedy trąciła ramię dziecka dłonią, najpierw delikatnie, a potem mocniej, Adaś nie chciał się obudzić. Instynktownie przytuliła go do piersi.

- Co ona mu zrobiła? – krzyknęła, starając się rozmasować nóżki synka.
- Nie tutaj. Chodźmy stąd – ponaglił ją ojciec i wyciągnął ręce po dziecko.
- Daj mi go.

Lila potrząsnęła głową.

– To w takim razie idźcie pierwsi – ustąpił i wskazał na drabinę wystającą z otworu w podłodze. – Tylko szybko.

Lila nie protestowała. Ostrożnie skierowała się w stronę drabiny. Kątem oka dostrzegła siostrę z twarzą i dłońmi przy szybie. W jej oczach widać było ulgę, ale także jakiś nowy lęk. Lila od razu to zauważyła.



W tamtej chwili do połączenia się zawartości obu naczyń, a tym samym do zajścia reakcji chemicznej i wytworzenia śmiertelnie niebezpiecznego gazu we wszystkich czterech pułapkach w ich drodze powrotnej, wciąż jeszcze pozostało trochę czasu. Od kilku do kilkunastu minut. Ale nie więcej.

W jednej z pułapek czas już się kończył. Została minuta, najwyżej dwie. Zbyt mało, by pokonać czterystumetrowy odcinek, jaki pozostał im do wyjścia na powierzchnię. Tym bardziej że czas biegł teraz jakby wolniej. Pierwsza minuta minęła w momencie, kiedy Lila zeszła z dzieckiem do podziemnego pokoju, w którym Adaś był wcześniej przetrzymywany. Teraz wciąż leżało w nim ciało Heleny. Nie zatrzymując się, Lila ruszyła w stronę pierwszych przeszklonych drzwi. Tak jak poprzednio zareagowały na uruchomiony palcem przycisk. Na dalszej trasie pozostały jeszcze trzy pułapki.

Jedna z nich miała aktywować się za mniej niż minutę.

Rozdział 28

Piotr do końca nie był pewien, czy postępuje słusznie. Był rozdarty między zejściem do podziemi a pozostaniem na powierzchni. To, że w korytarzu, w którym zniknęli jego żona i teść, panowała cisza, wcale go nie uspokajało. Wydawało mu się, że ten rodzaj ciszy jest zupełnie inny, jakiś okrutny i złowieszczy. Kolejny raz bił się z myślami, co powinien zrobić. Jego wątpliwości rozwiązał pewien dźwięk. Z początku Piotr nie mógł go dokładnie zlokalizować. Wiedział tylko tyle, że dobiegał gdzieś od strony lasu i kojarzył mu się z warkotem silnika. Najpierw był tylko cichym szumem, a potem, kiedy stał się wyjątkowo głośny i wyraźny, nagle umilkł.

Piotr wyszedł ze schowka i spojrzał przez okno wychodzące na bramę. Dzieliło go od niej jakieś sto metrów, a z tej perspektywy z całą pewnością nie mógłby dostrzec, czy ktoś w ogóle przyjechał. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie słyszał tego dźwięku tylko w swojej głowie.

Ale dźwięk się powtórzył, tylko że tym razem był zupełnie inny, zgrzytliwy i metaliczny. Skojarzył mu się z zatraskiwanymi drzwiami samochodu. W podziemnym korytarzu nadal nic się nie zmieniło, postanowił więc sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz. Musiał to zrobić. Mógł tam na nich czekać ratunek.

– Halo, halo, słyszą mnie państwo?

Męski głos niósł się z oddali cichym echem. Piotr nikogo nie widział, ale tym razem był już pewien, skąd dobiegał głos. Ktoś stał przy bramie. Piotr dostrzegł już nawet fragment maski policyjnego radiowozu i włączone reflektory.

– Potrzebujemy pomocy! – krzyknął, przyspieszając kroku. Po chwili biegł ile sił w nogach, a im bliżej był bramy, tym wyraźniej słyszał, że ktoś tam jest. Docierało do niego jakieś pobrzękiwanie. A potem był jeszcze odgłos ciężkich kroków.

– Proszę podejść – usłyszał. – Może pan podejść? Jestem przy bramie.

– Jestem tutaj. Już do pana idę – odkrzyknął.

Piotr chciał powiedzieć jeszcze coś więcej, ale nie zdążył, bo ubiegło go czyjeś nawoływanie. W pierwszej chwili nie zauważył Aleks, usłyszał tylko jej niosący się z przeciwnej strony głos.

– Znaleźli go! Mają Adasia!

I wtedy Piotr się zatrzymał. Czekał, co Aleks jeszcze doda. Bał się, czy nie usłyszy zaraz, że jego synek nie żyje.

Rozdział 29

W drodze powrotnej wszystko wyglądało inaczej. I choć potężne zmęczenie Lilki minimalizowała buzująca w niej adrenalina, odbiór rzeczywistości miała zaburzony. Korytarz sprawiał wrażenie węższego i znacznie dłuższego niż wcześniej. Stawianie kroków przychodziło jej z większym trudem. Nieposłusznym ciałem sterował wycieńczony umysł. Kolejnych przeszkłonych drzwi nie było nigdzie w zasięgu wzroku, a powinny już być. Tak się jej wydawało.

Lila bez ustanku szła naprzód. A im więcej wysiłku w to wkładała, tym wyraźniej czuła ściekające po plecach strużki potu. Z jej organizmem działały się jakieś dziwne rzeczy, po raz pierwszy czuła to w takim nasileniu. Obrazy zamazywały się jej i rozwarstwiały przed oczami. By cokolwiek widzieć, musiała co chwila zaciskać i otwierać powieki, żeby mgła przed oczami na chwilę zniknęła.

– Co z małym? – dopytywał się ojciec. Lila go nie widziała. Słyszała tylko, jak ciężko oddycha. – Chcesz się zmienić? Daj, poniosę go.

Lila patrzyła na przemian na drogę i synka, tylko to było ważne. Potrząsnęła głową.

– Dam sama radę. Adaś oddycha, ale ta suka musiała go czymś nafaszerować. Wciąż na nic nie reaguje.

– Przyspiesz, dziecko. Przyspiesz – słyszała w głosie ojca ponaglenie.

– A jak ty, tato? Dajesz radę?

– Jest okej – odpowiedział, starając się wypaść przekonująco. Ale w rzeczywistości był jeszcze słabszy niż córka.

Kilka chwil później dotarli do tego odcinka trasy, w którym temperatura znów znacząco wzrosła. Lila nadal nie potrafiła rozgryźć tego, co mogło powodować tę zmianę. Nie miała jednak sił się nad tym głowić, tym bardziej że

zbliżała się do kolejnych przeszklonych drzwi. Nareszcie. Na ich widok wstąpiła w nią nowa siła. Z tego, co pamiętała, to mniej więcej oznaczało dwie trzecie pokonanej trasy. Byli już blisko celu.

Światło dzienne, dziecko w jej ramionach, perspektywa ucieczki.

Wokół tego krążyły jej myśli.

Lila przyłożyła palec do czerwonego guzika i drzwi, tak jak poprzednio, natychmiast się rozsunęły. Na całym odcinku, który dotychczas pokonali, słyszała za sobą równomierny krok. Był zsynchronizowany z jej własnym. Dzięki temu wiedziała, gdzie jest jej ojciec. A odkąd ruszyli w drogę powrotną, był zawsze tuż za nią. Po przejściu na drugą stronę drzwi odgłos kroków za jej plecami nagle zniknął. Słyszała tylko własne.

Lila się zatrzymała, a następnie odwróciła i wtedy zobaczyła za szklanymi drzwiami upadającego na ziemię ojca. Dzieliło ją od nich kilka metrów. Drzwi były zamknięte, a jej ojciec znajdował się po ich drugiej stronie.

Lila podbiegła, by je otworzyć, ale przycisk nie zadziałał. Ani za pierwszym, ani za drugim, ani za trzecim razem. Każda kolejna próba, coraz bardziej desperacka, kończyła się niepowodzeniem. Lila nie wiedziała, że mechanizm blokujący drzwi uruchamiał się w momencie detekcji gazu, który uaktywnił się przed chwilą w komorze trzeciej, czyli tam, gdzie został jej ojciec. Lila nie wiedziała też, że żadna siła nie mogła otworzyć tych drzwi ani ocalić jej ojca.

Antoni umierał. Umierał na jej oczach.



Drzwi się zamknęły w chwili, kiedy Antoniego dzielił od nich niespełna metr. Chwilę przedtem nieco zwolnił, bo lekko zakręciło mu się w głowie. Jednocześnie poczuł odór drażniący mu gardło i przełyk, a potem nagła słabość ścięła go z nóg.

Oparł się obiema dłońmi o szklane drzwi, za którymi właśnie zniknęła jego córka z wnukiem, a potem osunął się na ziemię. Duszność i rozrywający ból w klatce piersiowej błyskawicznie pozbawiły go świadomości. Leżał na podłodze, z twarzą przyciśniętą do lodowatych płytek, w trujących oparach, które wydzierały się z pułapki w szybszym tempie i w większym stężeniu, niż przewidywała Helena.

Antoni rozchylił usta, ale nie zdołał już zaczerpnąć powietrza, i zastygł na nich upiorny grymas. Koniec przyszedł szybko, znacznie szybciej, niż zakładał plan Heleny.



Lila waliła pięścią w drzwi, ale nie była w stanie ich sforsować. Szkło nawet nie drgnęło, a przycisk nie reagował. Straszne było to, że łomot nie wywołał żadnej reakcji ojca. Nie widziała jego twarzy, nie wiedziała, czy w ogóle oddycha.

Ukucnęła przy leżącym na podłodze Antonim, za odgradzającą ich szklaną barierą, a z jej oczu płynęły łzy.

Bezsilność. Lila znów ją czuła.

W pierwszym odruchu pomyślała, że ojciec tylko zasnął z wycieńczenia albo wielogodzinnego stresu. Kolejna myśl, ta bardziej świadoma, zakładała znacznie gorszy scenariusz. W którymś momencie wdarło się w jej umysł wspomnienie dwóch naczyń zawieszonych w atrium i ulatniającego się zapachu chemikaliów. Te naczynia mogły być powodem tego, co działo się teraz z ojcem.

W ramionach Lili wciąż leżało jej nieprzytomne dziecko. Po jednej stronie szklanych drzwi było ono, a po drugiej jej ojciec.

Ojciec i dziecko.

Dziecko i ojciec.

W tamtej chwili nie potrafiła rozsądzić, co jest ważniejsze. Ale jedno wiedziała na pewno. To, co zaszkodziło ojcu, bez wątpienia zaszkodziłoby jej i Adasiowi, jeśli jakimś cudem udałoby się jej sforsować drzwi. Lila zdała się na swój instynkt. Instynkt macierzyński.

Odkleiła dłoń od szyby i chwytając mocniej wysuwającego się z jej ramion bezwładnego synka, ruszyła z powrotem korytarzem. Krok za krokiem kierowała się w stronę wyjścia. Od drugiej komory dzieliło ją już tylko kilkadziesiąt metrów.



Minuta czterdzieści pięć.

Mniej więcej, bo Helena wkalkulowała półminutowy margines błędu. Tyle pozostało do aktywowania się trzeciej pułapki, zlokalizowanej w pierwszej komorze, w której teraz znajdowała się Lila z synkiem. Nie wiedziała o tym ani ona, ani dwie osoby, które przemierzały teraz pierwszy odcinek podziemnego korytarza. Piotr szedł przodem, tuż za nim była Aleks. Echo ich głosów odbijało się o kamienny strop i ściany.

– Mam Adasia. Żyje. Ale tato leży nieprzytomny! – krzyknęła Lila, kiedy usłyszała ich głosy. Przyspieszyła. W połowie drogi do wyjścia wpadli na siebie. Piotr ostrożnie wziął dziecko z rąk Lili.

– Gdzie? – zapytała zaniepokojona Aleks.

– Niedaleko.

– Czyli?

– Najwyżej sto metrów stąd. Jest zamknięty za szklanymi drzwiami pokoju, w którym był przetrzymywany Adaś.

– Co z nim?

– Nie wiem. Chyba jest źle.

– Jak źle?

– Nie wiem, czy czegoś się nie nawdychał. Te drzwi nie chcą się otworzyć. Zamknęły się, a wtedy on się osunął na ziemię – wymamrotała Lila.

– Miałaś z nim kontakt?

– Nie. Nie ruszał się.

Piotr uruchomioną w telefonie latarką oświetlił wnętrze starej sztolni i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie dostrzegł wnęki z mającą się wkrótce aktywować trującą substancją. Ale mieli świadomość zagrożenia i wszystko wydawało się potencjalnie śmiertelnie niebezpieczne.

– Musimy stąd wyjść. Natychmiast. Na zewnątrz zastanowimy się, jak wydostać tatę – zarządził.

Lila potrząsnęła kategorycznie głową.

– Nie mogę go tam zostawić – powiedziała i zawróciła, podtrzymując się ściany. Coraz wyraźniej czuła, że traci siły.

– Nie! – stanowczo powiedziała Aleks. Lila poczuła zaciskającą się na nadgarstku zimną dłoń siostry. – Tato nie chciałby, żebyś w takiej sytuacji ryzykowała. Podobno na górze zjawiała się pomoc.

Lila nie chciała czekać na niczyją pomoc. W tej chwili nikomu już nie ufała. Ale czuła jedynie słabość. Nie miała siły podjąć żadnej decyzji. Tym razem po raz pierwszy pozwoliła siostrze zdecydować za siebie.

Do pokonania pozostał im jeszcze tylko jeden krótki odcinek. Piotr wszedł pierwszy na metalowe schodki. Wsparta o ramię siostry Lila poruszała się trochę wolniej. Ale widziała już jasne światło i otwór, przez który weszła do podziemi kilkanaście minut wcześniej.

Epilog

dwa lata później

Zbliżała się dwudziesta druga. O tej porze w podwrocławskim markecie zazwyczaj nie było już zbyt wielu klientów, a ci, którzy jeszcze robili zakupy, powoli kierowali się w stronę kas. Dwóch młodych mężczyzn zdjęło z półki po dwa czteropaki piwa.

– Zobacz, to ci skurwiele! Mordercy tego dzieciaka. – Jeden z nich stanął jak wryty. Wskazał parę stojącą przy kasie kilkanaście metrów od nich. – Pamiętasz, było o tym głośno kilka miesięcy temu – dodał z przejęciem, kiedy jego kumpel nie zareagował. – Potracili tego małego pod Poznaniem – mówił z rosnącą odrazą. – Potracili i zwiali. Wrzucili dzieciaka do rowu, jak jakiegoś śmiecia.

– No tak, słyszałem – odpowiedział kumpel i kiwnął głową. – Ale skąd wiesz, że to oni? – Spojrzał sceptycznie na kolegę. – Przecież ich twarze nie widać spod tych czapek.

– Mają czapki, bo się skurwiele ukrywają.

– Słyszałem, że niedawno się tu sprowadzili, no fakt.

– To ona. To ona, jak nic. – Tamten oskarżycielsko wycelował palec w stronę twarzy kobiety. Kiedy się nachylała, żeby spakować zakupy, spod daszka wyłaniała się jej twarz: mały, zgrabny nos i duże, głęboko osadzone oczy.

Wyższy ruszył w stronę kasy, przy której stała ta para.

– Ja im, kurwa, dam się tu panoszyć. Nie dosyć, że do pierdła nie trafili, to łążą sobie samopas. Bez hamulców żadnych – warknął ze złością.

– Ej, stary, co ty? Co ty chcesz zrobić? Przecież nawet nie jesteś pewien.

Szarpnął kumpla za ramię. To na chwilę go powstrzymało, a w tym czasie para zdążyła już wyjść ze sklepu.

Rozjuszony facet wybiegł na parking. Tamci akurat wsiedli do samochodu.

– Wypierdalać mi stąd! – wrzasnął i podbiegł do zielonego outlandera. Stał tuż przed maską. – To wy powinniście zreć ziemię, a nie ten biedny dzieciak! – ryknął. Uderzył w maskę pięściami. W jego oczach płonął gniew. Szarpnął raz i drugi za klamkę, ale nie puściła.

Silnik outlandera głośno zawarczał. Piotr wrzucił wsteczny, wyminął mężczyznę i odjechał z parkingu z piskiem opon.



Skulona na siedzeniu pasażera Lila nie mogła ukryć się ani w fotelu, ani w swoich myślach.

Po raz kolejny czuła strach, który zresztą nigdy nie słabł. Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich miesięcy, po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego, ktoś ich rozpoznał i zaatakował. Nie pomogła trzecia w ciągu ośmiu miesięcy zmiana miejsca zamieszkania, nowa fryzura, maskujące okulary, czapki z daszkiem i wszelkie próby ukrycia tożsamości. Po tym, jak media nagłośniły sprawę, a kolejne posty we wszystkich mediach społecznościowych szybko stały się wiralem, Szafrkańscy przestali być anonimowi. Utajnienie personaliów było fikcją. Zdjęcia wyciekły z ich mediów społecznościowych, były wielokrotnie repostowane i wmontowywane w nienawistne memy.

Przez jakiś czas był względny spokój i wydawało się nawet, że temat przycichł, ale nienawiść ludzi zaczęła eskalować po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego. Wtedy rozpoczął się trwający od kilku miesięcy, niesłabnący publiczny lincz. Agresywne wpisy, wielokrotne groźby, życzenia śmierci, skierowane w stronę całej trójki: Lilki, Piotra i Aleks, zdarzały się częściej niż fizyczne ataki, ale i one dotykały ich średnio kilka razy w miesiącu. Lila zniosłaby wycelowaną w nich nienawiść, ale od jakiegoś czasu w tej nienawistnej mowie coraz częściej pojawiała się ich dziecko. Adaś. Lęk przed spełnieniem gróźb nie pozwalał Lili spać w nocy. Czuwała więc, pogrążona w półśnie, za dnia prawie nieprzytomna ze zmęczenia. Właśnie tak funkcjonowała.

W tym jednym mąż Heleny od samego początku miał rację. Wymierzenie sprawiedliwości w zgodzie z literą prawa okazało się zupełnie niewspółmierne

do samowolnej kary, którą on chciał wymierzyć, a którą ostatecznie wymierzyła jego żona.

Antoni Pohl, gdyby żył, zostałby jedynie oskarżony o zbezczeszczenie zwłok. W rzeczywistości nie postawiono by mu żadnych zarzutów, nawet tego o poplecznictwo. Owszem, próbował kryć po wypadku swoją córkę, ale zarzut ten byłby bezzasadny, ponieważ Lila nie została w ogóle uznana za winną.

Wyrok, jaki niedawno zapadł w sprawie zabicia Stasia, wstrząsnął opinią publiczną. Obawy, które przez ten cały czas sznurowały Szafrąńskim i Aleks usta, z prawnego punktu widzenia okazały się bezpodstawne.

Byli wolni, cała trójka. Wolni i oczyszczeni z zarzutów.

Sędzia wydający wyrok uznał, że Lila nie jest odpowiedzialna za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym, gdyż nie doszło z jej strony do naruszenia zasad drogowych. By mogła zostać skazana, musiałby istnieć jakikolwiek związek między naruszeniem zasad drogowych a wypadkiem, a i tego nie stwierdzono.

Zabezpieczone odpowiednio wcześniej na miejscu zdarzenia ślady traseologiczne, jak droga hamowania pojazdu i miejsce potrącenia chłopca, wskazały na to, że Lila nie przekroczyła dozwolonej prędkości. Uznano, że to Staś wbiegł na jezdnię tamtego feralnego dnia, naruszając zasady ruchu drogowego. Za brak dokumentów uprawniających ją do prowadzenia samochodu Lila mogłaby co najwyżej zostać ukarana mandatem. A i tego na tym etapie nie można było już zrobić, bo po trzech latach takie wykroczenie ulega przedawnieniu.

Prokurator usiłował powoływać się na kolejne paragrafy kodeksu karnego, których zastosowanie miało świadczyć o winie rodziny Szafrąńskich i Aleks. Próbował udowodnić, że gdyby niezwłocznie po wypadku wezwano pomoc, chłopczyk mógłby żyć. Ale zeznania biegłego sądowego obaliły i tę prokuratorską próbę. Wyniki sekcji zwłok Stasia wskazywały jednoznacznie, że dziecko nie mogłoby nawet doczekać przyjazdu karetki. Jego obrażenia były zbyt poważne. Wielonarządowy krwotok, bo taką przyczynę śmierci wskazano w raporcie z sekcji, miał zabić dziecko w ciągu kilkunastu sekund, maksymalnie kilku pierwszych minut po wypadku. Prokuratorowi nie udało się też przeforsować tezy, jakoby Lila nie przeprowadziła resuscytacji.

Jednak wraz z uniewinniającym ich wyrokiem Szafrąńscy i Aleks wcale nie czuli się wolni ani rozgrzeszeni. Nie potrafili też być szczęśliwi. Aleks wyjechała na studia do Warszawy i wydawało się, że z całej ich trójki tylko ona

odnalazła w nowym środowisku względny spokój. Lila i Piotr robili to samo co wcześniej i – tylko głównie dla swojego dziecka – usiłowali odbudować to, co łączyło ich dawno temu. Ale z dość mizernym skutkiem.

Kiedy mijali kolejne skrzyżowanie na drodze prowadzącej do domu, a raczej do kolejnego z tymczasowych miejsc, w których był ich dom, Lila wciąż odtwarzała w myślach komentarze, które przeczytała pod ostatnim wpisem.

Wyłgali się.

Skurwiele.

Jak taka sucz może przyjmować ludzi? I brać za to pieniądze?

No właśnie. Jak morderczynie może w ogóle leczyć?

Psycholog z krwią na rękach.

I jak ona może być w ogóle matką? Sucz bez sumienia. To dziecko powinno wychowywać się w innej rodzinie.

Odebrać jej dzieciaka. A ona niech się smaży w piekle.

Nie dziwię się, że tamtej babce pękł w końcu film. Komu by nie pękł? Też bym tak zrobiła. Zabiłabym takich gnoi, jakby zrobili to mojemu dziecku.

Zabiłabym.

Lila wiedziała, że to nowe życie, w którym teraz tkwiła, jest siecią naczyń połączonych – jej własnego sumienia, które wciąż nie dawało jej spokoju, i tych otaczających ją ludzi. Wściekłe twarze i wytykające ją palce. Choć wróciła do pracy, nie miała kogo przyjmować w swoim gabinecie. W jej grafiku widniało ledwie kilku umówionych na ten miesiąc pacjentów. Lila bała się, że przez długie lata to się nie zmieni.

Wracając z mężem do tego nowego życia, którego najpewniej i tak tutaj nie zbuduje, Lila myślała o tym, że autentycznie chciałyby, by w jej sprawie zapadł zupełnie inny wyrok. Chciałyby trafić do więzienia i odbyć tam karę, licząc na to, że może wtedy wreszcie mogłyby odpokutować swoją winę. I wrócić do życia wyzwolona. Bo odkąd zginął Staś, nigdy nie czuła się wolna. Ani przy swoim dziecku, ani przy swoim mężu.

Nigdzie.

KONIEC

Posłowie

Nie zawsze to autor wpada na trop nowej historii. Czasami ona sama go odnajduje, a on ją po prostu chłonie, nawet jeśli jest to tylko jej niewielki „zaczynek”. Tak było i tym razem. Jako absolutna fanka (albo i fanatyczka) przyrody i wszelkich miejsc nieodkrytych wybrałam się z bliskimi w zupełnie nieznanym mi regionie Polski. Zatrzymaliśmy się w nowoczesnym domu na odludziu, stojącym w otulinie gęstego lasu. Panoramiczne okna w ciągu dnia wpuszczały do wnętrza kaskady światła, ale wieczorem była za nimi tylko gęsta czerń. Pierwszej nocy, kiedy oglądaliśmy serial z gatunku *true crime*, usłyszeliśmy charakterystyczny, metaliczny brzdęk. Właścicielka, prowadząca nas po domu kilka godzin wcześniej, powiedziała, że ów sygnał oznacza włączenie się czujnika ruchu w bramie. Wniosek nasunął się więc sam – ktoś obcy wszedł na teren posesji. Ukryty w ciemności intruz mógł nas, skąpanych w jasnym świetle, obserwować z drugiej strony szyby. My jego nie. Gdyby faktycznie gdzieś tam był, pozostawałby ukryty w gęstym mroku. Szelest liści, pohukiwanie sów. Też je słyszałam. Wyobraźnia podszeptowała mi wtedy same mroczne obrazy. Adrenalina zaczęła opadać jednak tak szybko, jak szybko się pojawiła. Intruz okazał się bowiem zamieszkującym ten teren dzikim zwierzęciem. Ale ta sytuacja zostawiła we mnie swój ślad. Właśnie wtedy przyszli do mojej wyobraźni oni: rodzina Szafrąskich, Antoni Pohl i jego córka Aleks. Zgotowałam im niezły los, to fakt ☺. Zamknęłam ich w domu wybudowanym zgodnie z ideą bioniki i poddawałam kolejnym ciężkim próbom, które czasami okazywały się trudne i dla mnie samej. Wy, drodzy Czytelnicy, już wiecie, co mam na myśli. Też tam z nimi byliście ☺.

Każda moja książka to także ludzie – ich serca i wiedza, którą się ze mną dzielą, a ja przenoszę to wszystko na karty swoich powieści. Tym razem dziękuję:

Panu Andrzejowi Tomczykowi, który uświadomił mi, jak wiele imponujących możliwości ma inteligentny dom. Pamiętam nasze spotkanie. W oczekiwaniu na rozmowę weszłam do pomieszczenia, które wyglądało jak zwykły, nowoczesny salon urządony w duchu minimalizmu. Biała sofa, biały, lśniący stolik, sterylne ściany. Chwilę później pan Andrzej udowodnił mi, jak niewiele tak naprawdę wiem. Okazało się, że ów pokój jest dosłownie naszpikowany nowinkami technologicznymi. Za pomocą zamontowanej na ścianie niewielkiej kostki mogłam sterować głośnikami, oświetleniem, temperaturą, roletami, projektorem... Możliwości były wręcz nieskończone. Panie Andrzeju, dziękuję też za wszystkie inne technologiczne (i nie tylko) smaczki, które przemyślił Pan w naszej rozmowie ☺.

Panu Zbyszkowi Skibniewskiemu – za długie rozmowy o chemii, materii zupełnie mi dotychczas obcej (a w czasach szkolnych wręcz znienawidzonej). Dzięki Pana pasji i wspólnie omawianym rozwiązaniom nauczyłam się ją rozumieć i chyba nawet ją polubiłam. Ma Pan swój ogromny udział w finałowym (zabójczym) plot twiście.

Swoim bliskim, a w szczególności mojej siostrze Kasi oraz Adze, kuzynce Magdzie, a także sąsiadce Marysi – za Wasze dobre serca i za trzymanie mocno kciuków. Dobrze jest Was mieć w swoim życiu ☺.

Beacie Kępie i Tomkowi Kurusowi – za to, że dzięki Wam kolejny raz moi bohaterowie wyszli poza karty powieści i zmaterializowali się w swojej audiowizualnej formie. Dziękuję za Wasze zaangażowanie i kreatywność!

Moim koleżankom po piórze – Megi, Izie i Ani – za nasze wspólne twórcze rozkminy, *flow*, Waszą serdeczność i podobną wrażliwość ☺.

Bartkowi Soczówce – za entuzjazm, miłość do książek, serdeczność i troskę, jaką okazywał mi na całej naszej *Tour de Pomornica*.

Mojej Redaktor, pani Małgosi Burakiewicz – za zaangażowanie i autentyczną troskę. Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego opiekuna dla moich słów i myśli.

Pani Małgosi Czarzasty – za wsparcie i nieustanną wiarę we mnie. Dobrze jest być razem na jednym pokładzie!

I Tobie, Czytelniku – za to, że jesteś tutaj ze mną, na tej Przydrygowej twórczej ścieżce.

Do naszego następnego spotkania!

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz